

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/368

1978



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. BONIECKI: **PRZYCZYNEK DO DIAGNOZY
ROZMOWA KISIEL - MICHNIK**

I. BOROWIECKA:
PODANIE CZYLI WAKACJE W SOSNOWIANCE

J. ŁOBODOWSKI: **ALEKSANDER GALICZ**

M. HELLER:
CZY ISTNIEJE LITERATURA " DYSYDENCKA " ?

SPIS RZECZY

Jerzy Boniecki:	<i>Przyczynek do dialogu</i>	3
Kisiel — Adam Michnik:	<i>Rozmowa</i>	10
Irena Borowiecka:	<i>Podanie czyli wakacje w Sosnowian- ce (1)</i>	16
Józef Łobodowski:	<i>Aleksandr Galicz</i>	37
SĄSIEDZI		
—	<i>Kościół katolicki w ZSSR</i>	46
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	51
B. H.:	<i>Kronika ukraińska</i>	58
KRAJ		
—	<i>Niezależna prasa i wydawnictwa w Kraju</i>	61
—	<i>Kościół popiera inicjatywy TKN</i>	63
—	<i>Fragmenty listu Prymasa</i>	63
SPRAWY I TROSKI		
X. W. S.:	<i>Polonia amerykańska — wielka nie- wiadoma</i>	65
Andrzej Rolicz:	<i>Wystawa ruchu dysydenckiego w Lon- dynie</i>	77
Witold Zahorski:	<i>Enigma pozostaje enigmą</i>	81
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Vincenz:	<i>Dmytro Czyżewski</i>	83
Eugeniusz Cichorski:	<i>Staszic nieznany — Humboldt czy Wolter</i>	93
P. W.:	<i>Śmierć prezydenta</i>	98
—	<i>Konkursy Funduszu im. K. F. Vin- cenza</i>	100
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>O humor krajowy</i>	102
—	<i>Cyrulik warszawski</i>	106
KSIĄŻKI		
Michał Heller:	<i>Czy istnieje literatura „dysydencka”?</i>	109
Edward Możejko:	<i>Szkice do fizjologii współczesnego des- potyzmu</i>	117
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Prasa polska poza Krajem</i>	122
Janina Katz Hewetson:	<i>Książki z Londynu</i>	128
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	132
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	137
POLEMIKI		
Józef Czapski:	<i>Konspiracja czy zabawa w Indian?</i> ..	139
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	143
◆		
Z. Bohusz-Szyszko, generał, W. Krzyżanowski, J. Nowak:	<i>Listy do Redakcji</i>	147
◆		
—	<i>Dokumenty krajowe</i>	149
◆		
—	<i>Do Prenumeratorów w Kanadzie</i>	160

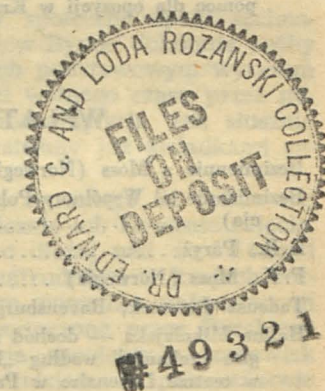
KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1978



INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburg, Pa. (USA), po raz 17-ty ..	F. 45,65
B. Obuchowski, Bankstown, N.S.W. (Australia), po raz drugi	F. 79,65
Leon Szubert, Sao Paulo, Brazylia	F. 226,56
Bezimiennie z Los Angeles, California (USA)	F. 483,00
Bezimiennie z Offenbach (FRN)	F. 40,00
Bezimiennie z Panorama, S.A. (Australia), po raz drugi	F. 220,00
Bezimiennie po raz drugi z Latowicza	F. 200,00
Włodzimierz Ledóchowski, Athol, Sandton, Tul., (Afryka Poł.), na Fundusz Kultury F. 500,00 i na Fundusz Prasy Opozy- cyjnej w Polsce F. 500,00	F. 1000,00
Adam Zalewski, Stockholm, 3-miesięczna regularna wpłata na pomoc dla opozycji w Kraju	F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS « KOR »

Bezimiennie z Moss (Norwegia)	F. 109,00
Bezimiennie od Wspólnoty Polsko-Francuskiej w Roubaix (Fran- cja)	F. 500,00
E. R., Paryż	F. 100,00
F. K., Moss (Norwegia)	F. 159,00
Tadeusz Janeczek, Ravensburg (FRN)	F. 223,91
Halina Mikołajska — dochód z występu w monodramie „O dłu- gim czekaniu” według „Historii Jakubowych” T. Manna, w teatrze Lucenaire w Paryżu w dn. 20.3.78	F. 811,15

WPLATY NA PPN

Tadeusz Janeczek, Ravensburg (FRN)	F. 223,91
Zygmunt z Sokółki	F. 200,00

WPLATY NA ROPCio

T. Brzostek, Paryż	F. 100,00
--------------------------	-----------

Przyczynek do diagnozy

W ciekawym artykule „Przemiany społeczne epoki technologicznej” (*Kultura* Nr 12/363), Zbigniew Byrski dokonuje próby diagnozy nadchodzących zmian, których podstawowym wyrazem będzie posiadanie coraz większej ilości wolnego czasu przez miliony ludzi w krajach przemysłowo rozwiniętych. Jak słusznie podkreśla, w wielu z tych krajów jesteśmy już świadkami za-
czątków tego procesu.

Nietrudno zgodzić się z konkluzją Byrskiego, iż ludzie nie mogą żyć bez angażującego ich psychicznie lub fizycznie zajęcia. Warto jest jednak zatrzymać się nieco dłużej nad źródłami pustki, którą często odczuwają niezatrudnieni w krajach rozwiniętego kapitalizmu. W przeciwnym wypadku najprostszym wyjściem wydawałoby się istotnie przytoczone przez Byrskiego „rozwiązanie szwedzkie” — stworzenia specjalnych stanowisk pracy, dla zaoszczędzenia „zbędnym” ludziom w społeczeństwie frustracji związanej z poczuciem bezużyteczności oraz dania im „surogatu społecznego statutu”. Posunięcie takie, mimo zalet paliatywu dla czasowego zażegnania kryzysu, na dłuższą metę nie może zapewnić rozwiązania problemu.

Uwagi, które nasuwają mi się w związku z artykułem Byrskiego nie aspirują do propozycji jakiegokolwiek rozwiązania, ani też nie wyczerpują analizy obserwowanego zjawiska. Dlatego też traktuję je po prostu jako przyczynek do diagnozy.

Po pierwsze podstawowe zastrzeżenie budzi teza Byrskiego, iż 90 % zatrudnionych w gospodarce wykonuje pracę nie twórczą, a więc nie dającą żadnej satysfakcji i będącą wyłącznie nieprzyjemnym obowiązkiem. Klasycznym przykładem dehumanizujących skutków automatyzacji jest przysłowiowa produkcja taśmowa w fabryce samochodów. Obsługujący ją robotnik wykonuje przez szereg godzin stale powtarzającą się tę samą czynność, co sprowadza go do roli mechanicznego kółka wielkiej maszyny. Takie ujemne skutki automatyzacji są dziś

powszechnie uznane i we wszystkich rozwiniętych krajach przemysłowych czyni się wysiłki polepszania *working environment*, nie tylko przy projektowaniu nowych fabryk, ale również w zakładach od dawna istniejących. Nowa eksperymentalna fabryka samochodów „Volvo” zerwała zupełnie z zasadą taśmy produkcyjnej i cały proces montażowy oparty jest o pracę małych, kilkusobowych zespołów, w ramach których organizację pracy pozostawia się członkom zespołu. Stosowana jest również rotacja stanowisk pracy w zespole dla zapewnienia jej urozmaicenia. Zasada rotacji praktykowana jest zresztą szeroko w wielu gałęziach przemysłu, mniej lub więcej zautomatyzowanych. Polega ona na tym, iż poszczególny robotnik wykonuje jedną czynność, lub zespół czynności przez ograniczony czas w ciągu dnia, godzinę czy dwie, po czym następuje zmiana stanowisk pracy z innymi członkami linii produkcyjnej. Tak więc nawet najbardziej dehumanizujące skutki automatyzacji mogą być w mniejszym lub większym stopniu ograniczone.

Istotny jest jednak fakt, że tylko pewna część pracy w przemyśle odznacza się tak wysokim stopniem automatyzacji. Nie posiadam pod ręką danych cyfrowych, ale zaryzykuję twierdzenie, że znaczna większość stanowisk pracy w przemyśle, nawet w epoce technologicznej, znajduje się poza zasięgiem i skutkami „nieludzkiej” automatyzacji. Pozostają więc jeszcze dwa inne sektory gospodarki: rolnictwo i usługi. Jeśli idzie o pierwszy, zarówno niski procent zatrudnionych w tym sektorze (5-6 % ogółu pracujących), jak i rodzaj pracy nie przyczyniają się w znacznym stopniu do interesującego nas zjawiska. Mimo wysokiego stopnia automatyzacji, w sektorze rolnictwa działalność człowieka odbywa się przy znacznym zbliżeniu do natury i już tylko dzięki temu znacznie mniej sprzyja nudzie czy alienacji. A w sektorze usług? Jest to bardzo istotna dziedzina gospodarki ponieważ rola jej jako źródła zatrudnienia, w miarę automatyzacji procesów produkcji w przemyśle i rolnictwie, znacznie wzrasta. W rozwiniętych krajach zachodnich, sektor ten już obecnie skupia większość pracujących. W Stanach Zjednoczonych, na przykład, w roku 1977, w przemyśle zatrudnionych było tylko 30 % ogółu pracujących; przewiduje się, że w roku 1987 udział ten spadnie do około 20 %.

Dziedzina usług charakteryzuje się dwoma momentami, które mają duże znaczenie dla naszych dalszych rozważań. Po pierwsze jest ona z natury rzeczy ograniczona jeśli idzie o możliwości wprowadzenia automatyzacji. Możemy wskazać na automatyczną kasę wagę w sklepie, elektroniczny kalkulator w banku lub w biurze, komputer w linii lotniczej, automatyczną maszynę do prania w pralni-farbiarni, czy też automat do sprzedawania biletów w autobusie. Większa część czynności w tym sektorze znajduje się jednak (i zawsze będzie się znajdować) poza zasięgiem automatyzacji: polega ona i polegać będzie na kontakcie międzyludzkim. Skoro tak jest — to, i tu dochodzimy do drugiego momentu, dziedzina usług właśnie ze względu na charak-

teryzujący ją kontakt między ludźmi daje mnóstwo okazji do wykonywania pracy w sposób twórczy. Ponieważ jednak używamy ponownie tego terminu, warto jest zastanowić się przez chwilę na czym polega działanie twórcze człowieka. Psycholog polski Jarosław Rudniański¹ podkreśla, że twórczość jest podstawową specyficzną formą funkcjonowania człowieka. „Wszędzie tam, gdzie nie są znane działającemu wszystkie istotne elementy składające się na strukturę danej czynności oraz sposób powiązania tych elementów między sobą — będziemy mówili o działaniu twórczym w sensie psychologicznym. Wtedy natomiast gdy dane działanie można zlogarytmizować (jak np. prace przy taśmie zbiorczej lub niektóre czynności techniczne w fabryce czy w kuchni) mamy do czynienia z działaniem, które w sensie psychologicznym nie jest twórcze”. W wielu wypadkach — mówi Rudniański — aby działanie było sprawne — musi być twórcze. Stwierdzenie to odnosi się z pewnością do wszystkich niemal prac w dziedzinie usług. Jako inne kryterium działania twórczego, przyjmuje Rudniański moment socjologiczny zaznaczając, iż aprobatą społeczną wykonywanej czynności nadaje jej charakter twórczy. Także i to stwierdzenie obejmuje całą niemal gamę czynności z dziedziny usług, jako formy działalności gospodarczej. Aprobata wykonywanej usługi zależy od jej jakości, a ta z kolei, uzależniona jest między innymi od podejścia do pracy wykonywującego usługi. Tak więc uprzejmość listonosza, kelnera, czy konduktora przynosi często wyrazy uznania ze strony odbiorców jego usług. Wiemy także z własnego doświadczenia i z obserwacji, że zarówno sprzedawca gazet, urzędnik w banku czy na poczcie, jak i windziarz w domu towarowym czy nawet czyściciel butów lub „babka klozetowa” — mogą do swojej pracy podchodzić z pogodą ducha lub też traktować ją jako dopust boży. W tym ostatnim wypadku nawet najbardziej „społecznie atrakcyjne” zajęcie, jak lekarz, adwokat, pracownik naukowy lub dziennikarz, będzie zainteresowany traktował jako męczący obowiązek.

Powyższe rozważania uzasadniają — mam nadzieję — wniosek, że uczucie pustki, braku radości czy satysfakcji, ogólna frustracja i alienacja nie wynikają koniecznie z braku pracy lub z jej charakteru. Mają one prawdopodobnie inne i znacznie głębsze przyczyny. Faktem jest, iż posiadanie w takim stanie ducha dużej ilości wolnego czasu z pewnością nie pomaga lecz — wprost przeciwnie — znacznie utrudnia opanowanie takich uczuć. W tym też sensie obserwowane przez nas zjawisko, wynikające z przechodzenia z jednej fazy technologicznej w drugą, pogłębia tylko istniejący w rozwiniętych zachodnich krajach przemysłowych kryzys ducha.

W artykule swoim dotyka Byrski istoty tego kryzysu, choć czyni to w sposób niemal epizodyczny. Stwierdza on coraz bardziej ujawniające się zjawisko, iż ludzkie potrzeby materialne

1. Jarosław Rudniański, *Homo Cogitans*, Wiedza Powszechna, 1975.

mają swoje granice. Ukazują się one przy pewnym stopniu komfortu, poza którym następuje coraz wyraźniejsze uczucie przesyty. Aby z góry odparować protesty niektórych czytelników oraz argumenty, iż potrzeby (również materialne) są sprawą indywidualną i jako takie nie mają granic, niech mi wolno będzie zaproponować formułę kompromisową: w miarę wzrostu naszego standardu życiowego (komfortu), stopień satysfakcji związany z akwizycją dalszych dóbr materialnych wyraźnie maleje. Każdy z nas przyznać musi (choćby milcząc), iż doznał tego niejednokrotnie na własnej skórze. A jednak całe nasze życie, cała działalność i ambicje, tak w sensie indywidualnym jak i społecznym, nastawione są w obecnych czasach na zwiększanie naszego standardu materialnego, skoncentrowane na procesie bogacenia się. Ta właśnie materialistyczna filozofia życiowa stanowi charakterystykę społeczeństwa konsumpcyjnego. Ogólny kryzys tradycyjnych religii, laicyzacja życia oraz realne możliwości zwiększenia swego indywidualnego (materialnego) stanu posiadania — stworzone dopiero przez powojenną rewolucję technologiczną — pogłębiają tylko zwodniczą i zgonną rolę tej filozofii. Bez względu na przyczyny, pozostaje ona jednak faktem i na tym czy innym etapie nikt nie jest w stanie oprzeć się korupcyjnemu, rozkładowemu działaniu tej filozofii. To ona właśnie, w połączeniu z innymi aspektami naszego współczesnego życia, przyczynia się do tego, iż — jak pisze Byrski — wolny od troski o byt materialny czas, wypełniają ludzie dając upust swym instynktom. Agresja, wandalizm, narkotyki, rozwydrzenie seksualne — wszystko to są powszechne objawy istniejącej pustki. Posiadanie interesującej pracy, lub pracy w ogóle tylko w pewnym stopniu może zapobiec temu uczuciu. Jeśli nawet odmienna indywidualna filozofia i styl życia pomagają w jakimś sensie w utrzymaniu równowagi ducha, czyż można oprzeć się zupełnie otaczającej ze wszech stron i manifestującej się na każdym kroku, przynębiającej atmosferze próżni?

Operując uniwersyteckim żargonem młodzież wyjaśnia dziś starszemu pokoleniu, iż niesłuszna jest — i nieobowiązująca już więcej — „protestancka etyka pracy”. Ciekawe, *nota-bene*, czy stwierdzenie takie byłoby możliwe bez *welfare state* i wysokich zasiłków dla niepracujących? Zastanówmy się jednak, że nie jest to (niestety) jedyna zasada etyczna, która na naszych oczach „przestaje obowiązywać”. Dlatego też nie wolno nam patrzeć na to zjawisko w oderwaniu.

Wszelkie zasady etyczne (w tym także etyka pracy) należą do dziedziny wartości związanych z pytaniem: „jak żyć?”. Dziedzina ta jednak w hierarchii wartości ludzkich nie jest nadrzędna. Podporządkowana ona jest zasadniczemu pytaniu, obowiązującemu zarówno w życiu jednostki jak i całych zespołów ludzkich, społeczeństw — pytaniu: „po co żyć?”. Tak więc wszelkie rozważania z zakresu etyki pracy, deliberacje na temat zadowolenia z wykonywanego zajęcia mają charakter wtórny i nie mogą być prowadzone w oderwaniu, bez udzielenia odpo-

wiedzi na pierwsze, zasadnicze pytanie na temat sensu życia, bez konieczności dokonania próby odpowiedzi na to pytanie. Panująca filozofia egzystencjalizmu — pozostawiająca każdemu człowiekowi ciężar znalezienia tej podstawowej odpowiedzi — pogłębia tylko na szczeblu społecznym poczucie pustki i braku sensu. W świecie, który nie ma sensu egzystencjalizm niedarmo określany jest jako „symbol neurastenii i alienacji człowieka”. Nazywany on jest także „demokratyzacją samotności”. Rozpad dyscypliny społecznej, o którym — także epizodycznie — wspomina Byrski, zalicza się z kolei do dziedziny instytucji społecznych oraz ich funkcjonowania, domeny podrzędnej wobec obu poprzednio postawionych pytań. Dopiero po znalezieniu „społecznie obowiązującej” odpowiedzi na pytania: „po co żyć?” i „jak żyć?” — można zaangażować się w dyskusję na temat „jakie mają być, jak mają funkcjonować instytucje społeczne.

Istnieją wypadki czy okoliczności, które w sposób wyjątkowo jaskrawy potrafią zilustrować istniejący stan rzeczy. Należy do nich krótka historia 42-letniego pilota Chin Ludowych Fan Yuan-Yen, który uciekł na Formozę (do Taiwanu) uprowadzając swój samolot wojskowy typu MIG-19². Zgodnie z tradycją rządu Formozy otrzymał on nagrodę w wysokości \$566.368 będącą równoważnością 5.000 uncji złota. Nagroda taka przysługiwała ponoć wszystkim uciekającym z komunistycznych Chin pilotom. Fan Yuan-Yen zainwestował tę pokaźną sumę, od której same odsetki wynoszą \$4.483 miesięcznie. Ponadto został on wcielony do lotnictwa Formozy w stopniu podpułkownika, z pensją miesięczną \$400. Nasz bohater nie żałował nigdy swego kroku. Żył skromnie, nieprzyzwyczajony do nagłego bogactwa, spędzając wieczory na oglądaniu telewizji. I choć podoba mu się wiele filmów, wyraził zdziwienie, że w szeregu z nich dziewczyny występują prawie nago. „Czyż nie mają one żadnego wstydu?”. Sukienki dziewcząt w ogóle uznał za „zbyt kuse” oraz stwierdził, że jest zbyt wiele *love stories*. „Nie ma patriotyzmu i programy mają na celu wyłącznie rozrywkę. Nie przygotowują ludzi do walki o swój kraj”. Nie wydaje się, aby powyższe uwagi miały *a contrario* stanowić aprobatę systemu istniejącego w kraju Mao Tse-tunga. Fan Yuan-Yen, były obywatel Chin Ludowych i niespodziewany milioner w ten prymitywny sposób sformułował uczucie pustki, braku celu, które uderzyło go w nowoodkrytym świecie społeczeństwa konsumpcyjnego.

Pamiętam również z własnego doświadczenia jak przed blisko 20 laty, zaraz po przyjeździe z Polski do Australii, uderzyła mnie mocno w tym młodym i zamożnym kraju atmosfera ślepej pogoni za bogactwem — jako wyłączna niemal powszechna ambicja, a także towarzysząca jej duchowa pustka. Mimo, iż na „tamnym etapie” kupno nowego samochodu, tele-

wizora czy lodówki przynosiło mi jeszcze dużo radości, jednocześnie od razu mocno zdałem sobie sprawę, że na tym poziomie standardu życiowego jest jakaś sztuczność, jakiś ukryty i zgubny fałsz w skoncentrowaniu życiowych dążeń na akumulacji nowych aparatów, ubrań, butów czy innych dobrodziejstw oferowanych przez wspaniałe działający mechanizm wolnego rynku. I chociaż w Polsce i w innych krajach „socjalistycznych” z filozoficznego punktu widzenia ambicje ludzkie oparte są w podobnym stopniu na materializmie (a więc jakościowo nie różnią się pod tym względem od filozofii Zachodu), tam — o ironio! — mają one jeszcze jakiś sens. Kupno kilograma szynki po kilugodzinny stan w kolejce, czy też zdobycie plastikowego sedesu lub dętki do roweru daje jeszcze człowiekowi, oprócz uczucia wściekłości i upodlenia również prawdziwe zadowolenie i poczucie satysfakcji. To już jednak tylko dygresja; z pewnością nie mam zamiaru twierdzić, że (choćby i w tym sensie) życie w Chinach Ludowych czy w Polsce jest łatwiejsze, choć niewątpliwie — znów: o ironio! — nie towarzyszy mu przecież uczucie braku celu i ogólnej pustki.

Niezbadane koleje ludzkiego przeznaczenia doprowadziły do czasów wielkiego bogactwa, będącego udziałem dużego odłamu ludzkości, do niesłychanej wprost (niemal „całkowitej” i z pewnością absurdalnej) wolności i... do wszechobecnej duchowej pustki. Mówiąc o osiągnięciach nauki w podboju przestrzeni międzyplanetarnej, Artur Koestler formułuje to w następujący sposób: „W połączeniu z euforią kosmiczną, świat znajduje się w szponach kosmicznego lęku. Oba uczucia pochodzą z tego samego źródła: świadomości niezwykłych możliwości ludzkiego umysłu operujących w próżni duchowej bez precedensu”. W „Ziemii Ulro”³, Czesław Miłosz w ten sposób przedstawia dylemat Zachodu: „albo społeczna sprawiedliwość za cenę terroru, kłamstwa i niewolnictwa, albo wolność nie do zniesienia” i dochodzi do tego kardynalnego (i smutnego) wniosku na temat doli człowieka: „Przykre. Równanie sprowadza się do tego: ludzie mogą nie wiem jak się wysilać, a jednak muszą wybrać — i nie mają wielkiego wyboru” (podkreślenie moje).

W znanej pesymistycznej książce „An inquiry into the human prospect”⁴, Amerykanin R. L. Heilbroner opowiada jak z wielkimi oporami zmienił swoje stanowisko obrony utopijnej wolności (*permissive utopia*) i doszedł do przekonania, że przyszłe społeczeństwa będą wymagały wielkich ograniczeń, jeśli w ogóle ludzkość ma aspirować do przetrwania.

Pozostaje jeszcze pytanie czy proces przemian społecznych opisywanych przez Byrskiego i wyrażających się w coraz większej ilości ludzi „bez zajęcia”, żyjących na dostatnym poziomie, oraz w ogóle posiadających wiele wolnego czasu, będzie się rozwijał.

3. Czesław Miłosz, *Ziemia Ulro*, Instytut Literacki, Paryż, 1977.

4. L. R. Heilbroner, *An inquiry into the human prospect*, New York, Norton, 1974.

Mam co do tego bardzo poważne wątpliwości. Nie zgadzam się bowiem z oceną Byrskiego, że kryzys surowcowy, a przede wszystkim konieczność szukania nowych źródeł energii należą do zjawisk przejściowych, oraz że klucz do rozwiązania tych problemów leży w rękach naukowców. Wprost przeciwnie. Granice fizycznych zasobów świata są faktem i muszą one doprowadzić do ujawnienia się w całej pełni, do stopniowego lecz powszechnego uświadomienia sobie społecznych granic wytyczających zakres wolności działania człowieka w warunkach pełnej, globalnej współzależności. Bez względu na to czy świadomość ta doprowadzi do aktów (nuklearnej) przemocy — a więc do kataklizmu, czy też do uznania potrzeby Wielkiego Kompromisu, dni panowania Króla Pustki, Wielkiego Księcia Całkowitej Wolności, wydają się historycznie policzone.

Jerzy BONIECKI

Sydney, styczeń 1978.

Nowość wydawnicza

Właśnie ukazał się

TOM 288 — BIBLIOTEKI «KULTURY»

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom III

w przekładzie Michała KANIOWSKIEGO

Str. 544.

Cena F. 110,00.

Rozmowa Kisiel-Michnik

Stefan Kisielewski: — Rok już niedługo minie od wydania przez Instytut Literacki w Paryżu twojej książki „Kościół, lewica, dialog”. Książka miała rozliczne, choć nie zawsze w kraju dostępne echa, jednocześnie sporo się przez ten czas w Polsce wydarzyło, o czym zresztą wiesz najlepiej. Czy w sumie zadowolony jesteś z rezonansu książki?

Adam Michnik: — Tak, w zasadzie nastroiło mnie to optymistycznie. Kilkanaście głosów pisanych, wiele polemik „na żywo” — to jest coś. Reakcja była ożywiona i różnolita, choć i miejscami urazowa: urazy wykazywali np. „bracia marksiści”, ci sami, co przecież nigdy nie polemizowali z biskupami na jakim takim choćby poziomie intelektualnym. Wiele takich głosów pokazało, jak bardzo zdegenerowało się nasze życie umysłowe, jak dalece odwyknęło od rzeczywistej dyskusji. Socrealizm na przykład był łatwym przeciwnikiem, teraz dyskutować znacznie trudniej. A znów niektórzy nadgorliwcy z „drugiej strony” zarzucają, że moja książka to atak na Kościół...

S.K.: — Ale przecież wierzący nie jesteś, prawda?

A.M.: — Odmawiam odpowiedzi na takie pytanie — czy to przesłuchanie, spowiedź, czy co?!

S.K.: — Odmowa odpowiedzi mogłaby być uznana za odpowiedź. Ale nie chcę upraszczać: Duch Święty na pewno z ciebie nie zrezygnuje, a jego drogi są różne, nieraz nieproste lub pośrednie — napisałem to zresztą w przedmowie do twojej książki. Ale wróćmy na ziemię: zarzucano ci, że dla celów politycznych chcesz wciągnąć Kościół w awanturę, tymczasem Kościół, także

Kościół polski, ma cele wieczne, nie zaś doczesne. Ponieważ zaś cele wieczne są ci, jako niewierzącemu, obojętne, więc...

A.M.: — Nie mogę słuchać takich insynuacji! Teza o „wciąganiu Kościoła w awanturę”, to teza prowokatorska, rozmyślnie podsycana. Nie jestem idiotą, aby sądzić, że Kościół przestanie być sobą. Książka „nałożyła się” na rozmaite wydarzenia polityczne, wizyty w Watykanie etc. — to może być mylące. Ale ja żadnych politycznych celów tu nie miałem, poza jednym: aby ludzie Kościoła zrozumieli, że demokratyczna opozycja nie jest ich wrogiem. Żadne „instrumentalizowanie” Kościoła nie było mi w głowie — zresztą z listami pasterskimi biskupów też polemizowałem konsekwentnie.

S.K.: — Ale jaką to „demokratyczną opozycję” masz na myśli? Bo w swej książce uszeregowałeś tych swoich świeckich świętych i powrzucałeś ich do wspólnego worka, np. na stronach 113-114, aż się zimno robi — nielichy bigos. Boy obok Oskara Lange, Kołakowski obok Krońskiego, Krzywicki, Kotarbiński, Słonimski, Strug, Nałkowska a obok nich Broniewski, Stawar, Ważyk, nawet Żółkiewski, do tego zaś dorzucony Świętochowski, Miłosz i... Bracia Polscy. Brrr — odrzuca mnie taki nieład, lubię porządek! Do czego ci służył ten bukiet nazwisk jak nie do polityki?!

A.M.: — Masz prawo do takiego „odrzucań”, ty masz prawo, boś się nigdy nie ogłaszał lewicowcem i zawsze wiązałeś z katolikami. Ale bądźże liberalny — do tego się, w pewnym przynajmniej czasie, przyznawałeś. Szereguję nazwiska twórców polskiej kultury, których dokonań żadną miarą nie dałoby się uznać za jednoznacznie katolickie. Robię to z dwóch powodów: 1) aby katolicyzm uznał ich miejsce w pantheonie narodowym obok humanistycznych dóbr religii, Kościoła, ludzi wierzących; 2) aby twórcy i działacze świeckiej, demokratycznej opozycji wyzbyli się raz na zawsze antyreligijnego obskurantyzmu.

S.K.: — Walczysz więc na dwóch frontach jednocześnie? Tuś mi brat, ja również usiłuję to robić. Ale w końcu powiedz krótko: w swojej książce pod koniec dajesz wyraz stanowisku, że eschatologia religijna jest społeczeństwu niezbędna, że bez istnienia w ludzkich umysłach transcendencji i metafizyki społeczne życie duchowe i w ogóle życie byłoby uboższe — wypunktowałem to nawet w mojej przedmowie. Ale czy ty sam wierzysz w końcu w nadprzyrodzoność, czy nie?!

A.M.: — Powtarzam: nie widzę najmniejszego sensu w odpowiadaniu na takie pytania. Zwłaszcza, że ja podobnych nie zadaję. Ale z kolei teraz chciałem cię właśnie o coś zapytać.

S.K.: — Proszę.

A.M.: — W swojej bezpośrednio powojennej publicystyce, zebranej potem w tomie „Polityka i sztuka” (1949) pisałeś, że jedyna rada dla narodu to skupić się wokół Kościoła. Czy dalej tak uważasz?

S.K.: — Nie. To by obecnie zawęziło sprawę tak dla społeczeństwa jak i dla Kościoła. Kościół nie może wyrzec się swego wiecznościowego charakteru i doraźnie robić za nas wszystkiego — dziś inne czasy i inny bądź co bądź świat niż za Stalina. Myślę, że trzeba teraz próbować różnych dróg — także będąc wierzącym.

A.M.: — Widzisz, tu znów się spotykamy. Wobec tego jeszcze jedno pytanie z tej samej beczki. Co sądzisz o obecnej sytuacji środowisk *Znaku*?

S.K.: — Nie sądzicie, bo będziecie sądzeni! Ale bez żartów — z kolei ja nie chciałbym wypowiadać się w tej materii. Bo i nie znam się dziś na tym i przestało mnie interesować od szeregu lat. *Tygodnik Powszechny*, czyli grupę krakowską, obdarzam wielkim sentymentem, bo zawdzięczam im mnóstwo. Natomiast jakakolwiek działalność polityczna w ramach koła poselskiego „Znak” skończyła się dla mnie, jak wiesz, w roku 1965 i nigdy nie chciałbym do tego eksperymentu wracać, zwłaszcza że nastąpiły w tych środowiskach później jakieś zawile, personalne burze w szklance wody, mające znaczenie mało istotne a mylące. Nie ciekawi mnie to, także — powtarzam — ludzie przyznający się do światopoglądu katolickiego powinni teraz w polityce ruszyć innym torem: tamten tor jest ślepy, blokowany lub kontrolowany przez przeróżne Biura czy Urzędy.

A.M.: — A więc wielotorowość i zmienność jako hasło życiowe?

S.K.: — Tak: wielotorowość, podwójność, myślenie dialektyczne, ciągła zmienność i rewizja poglądów — ja to lubię. Marksści czy komuniści wyrzekli się dialektyki konfliktowej, a my śmiało ją możemy podjąć — tak kiedyś proponował ks. prof. Kłusak, tyle że Kościół, z powodów raczej taktycznych szybko go poskromił — a i cenzura też. Ale czy nie uważasz, że walka na dwa lub trzy fronty, którą tak lubię, bom się jej niegdyś nauczył od Irzykowskiego, w polityce, przy polskim zacierzwieniu, wywoływać może zamieszanie, dawać okazję do mylnych interpretacji, do oskarżeń i zarzutów opartych na nieporozumieniu?

A.M.: — Oczywiście, do prowokacji i insynuacji także — co

widzę nawet w twoich pytaniach, dotyczących mojej książki. A przecież nie jest to książka polityczna!

S.K.: — No właśnie. Więc porzućmy na razie twoją książkę i przejdźmy do pewnych uściśleń czysto politycznych, dotyczących konkretnych ruchów opozycyjnych w dzisiejszej Polsce, „konstestatorów”, KOR-u etc. To jest bardzo na czasie. Zgoda?

A.M.: — Zgoda.

S.K.: — Ale bez sięgnięcia do zaplecza przeszłości rzecz się zrobić nie da. Na przykład ty. Choć jesteś młody — niewiele po trzydziestce — przeżyłeś już niewątpliwie przemiany politycznego myślenia. Jak byś je określił?

A.M.: — Zrozumiałem przede wszystkim, że trzeba przewietrzyć sformułowania a raczej terminy „socjalizm”, „lewica” — to już nie są skróty i nie wiadomo co dziś znaczą. Zwłaszcza ostrożnie trzeba z tym postępować na terenie międzynarodowym, bo obie części Europy nie mają dziś wspólnego języka i to samo słowo oznacza po każdej stronie co innego. Poza tym przestałem cenić mit „społeczeństwa bezklasowego”. Myślę, że najważniejsze dla naszych krajów będzie, aby odrodzić dobrze funkcjonującą konfliktowość społeczną. Zresztą nie tylko ja tak myślę: ludzie kiedyś głęboko zaangażowani w marksizm, jak Władysław Bieńkowski, czy Leszek Kołakowski, na pewno już nigdy do marksizmu nie wrócą.

S.K.: — A jednak ciągle zarzucają wam, tj. KOR-owi, że jesteście „byli marksści” i chcą wam przypisać sławne po roku 56-tym powiedzenie Sandauera, iż naprawiać zegarek mogą tylko ci, co go zepsuli, bo tylko oni wiedzą w czym rzecz. Słowem jakiś monopol na opozycyjność dla byłych marksistów?

A.M.: — To nonsens, demagogia i prowokacja. Po pierwsze, atakując nas w ten sposób, na przykład za granicą, wybiera się zawsze z KOR-u parę nazwisk, pomijając z reguły tych, co nigdy żadnymi marksistami nie byli, jak choćby Kielanowski, Kowalska, Rybicki czy ks. Zieja. Po drugie ci z nas nawet, co kiedyś marksizowali byli wtedy za młodzi i za mało znaczeni, żeby cokolwiek „zepsuć”, a poza tym od długich już lat znajdują się w opozycji. To jest nieporozumienie rozmyślnie podsycane — w żadnym wypadku naszej grupie, otwartej zresztą i rozszerzającej się — nie można zarzucić „pięt na marksistowskiego”. Cieszę się w zasadzie, gdy w opozycji są różne odłamy i kierunki, to rozwija politycznie, przeciwdziała głoszonej przez partię ideologicznej jałowości — wyznajemy przecież pluralizm. Nie cieszysz

mnie jednak, gdy gdziekolwiek ukazują się nielojalne noty, deprecjonujące nas nie wiedzieć w imię czego. Myślę, że KOR robi w swojej skali dużo: interwencje, pomoc ludziom, odczyty i spotkania, Stowarzyszenie Kursów Naukowych, pisma, oficyna wydawnicza. Ale dla wszystkich jest miejsce a pluralizm — jak mówiłem — nam się podoba. Tylko po co demagogia „przeszłościowa” i sztuczne wyolbrzymianie podziałów często wymaginowanych? Szkodliwe dla nas wszystkich bywa takie nieporozumienie, podsycane przy tym przez nie wiadomo (czy może wiadomo) kogo.

S.K.: — No dobra, nie wdaję się w te sprawy. Ale podaj mi jakieś swoje wyznaczniki wiary, program. Choćby program taktyczny na razie.

A.M.: — Ogólnie mówiąc myślę, że należy rewindykować prawa człowieka: są one stopniowalne i można działać etapami. Prezydent Carter w imieniu Zachodu przejął tu inicjatywę ideologiczną, trzeba z tego wyciągnąć wnioski. Przede wszystkim społeczeństwo, wobec grożącej duchowej sowietyzacji, musi się zacząć samo-organizować, organizować sobie naukę własnego, nowego, odrębnego wobec dookólnej propagandy, widzenia świata. I konieczna jest stała, oddolna presja społeczna na rządzących komunistów. Oni rządzą, lecz coraz bardziej muszą ulegać naciskowi wciąż silniej się budzącej i rozwijającej swoje formy działania opinii. Jestem realistą, więc trzeba pomyśleć, co realnie jest możliwe, co się da osiągnąć. I jak naciskać, nieustannie cisnąć na rządzących.

S.K.: — Hm. Niezbyt wierzę w trwałość zapalów Cartera, aby walczyć o naszą wolność. To się zresztą łączy z moją oceną całokształtu sytuacji światowej i atomowych uwarunkowań oraz psychoz politycznych, a także z moim przyrodzonym pesymizmem — dawałem mu nie raz wyraz, mniejsza z tym na razie. A co do realizmu... My w *Tygodniku Powszechnym*, głosząc w roku 1956 „neopozytywizm”, też uważaliśmy się za realistów.

A.M.: — Tak, ale to był realizm w jakimś sensie minimalistyczny, bo obronny, negatywny: zastanawialiście się najpierw czego w ówczesnej sytuacji Polski i świata nie należy robić, czego nie można pod groźbą zbyt wielkiego ryzyka. A my chcemy się zastanowić, co w dzisiejszej sytuacji można robić, co się da osiągnąć, jakie zmiany są realne.

S.K.: — I co twoim zdaniem da się osiągnąć, poza budzeniem opinii i ewentualnie swobodnym kształceniem ludzi (przede wszystkim młodych)?

A.M.: — Program zasadniczych zmian instytucjonalnych nie wydaje mi się w tej chwili realny, ale możliwe są (zresztą i widoczne od czasu amnestii) zmiany w traktowaniu opozycji. Przede wszystkim zaś za absolutnie możliwe i ogromnie ważne uważam w przyszłości złagodzenie cenzury — nie tylko dla prasy katolickiej, ale dla całej prasy, dla czasopism literackich i — oczywiście — dla książek. Może zresztą i zmiany instytucjonalne byłyby możliwe, choćby zakładając, że muszą rządzić komuniści. Jestem wszakże realistą, chcę myśleć tylko o tym, co realne, co może być.

S.K.: — A czy nie sądzisz, że władze przejdą do generalnej ofensywy represyjnej? Z drugiej strony, czy wyobrażałbyś sobie jakieś rozmowy grup opozycyjnych z władzami?

A.M.: — Taktyka represji? Jeśli na to pójdą, to sami sobie w końcu grób wykopią! A co do rozmów, to nie wyobrażam ich sobie: nie widzę co by nam dzisiaj mieli nowego do powiedzenia i *vice versa*. Zresztą, ogólnie mówiąc, lubię oceniać szanse i taktykę, ale nie sądzę, żeby to mogło wpłynąć na zasadniczą linię mojego postępowania. Po prostu chcę żyć w zgodzie z własnym sumieniem i temperamentem — inaczej nie potrafię.

S.K.: — Brawo, to mi się podoba! *Contra spem spero*. Albo, jak powiedział Piłsudski: „Nie wierz człowiekowi, który ci mówi, że głową muru nie przebijesz”. Nie całkiem to polityczne w sensie „ministerialnym”, ale dziś u nas polityka musi być taka, bo na inną nie ma właśnie jeszcze konkretnych warunków. A i ty ministrem jeszcze nie jesteś — choć może kiedyś będziesz?

A.M.: — Dziękuję — nie reflektuję! Kandydatów jest za dużo, a ja mam inne zajęcia, chyba ciekawsze.

(Rozmowa odbyta i zanotowana w połowie stycznia 1978 roku w Warszawie, oszlifowana i podana do druku przez Stefana Kisielewskiego w końcu lutego w Paryżu).

Podanie czyli wakacje w Sosnowiance (I)

opowieść prawdziwa

1977

UWAGA:

Autor uprzedza Czytelników, iż wszelka zbieżność wydarzeń i osób występujących w tej opowieści z faktami i postaciami prawdziwymi nie jest niestety przypadkowa ani od niego zależna i polega na nieuniknionym podobieństwie między modelem a portretem.

ZAPOWIEDŹ

To już moje ostatnie podanie w tej sprawie. Napisałam ich wiele — na papierze kancelaryjnym, z prośbą o przychylne rozpatrzenie i pozytywne załatwienie. Niniejsze podanie jest już tylko — podaniem do wiadomości.

Mam nadzieję, że ta historia jest dość malownicza mimo niedostatków mojej wyobraźni. Fakt, że mogłam się po prostu wyręczyć rzeczywistością, że sprawcy wszystkich perypetii kolektywnie podyktowali mi całą fabułę mojej opowieści — jest dla mnie wielką ulgą i wydatną pomocą. Byłabym niewdzięcznikiem, gdybym zaprzepaściła ten ich moźolny trud. Chcę być jego protokolancką póki zawodna pamięć nie pogubi szczegółów epopei.

Czytelnik, wyrozumiały Czytelnik, na jakiego liczę, niechaj mi wybaczy, że chcąc nie chcąc moja skromna osoba znajdzie się

w centrum sprawnych działań Władzy. Nie zależałoby mi na uwiecznianiu własnych porażek; muszę to jednak uczynić, pragnęłabym bowiem gorąco ocalić od zapomnienia wiekopomny triumf Urzędu. Ileż to doniosłych osiągnięć pograża się w niewiedzy lub zapomnieniu! Iluż ofiarnych Funkcjonariuszy gorzkie nieje w poczuciu własnej anonimowości! Zasluga powinna być przynajmniej dostrzeżona. Ta dewiza przyświeca memu kronikarstwu.

Niechaj mi darowanym będzie, jeśli moje nieporadne pióro nie udźwignie patosu wydarzeń. Nikt mnie jednak w podjęciu tego zadania nie zastąpi. Jako żona grzesznego Kaliksta Boro-wieckiego, na którą pada mroczny cień jego winy, jestem niejako predestynowana do tej roli, ba — skazana na nią. Jeżeli jednak — będąc rzecznikiem prawdy — ośmielę się pozmienić nazwiska i topografię, to uczynię tak jedynie po to, ażeby palcem nazbyt jawnie wskazującym nie urazić przyszłowiowej skromności cichych pracowników uprawiających ojczystą niwę. I tak wszystko będzie jasne — wbrew czarnowidzom, którzy skłonni są widzieć wszystko w ciemnych barwach, przyćmiewających kontury zdarzeń i pograżających w bezpłodnym zniechęceniu i marazmie. Przy sposobności zmieniam i własne nazwisko — nie przez fałszywą skromność, ani że chcę się ukryć przy pomocy lipnych papierów. Jedynym motywem jest niechęć wyróżniania kogokolwiek na tle głównych bohaterów tej opowieści.

Bołdcem w pisaniu jest mi przykazanie: każdemu wedle jego zasług, a nie — Boże broń — marzenie o sławie. Marzę jedynie o zdobyciu zaufania Czytelnika, aby uwierzył, że całe nieprawdopodobieństwo tej historii bierze się stąd, że jest prawdziwa. Bo tylko rzeczywistość zdolna bywa do takich nieprawdopodobieństw, rzeczywistość uporządkowana, pod nadzorem, który nie dopuszcza do rządów ani żywiołu, ani przypadku.

Za przebieg przedstawionych wydarzeń nie odpowiadam, podobnie jak nie odpowiadam na głupie pytania.

I.

Zacznę od początku, choć doprawdy nie bardzo wiadomo, gdzie go szukać i choć znany mi jest koniec, co bardzo przeszkadza w relacji. Więc może zainicjuję opowieść huśtawkami bujającymi się gęsto w tej historii, która też jest nieco huśtawkowata, rozbujana sprawnymi rękami Władzy — jakże wprawnej w bujaniu. Zacznę od trzech dosłownych huśtawek.

Pan Dulak przygotowywał je do zawieszenia na łańcuchach

między pniami sosen po obu stronach domu: dwie tu, a jedna na tyłach, za Dołkiem. Dzieci — z warszawskiego nawyku — już się zaczęły ustawiać w kolejce: kto się pierwszy będzie huśtał. Powstały piskliwe różnice zdań i pan Dulak oświadczył, że wcale nie porozwiesza, jeżeli nie przestaną. Że teren ogrodzony, że wszędzie las, chyba grzyby, a można i pograć w piłkę.

— Tylko nie wychodźcie za ogrodzenie, do tamtego, państwowego lasu, bo duży i można zabłądzić. Będziemy tam chodzili, ale wszyscy razem — powiedziałam.

Siedmioletni Sławek, który miał się okazać filozofem o skłonnościach oportunistycznych, przytaknął skwapliwie:

— Tak, proszę pani, pewno że bym zabłądził! W Warszawie to co innego — ulice się nazywają, domy mają numery, a tutaj każde drzewo się nazywa: sosna!

Przyznałam mu rację, ale na wszelki wypadek zamknęłam furtkę na klucz. W dodatku przyległą drogą jeżdżą od czasu do czasu samochody, a i traktory z Miłęcina do Zagórza i z powrotem; tędy mają najbliżej.

Dzieci obwąchiwały teren, oswajały się z wolna, każde po swojemu. Prawie nie znałam ich jeszcze, dzieci z ogłoszenia. W „Głosie Stolicy” umieściłam parę razy krótki tekst: „Pedagog zaprasza dzieci na wakacje”. Konkurencja była duża, codziennie roilo się od anonsów w rodzaju: „prywatne kolonie dla dzieci w miejscowości uzdrowiskowej”, albo: „chcesz zapewnić swemu dziecku atrakcyjne i zdrowe wakacje? Dzwon...” i numer telefonu. Prawdę mówiąc zarówno moja specjalność jak i zamiłowania mogły mnie już dawniej skłonić do takiej inicjatywy, a Sosnowianka, nasz domek w nadbużańskim lesie, miesiącami stojący pustką, podpowiadał mi ten wakacyjny pomysł rok po roku, ale jakoś nie zdobyłam się na to wcześniej.

Leśny azyl miewał jednak samozwańczych lokatorów, nie licząc sów i kawek gnieźdzących się w kominie. Pierwszym z nich był ponury młodzieniec, który razu pewnego wybił szybę i zamieszkał sobie. Nas nie było, miał zupełną swobodę. Przez co najmniej tydzień wypijał resztę nalewki wiśniowej, opalał się w hamaku przed domem, czytał z zapalem jakąś książkę przygodową znaną w biblioteczce, sprzedawał dzieciom sąsiadów lalki Ewki za jajka i brodził po pokojach w wysokich zaspach dokładnie przejranych i nieznacznie uszczuplonych papierów i rękopisów Kaliksta. Robił wszystko, żeby go zauważono i długo nie mógł się doczekać. Po odkryciu go w Sosnowiance przez gajowego — nie uciekał, nawet nie podniósł się z kanapki, na której zażywał sjeisty po zjedzeniu znalezionej w lodówce kilograma chałwy. Sąsiedzi uważali go za naszego gościa, bo przecież nie próbował się ukrywać. Stara Lesiaczkowa rozповідаła

nawet po cichu, że to nieślubny syn mego męża, Kaliksta, owoc zdrożnego romansu z piękną Cyganką, po której jednak nie odziedziczył urody.

Małomówny włamywacz oświadczył, że się nazywa Anders i urodził się pod Monte Cassino, a tych papierów to on nie porozwłóczył, bo już taki groch z kapustą był, kiedy go dwaj panowie podwieźli samochodem pod domek, poradzili, żeby sobie spokojnie zamieszkał pod opustoszałym dachem i pomogli mu przeleźć przez siatkę ogrodzenia. Anders-junior, który po kwadransie stanowczo zmienił nazwisko na Puzdryński, a miejsce urodzenia — na Kamień Pomorski, wyglądał na psychopatę. A może starał się wyglądać i raczej fakt, że z domu, oprócz rzeczy jadalnych i garści papierów, nic a nic nie zginęło, skłaniał do takich diagnoz. Lalki od sąsiadów udało mi się odzyskać. Sprawę rozstrzygnęła milicja. Po czterdziestu ośmiu godzinach, nie ustalwszy ani na jotę jego tożsamości ani adresu, milicyjnym samochodem wywieźli go podobno późnym wieczorem o czterdzieści kilometrów od komisariatu, w którym był przetrzymany, aż pod lasy knyżyńskie i tam go rzekomo wyrzucili w ciemność. Kalikst, wezwany na komisariat w związku z aresztantem, stawiał się w terminie, ale go już tam nie zastał. Dopytywał się: jak się nazywa, skąd się wziął? Nie wiemy, nie wiemy.

— No to jak mogliście go wypuścić? — zdumiony spytał komendanta.

— Trzeba obywatelu znać przepisy: czterdzieści osiem godzin i szlus. Praworządność musi być. A zresztą — zachichotał komendant pukając się w czoło — to ciężki wariat, schizofranio!

— Był lekarz, psychiatra?

— Ale! To wystarczy spojrzeć, panie, na takiego, żeby wiedzieć. Ale i do wariata się prawo stosuje.

— To dziękuję panom — powiedział Kalikst — bo on już jest pewno w powrotnej drodze do mojego domu.

— Oj, nie żartujcie, obywatelu! Gdzie Rzym gdzie Krym...

Już po ośmiu godzinach gajowy zastał Schizofrania w Sosnowiance: szukał tam książki, której nie zdążył doczytać do końca:

— O, tu leżała — mówił z irytacją. — Kto ją zawieruszył?!

Tym razem wywieźli go gdzieś dalej i jeśli znowu sobie zamieszkał jako Zacieracz Śladów właściwych Przeszukiwaczy, to już nie u mnie. Po nim byli jeszcze włamywacze, ale już całkiem samodzielni, jak mi się zdaje, oraz bardziej skuteczni i jednoznaczni w działaniu. Powywoziliśmy do Warszawy sporo cenniejszych sprzętów, drobiazgów i pamiątek, które szczęśliwie ocalały i opustoszały domek zaczął się domagać innego zeń użytku. Zwłaszcza ze względu na nowe okoliczności.

Decyzję podjęłam więc dopiero po upływie roku od chwili rozpoczęcia przez Władzę kuracji mojego męża, prowadzonej przy zastosowaniu nowych metod przymusowego bezrobocia, podobnie jak niektóre przypadłości gastryczne leczy się głodówką. Niestety, wbrew najlepszym intencjom Uzdrowicieli, Kalikst okazał się wyjątkowo trudnym pacjentem, dziwnie odpornym na cierpliwie stosowaną wobec niego terapię. Kiedy wreszcie głód zajął nam w oczy, pojęłam, że jest to po prostu stara, tradycyjna metoda głodówkowa — z tym, że tym razem nie o gastrologię chodziło, choć najwyraźniej ordynatorowi brzuch się pomylił z głową.

Mój mąż, Kalikst Borowiecki, jest pisarzem, o czym informuję dlatego, że w myśl moich założeń — o czym uprzedzałam — nazwiska w tej historii zostały zmienione. Gdyby nie to, informacja taka byłaby zbędna. Otóż Kalikst należy do gatunku literatów, nie tak znów bardzo rozpowszechnionego, choć żywniejszego dziś, niż kiedyś, zainteresowanego nie tylko metaforami, asonansami, dialogiem i techniką mowy pozornie zależnej — dziś, w erze premiującej raczej mowę pozornie niezależną. Tego rodzaju stanowisko jest zdaniem Czynników uzurpacją i przekraczaniem kompetencji, ba — wkradaniem się w dziedziny zastrzeżone wyłącznie dla Władzy. Najlepiej zilustrować to na przykładzie, właśnie na przykładzie Kaliksta.

Władza lubi odwoływać się do opinii publicznej, uwzględniać jej głos, polegać na niej — przynajmniej nasza Władza. Przejawia się to w najrozmaitszy sposób, ogarnia różne dziedziny życia, głównie zaś rozległą dziedzinę piosenek beatowych i lirycznych. Społeczeństwo ma decydujący głos w Plebiscytach Piosenki. To ono właśnie, nikt inny, ustala drogą głosowania kolejność utworów rozrywkowych na Listach Przebojów, a każde — niezmiennie co prawda rzadkie — zakłócenie czy nadużycie w tej tak ważkiej materii jest surowo i publicznie piętnowane.

Podobnie imiona nowonarodzonej pary tygrysów w ZOO nie bywają na ogół nadawane ogólnym dekretem, lecz są owocem szerokiej konsultacji, społecznej dyskusji. Gdzież na świecie noworodki tygrysy mają tak wielu potencjalnych rodziców chrzestnych? Niekiedy dzieje się tak nawet bez zachęty Władzy, wynika ze spontanicznego odruchu mas, uparcie dążących poprzez swych przedstawicieli, do celu, nie zrażających się przeszkodami i trudnościami. Tak na przykład w Miłecinie wskutek gorących dążeń społeczeństwa, które ma prawo chcieć by jego głos został wysłuchany, miejscowy Rynek został wreszcie przemianowany na Plac Feliksa Dzierżyńskiego. Można by zadać sobie pytanie: czemuż to społeczna presja odniosła triumf, czemu powszechne żądanie, sformułowane w imieniu mas przez Sołtysa, zostało wy-

słuchane? Ponieważ było to żądanie Słuszne, a Władza, aczkolwiek silna, ma prawdziwą słabość do wszystkiego, co jej zdaniem jest Słuszne. Dyskutować powinna Słuszność ze Słusznością, w sposób nieunikniony dochodząc do Słusznych konkluzji.

Trzeba sobie powiedzieć otwarcie: Kalikst nie korzystał z przysługujących mu swobód. Ani w zakresie piosenek, ani tygrysów, jakkolwiek ostatnimi czasy wachlarz możliwości rozszerzył się znacznie — choćby ze względu na narodziny czarnej pantery w Gdańsku, a żyrafki we Wrocławiu, oraz z uwagi na wzmoczoną działalność Zakładu Nagrań Wydźwiękowych w zakresie Przebojów Tanecznych. Pisał książki. Samotne to zajęcie, od którego trudno bywa oderwać się do Czynnego Współdziałania.

Aż pewnego dnia Czynniki przystąpiły do Ogólnonarodowej Dyskusji Nad Propozycjami Zmian W Konstytucji. Gazety były natychmiast drukować wiele Słusznych a zwłaszcza Arcy-Słusznych wypowiedzi ludu, wiele listów aprobowanych bezkompromisowo wszystkie projekty zmian, mnóstwo oświadczeń z niezłomną odwagą wyrażających całkowitą zgodę. Można było mieć nadzieję, że wreszcie ocknie się i opieszały Kalikst, aby włączyć się w nurt.

Pamiętam znaleziony kiedyś w zielonym kuferku mojej niani listownik, rodzaj podręcznika pisania listów miłosnych, okolicznościowych, urzędowych i innych. Był to zbiorek wzorcowych tekstów przeznaczonych do naśladowania, czy raczej — do przepisywania. Dawały one zresztą pewien margines swobody: imię ukochanej lub ukochanego, czy nazwa urzędu były wykropkowane, co pozostawiało kopiście prawo wykazania własnej inwencji twórczej, a np. obok przymiotnika „Najmilszy” figurowały w nawiasie zastępcze warianty uczuciowych epitetów, do wyboru. I oto teraz na łamach prasy pojawił się Listownik Redivivus, tyle że nie doradczy jak niegdyś, ale obowiązujący. I już bez wykropkowanych nazw i dowolnie wymiennych ocen.

Kalikst, mimo oficjalnych rozgłoszonych nawoływań do uczestnictwa, zwlekał, aż wreszcie — wraz z wielu innymi — wystosował list o treści nie tylko nie zaprogramowanej przez Władzę, ale nawet nie uzgodnionej z Dostojnym Adresatem. Nie, mój mąż nie jest aż takim marzycielem, jak mogłoby się wydawać, od lat widział osobiście praktyki Władzy. Rzec by można, sprowadzając problem do regionów najprzysiężniejszych, że trawniki były od dawien dawna regularnie i bezkarnie zadeptywane, ale tabliczki z inskrypcją: NIE DEPTAĆ TRAWNIKÓW — tkwiły na deptaku w swoich starych miejscach, dokumentując siłą faktu niejaką rozbieżność między teorią a praktyką. Toteż w gruncie rzeczy Kalikstowi chodziło tym razem o owe tabliczki, o to, aby ich nie usuwać ani nie zastępować zaleceniem deptania tra-

wy, nakazem traktowania zieleńców. No, może raczej szło tu o sprawę traktowania ludzi, ale pozwolę sobie pozostać przy mojej metaforze. Ciotka Gralewska starała się go przekonać, że to walka z cieniem, że Oni i tak zrobią swoje jak dotąd robili — „ty ich aby nie zdenerwuj, Kalciu” — ale Kalikst uważał uparcie, że jednak jest pewna różnica między gwałceniem prawa a uprawomocnieniem gwałtu.

Kalikst miał rację, ale nie miał Słuszności i to się musiało zemścić. Z Ministerstwa Posłuszeństwa, a może z Najwyższej Instancji wyszła tajna instrukcja umieszczająca Kaliksta wśród wielu jemu podobnych na czarnej liście. Mimo swej czerni lista emanowała blaskiem świetnych nazwisk, także ze świata literatury, a np. brak na niej Narcyzowicza tłumaczy się prosto: ten etatowy artysta-sceptyk pogrążony w imieniu Ludzkości w swych cierpieniach egzystencjalnych nie zajmuje się sprawami partykularnymi, co — mimo niskiego wzrostu — daje mu niezastąpione poczucie bezpieczeństwa i wyższości.

Odtąd wpisanym na owo czarne tło nie wolno już było pracować, pisać, publikować, zarabiać na życie. Wydawnictwa odsyłały Kalikstowi rękopisy i maszynopisy powołując się uprzejmie na brak papieru i przeładowanie planów wydawniczych, albo reagowały dyskretnym milczeniem, z radia wycofano taśmy z nagraniami jego utworów. Żadna instytucja nie miała prawa motywować swojej odmowy prawdziwie: było to najsurowiej zabronione. Zarządzenia Władzy muszą być bezosobowe jak los. Departament Podszywania (proszę wybaczyć mi słowo, komórka ta oficjalnie nie istniała, a zatem nie podlegała urzędowej nomenklaturze, toteż powyższa nazwa jest tylko określeniem zastępczym) rozpoczął akcję nękającą: pisano do sygnatariuszy obraźliwe listy, pisano za nich listy-falsyfikaty, fałszowano podpisy, szantażowano, osaczano listownymi i telefonicznymi pogróżkami. Aż któregoś dnia pojawił się na horyzoncie Pederasta.

Był słoneczny dzień tej niezdecydowanej wiosny, obchodziliśmy już jakiś czas temu pierwszą rocznicę przymusowego bezrobocia. Kalikst po paru godzinach pracy (bo twarzo pisał sobie nadal) wyszedł po papierosy. W drodze do kiosku potknął się o nagle wystawioną nogę w szerokiej nogawce. Obok szedł młodzian, w butonierce sterczał mu goździk — może dla ozdoby, może z okazji Państwowego Święta.

— O, przepraszam! — powiedział nieznajomy, a Kalikst zastanowił się, czy aby nie zna tej twarzy, czy nie spotykał jej ostatnio w różnych punktach miasta. A może w telewizji? Natręctwo niby znajomych twarzy wywodzi się stamtąd także, ale to nie była telewizyjna fizjonomia. Kalikst odsunął się na skraj chodnika, ale młodzian nagle podskoczył, objął go za szyję

i gibnął się gwałtownie, uderzając Kaliksta w brzuch swoim ciężkim biodrem.

Mogło to od biedy wyglądać na zaczepki zboczeńca, ale Kalikst — choć odtąd nazywał go umownie Pederastą — miał jeszcze w świeżej pamięci relacje o poszturchiwaniu Jana na ulicy przez tzw. Niezidentyfikowanych Osobników, o próbie ze-pchnięcia współpracownika KOR'u pod przejeżdżający samochód — i o tym, jak Jakub z trudem powstrzymał się, by nie dać w pysk napastnikowi, który skopał go na korytarzu sądu w Radomiu w asyście Bezimiennych, a milicjanci natychmiast uznali za stosowne rozpląnąć się w nicłość. Więc Kalikst bez słowa zawrócił i bez papierosów przyszedł do domu.

— Wiesz, — powiedział — włóczy się za mną od jakiegoś czasu nienormalny facet, chyba od czasu, kiedy mnie jakiś oficer wylegitymował na ulicy pod pozorem, że mu przypominam poszukiwanego przestępcę. Wdzięku ma coś za dużo, ale ja przecież nie jestem w ich typie. Diabli go wiedzą, wolałem się wycofać, ale jeśli się to jeszcze powtórzy, zaryzykuję i poślę go do czorta!

Ale jakoś nie doszło do tego. Może przydzielono Pederastę do kogoś innego? Minęło sporo czasu, kiedy zdarzyła mi się — jako początkującej automobilistce — niemiła przygoda. Przy parkowaniu samochodu w pobliżu domu w Warszawie — przednie koła wyskoczyły mi poza prowizoryczny krawężnik i zaryły się głęboko w glinie, która oblega całe nasze osiedle mieszkaniowe. Wsiadłam i patrzyłam na fiata z bezradnym wyrzutem. Nagle zza pnia samotnego jesionu, obitego w czasie budowy deskami, wychynął facet w skórzanej kurtce w ciemnych okularach. Atletycznie rozkołysanym krokiem zbliżył się:

— Jak śliwka w kompot? — zaproponował określenie sytuacji, po czym samorządnie przystąpił do udzielania pomocy. Znosił kawałki desek, podkładał, poprosił mnie o lewarek, podnosił wóz to z tyłu, to z przodu, tłukł kawałki betonu i układał z nich rodzaj fundamentu pod koła. Pot spływał mu po twarzy. W niczym nie umiałam mu pomóc, asystowałam w milczeniu. W końcu poprosił o kluczyk, wsiadł, włączył tylny bieg i wycofał samochód z opresji.

— Dziękuję bardzo, zmęczył się pan... Jak mogłabym się panu odwdziżyć?

— Dziękuję, nie trzeba, cieszę się, że mogłem pięknej pani pomóc. Ja tu służbowo — powiedział i ociągając się odszedł. Po paru krokach odwrócił się jeszcze i dodał:

— A na drugi raz niech pani uważa, bo może mnie przypadkiem tutaj nie być.

Cóż może być trwalszego niż działalność służbowa z — jak zauważyłam — erotyczną nadbudową? Ubecka w formie, zaś amowata w treści? Z pewnością ofiarne przekroczenie zakresu obowiązków świadczyło o tej pozasłużbowej domieszcze, toteż grożące mi niebezpieczeństwo wierności nie uszczęśliwiało mnie nazbyt. Okazuje się, że nawet zaanektowana przez Urząd duszyczka rezerwuje sobie czasem małą Działkę Przyzagrodową, na której rozkwitają czasem Na Górze Róże, Na Dole Fiołki...

Któregoś nie dalekiego wieczoru telefonowałam do Eweliny, żeby się umówić na jutro rano, na wspólną jazdę do Zagórza: trzeba się już zabrać do roboty, niewiele dni zostało do rozpoczęcia kolonii. Ewelina powiedziała, że dojedzie sama, trochę później. Postanowiliśmy pojechać we dwoje, Kalikst i ja. Trzeba kupić łóżka polowe w Milęcinie, bo to i bliżej Zagórza, i w warszawskich sklepach próżno by ich szukać, a tam podobno były dopiero co, chyba są jeszcze. No i koce też, duże garnki, piętnasto- czy dwudziestolitrowe — to mi nie dawało spać, resztę sprawunków zapisałam sobie, całą listę. Wzięłam zadatki na koszt pobytu dzieci, mogłam je częściowo wykorzystać na te pierwsze niezbędne inwestycje.

Na pół godziny przed wyjazdem zadzwonił telefon: mój Dżentelman! Wyjaśnił słodko, że to on właśnie, ten, który wyciągnął mi wóz z błota. I zapytał, czy nie wybieram się przypadkiem na jakiś dalszy, zamiejski wyjazd, bo on by bardzo chętnie, a mógłby się w razie czego na coś przydać. Zaskoczona podziękowałam odmownie ale chyba dość nieporadnie, nie pytając skąd zna moje nazwisko i numer telefonu, ani jak się dowiedział, że się wybieram do Zagórza. Potem jeszcze przyplątywał się nie raz w różnych nieoczekiwanych chwilach i miejscach, zanim pozbyłam się go wreszcie, ale to już inna historia.

Kiedy wyjeżdżałam z Kalikstem, aż przyhamowałam z wrażenia zaraz prawie po opuszczeniu parkingu: pod pawilonem SAM-u stało dwóch młodzieńców w średnim wieku: jednym z nich był on, choć extra dżinsy i drukowana koszulka kazały mi zawahać się przez krótką chwilę.

— Patrz! — zawołałam szeptem do Kaliksta. — Mój Dżentelman! Ten, co ci mówiłam. Tylko jakiś modny się zrobił...

— Mój też się przebrał — powiedział Kalikst.

— Jaki twój?

— Ten drugi — mój Pederasta.

Przyjrzałam się im na zakręcie: obaj miedlili w zębach gumę do żucia, wyglądali z daleka jak plejboje. Czyżby zmienili zawód i tryb życia? Wkrótce miałam się przekonać, że całe zastępy Smutnych w Warszawie, a może i gdzie indziej, zostały ostatnio przemundurowane w dewizowe wranglery. Z przefasonowaniem

fizjonomii musiało być znacznie trudniej, bo w swoich nowych wdziankach prezentowali się żałośnie, nosiciele przyrodzonego i przypięczonego przez Urząd świadectwa tożsamości: nieuleczalnie seryjnej gęby, która sterczy z tej mimikry jak sztandar z zamaskowanego do niepoznaki bunkra.

— No widzisz — dodał Kalikst po chwili. — Martwiłaś się, że zostanę tutaj na lato sam. Bądź spokojna, u nas człowiek nie bywa samotny.

II.

Od razu po drodze wstąpiliśmy do Milęcina po łóżka polowe. Znalismy już jako tako tę osadę, w której bez trudu znaleźć można tylko stację kolejową i wielkie pławisko rozgałęzionych na wszystkie strony szyn. Reszta miasteczka, cherlawa i dość nikła, ukrywa się gdzieś na uboczu, na wysepkach pozastacyjnych, ominiętych przez wszędobylskie torowiska. Dawniej, kiedy znalismy Milęcin tylko z okien pociągu, ciocia Wandzia zapytała kolejara na peronie, gdzie tu jest centrum. Spojrzał z powściąganym rozbawieniem i wskazał: „A, o, tu, w tych kartoflikach”. Teraz już znamy tutejsze drogi, dróżki i zakamarki, wiemy nawet, że różne towary, które w warszawskich sklepach dawno już przeszły do legendy, tu czasem żółkną w słońcu, pieczętowane pstrzynami much.

Ale okazało się, że łóżek nie ma — i dopiero po wręczeniu tabliczki czekolady ekspedientce, a różowego banknocika magazynierowi — były i to w tak dużych ilościach, że nawet pozwolono nam wybrać nieuszkodzone egzemplarze. Koce też się udało kupić — nawet bez czekolady czy innych argumentów. Obładowani, że ledwo widziałam z samochodu w prześwitach między łózkami kawałek jezdni za nami i z boków, dojechalismy szczęśliwie do naszej Sosnowianki. Stała pusta w rozświergotanym lesie, nie spodziewająca się jeszcze niczego.

Pan Dulak miał wkrótce przywieźć huštawki, ale już teraz trzeba było urządzić wszystko w domu, a przede wszystkim zrobić generalne sprzątanie. Najważniejsze, że — posługując się urzędową nomenklaturą — dzięki zastosowaniu Manewru Gospodarczego mieliśmy już łóżka i najpotrzebniejsze drobiazgi. Nie licząc krótkich, parogodzinnych doskoków z Warszawy, ostatni raz naprawdę byliśmy tutaj w styczniu, po ostatnim włamaniu do Sosnowianki. Nawet niedopałki papierosów pozostałe po włamywaczach leżały jeszcze na parapecie. Najbliższym pociągiem przyjechała pani Marcysia i zaczęło się wielkie porządkowanie.

Pani Marcysia — jak mówiłyśmy — spadła nam z nieba.

To prawda, okazała się istotą opatrnościową, ale jej przyjazd do Sosnowianki był wynikiem innych, nie zaziemskich przyczyn. Matka Marioli przywoziła nam ją, swoją byłą nianię, o obecnej nianie swej córeczki. Tę czasową zmianę miejsca pobytu przyjeżdżała pani Marcysia z pogodą i uśmiechem, co wynikało — jak się miałam przekonać — z jej zaufania do losu i niebываłej poczciwości. Podobał jej się las, podobny do prawdziwego, jak mówiła, bo prawdziwy był tylko w jej rodzinnych stronach, na wileńszczyźnie; przepadała za dziećmi i nigdy potem nie zabrakło jej czasu ani ochoty na przekomarzanie się z nimi a nawet na zabawy, choć roboty miała huk i w chwilach, kiedy mogłaby odpocząć, wyszukiwała sobie robótki dodatkowe, takie nie pilne i niekonieczne, bo utrzymywała, że nic jej tak nie męczy jak bezczynność, którą umiała przyrównać tylko do udręk bezsenności. Zjawiała się u nas w samą porę, bo właśnie kilka dni przed rozpoczęciem przygotowań do kolonii uciekła od nas o świcie pani Basia, najlepsza z gospoś wszystkich czasów, na którą liczyłam jako na główną wakacyjną podporę i strażniczkę kolonijnego ogniska. Matkowała nam w Warszawie, dogadzała ponad potrzeby, nuciła sobie przy pracy całymi dniami, aż któregoś wieczoru ogarnął ją niepokój i zaczęła mi się wyzalać, że nie zna swojego losu, że nie wie czy dobry jest, czy zły, co ją czeka, jak się jej życie potoczy... Nieco przestraszona tą dziwną odmianą i jeszcze dziwniejszymi problemami pani Basi, zapewniałam bez skutku, że tego wszystkiego nikt przecież nie wie. I dobrze, że tak, chwała Bogu! Ładna chwała! — sprzeciwiła się. Przystałam chodzić do kościoła, wyznała, bo Bóg o mnie zapomniał, więc nie chcę Mu się naprzykrzać. Mówiła — a była już późna noc — że gdyby była na Syberii wiedziała, że wyżyje, że tak właśnie jest jej pisane, lżej by jej było to wszystko przetrwać, a nie było lekko i nie wiedziała nic, a przecież ksiądz proboszcz w Pałuczynie ma wszystko zapisane w takiej księdze, każdy dzień jej życia — od urodzenia do samej śmierci, tylko nie chce pokazać, nawet raz się przed nią schował, jak przyszła się dowiedzieć i kazał swojej gospodyni, żeby powiedziała, że go nie ma na plebanii...

Nie mogłam zasnąć, zaniepokojona tymi zwierzeniami i nazajutrz miałam się nimi podzielić z Kalikstem, ale już było po wszystkim: uciekła rankiem i nic nie zabrała ze sobą. Moim niepokojom o nią towarzyszyło przerażenie. Jak sobie bez niej dam radę w Sosnowiance? Choćby nocami nie sypiała — nie poradzę! Wkrótce dowiedziałam się przypadkiem, że pani Basia od dawna już tak uciekała z miejsca na miejsce. Nie natrafiłam już na jej ślad. Więc teraz pani Marcysia była mi prawie darem niebios, zażegnała katastrofę, wierzyłam więc zabobonnie, że

swoją ufnością do świata będzie w stanie zażegnać także złe zamiary losu.

Marek z Gajówki pomógł poprzemienić i ustawić cięższe sprzęty. Pracowaliśmy prawie do utraty tchu, ale dość było wyjść przed dom, między sosny i sosenki pełne zapachu późnej leśnej wiosny, żeby zaraz zapomnieć o zmęczeniu. Ze wszystkich stron szedł do nas dobry, znajomy oddech lasu. A te strony były dla nas, a zwłaszcza dla Kaliksta, pełne zażyłej bliskości. Opowiadał mi nie raz, że chadzał po tym lesie jeszcze jako ośmioletni dziewieciolatek. Las był ten sam co dziś, tyle że o czterdzieści lat młodszy. Cztery kilometry stąd, w samym Zagórzcu, mieszkali dziadkowie Kaliksta, do których przyjeżdżał na wakacje. Rzadko opowiadał o tych czasach, kiedy to — jak się wyrażał ujawniając swój kompleks niskiego wzrostu — był „jeszcze mniejszy”. Kupił ten kawałeczek lasu i postawił — a trwało to kilkanaście lat — Sosnowiankę nie z żadnych racjonalnych przyczyn, a jedynie pod wpływem owych resentymentów. Wprawdzie las wyrósł bardzo wysoko, ale dawne lata zapadły tak głęboko, że coraz trudniej było dokopywać się do ich szczątków ugrzęzłych w pamięci. Miał nadzieję, że zachowane od zguby miejsca obrodzą mu niejako przeszłością, jak by nie wiedział, że musi być odwrotnie. Cóż? Zdaniem nieomylnej Władzy poeci dostrzegają rzeczy nierzeczywiste... Dopóki sosnowiański las był daleko, rzadko widywany, zamieszkiwali go wszyscy od dawna i bezpowrotnie nieobecni. Zbliżony do oczu ujawnił swoje sieroctwo i stał się bardziej sprawcą zagłady pamięci, niż jej wskrzesicielem. Gromadziliśmy w Sosnowiance pamiątki dla magicznego zwabiania dawnych dni, ale część nam skradli, resztę zabraliśmy do Warszawy. Kalikst nie lubił odwiedzać znajomych miejsc, które czas zmusił do sprzeniewierzenia się swej tożsamości; za żadne skarby nie odwiedziłby starego domku dziadków, w którym teraz mieścił się Klub Rolnika. Omijał go z daleka. Ale nasza Ewka od swych najpierwszych lat odwiedzała ten Duży Las, las, który zapomniał — i był to w jej oczkach pra-las, bo właśnie wszystko zaczynało się dla niej od początku. A teraz Sosnowianka miała nam nie tylko sprzyjać, ale służyć i ratować w biedzie.

Po jakim-takim przygotowaniu domu na przyjęcie malców postanowiliśmy resztę spraw odłożyć do jutra. Kalikst nie bardzo się do tego przyznawał, ale jego niektóre reakcje zdawały się świadczyć o tym, że boleje nad triumfami skrajnego utylitaryzmu, nie uznającego żadnych świętości, nad tym, że Sosnowianka ma się stać czymś w rodzaju domku jego dziadków przemienionego na Klub Rolnika. Boleje, choć widzi konieczność. Poszliśmy dla odprężenia do lasu, do tej jego jeszcze nie wytrzebionej części, która rośnie sobie pełna spokoju i ptaków, nieświadoma zamię-

rów Nadleśnictwa, z pewnością wiszących nad nią jak topór. We mchu przy mrowiskach widać było ślady rycia — głębokiego i płytkiego. Ten pierwszy ślad — to po dzikach, ten drugi — po Lesiaczkowej. Od lat już słynęła ze swej zapalczywej walki z grzybostanem: o świcie wydłubywała spod mchu, spod ściółki leśnej grzybie niemowlęta, nie większe od laskowych orzeszków, bojąc się, aby jej kto inny nie uprzedził. Zawsze napuszona, pękata, zarówno swoim wyglądem jak i obyczajem rozgrzebywania bardzo przypominała kurę, a okoliczne koguty rankiem na jej widok wybuchały nagłym pianiem.

Wstąpiliśmy jeszcze do Gajówki. Mieszkali w niej życzliwi nam, mili i bardzo zaharowani ludzie. Pani Henryka zaczęła mi współczuć, że zbyt ciężkie wzięłam na siebie obowiązki, ale zaraz dodała, że taka jest ze mnie dzieciara, że na pewno poczuje się hojnie obdarowana, kiedy oprócz rodzonej Ewki będę miała jeszcze tyle przybranych dzieci. Wiedziałam, że czereda malców całkowicie wypełni mi wakacje, ale chyba pani Henryka przeceniła mnie trochę: istotną radość przyćmiewała mi nieco trema, debiutancki strach; to będzie przecież moja pierwsza tego rodzaju inicjatywa pedagogiczna. Wiedziałam doskonale, że to nie dla Kaliksta i już na samym wstępie, skoro tylko zapadło moje wakacyjne postanowienie, umówiliśmy się, że Kalikst zostanie w Warszawie i tylko z rzadka może zajrzy tu do nas.

W Gajówce poczęstowali nas jak zwykle pysznym, ciepłym jeszcze mlekiem — prosto od krowy — i białym serem z miodem od własnych pszczół. Obiecali, że jeszcze wpadną, żeby w czymś pomóc; nie prosiłam o nic, ale w gruncie rzeczy liczyłam na ich pomoc i dobrą radę. Za sosnami przedudnił pociąg pośpieszny, który nie zatrzymuje się na tutejszej stacyjce; w przydrożnych krzakach kolejarze napoczynali nową butelkę. Wróciliśmy po tych powitalnych odwiedzinach do Sosnowianki, gdzie już pani Marcysia naszykowała pośpiesznie jedzenie, złożone głównie z jajecznicy na słoninie. Zdążyła już przynieść kopę jaj od Pasiejków.

Pasiejkowa obiecała dostarczać nam dziennie od pierwszego piętnaście litrów mleka, ale to już była nowa Pasiejkowa. Stara razem z synem zaczadziła w chałupie na śmierć tej zimy. Przeżył tylko jej wnuk, syn zmarłego Pasiejki — debil o wiecznie otwartych ustach, bełkocący coś do siebie, pędzany do niedawna przez ojca do najcięższych robót przy pomocy kija. Ocalał podobnie jak krowy, konie i pies — dzięki temu, że sypiał w nieogrzewanej szopie. Po śmierci babki i ojca najwyraźniej ożył, zaczął wysoko nosić głowę, dotychczas zawsze ciasno wtuloną w ramiona — poczuł się gospodarzem. I nawet stryjna, która przyjechała z synem, żeby za zgodą gminy objąć gospodarstwo,

musiała się z nim liczyć, bo jego całozyciowa pokora uwolniona znienacka spod groźby kija — zmieniła się w dufność, a nawet zadziorność, a że siły miał konskie, mógł ich teraz użyć w obrobie swej ocuczonej godności. Już nie wyciągał ręki po papierosa, przeciwnie, wydobywał zza przepoconej koszuli własną paczkę sportów i hojnie nimi częstował, nawet dzieci, a zwracane doń „dziękuję” napępiało go widoczną błogością. Nadal nie znał się „na pieniądzach”, nie odróżniał tysiąca od dwudziestki, ale dorwał się do współuczestnictwa we władzy, znalazł się po raz pierwszy na swoim. Dla krów i koni stał się prawie dobrotliwy. Dawniej całą swoją złość i mściwą bezradność wyładowywał na bydłach właśnie: kiedy starzy nie widzieli, tłukł je bez litości, obrzucał obraźliwymi wyzwiskami, które znosiły z pokorą. Teraz między Gieńkiem a końmi i krasulami zapanowały odmienne stosunki — ku zadowoleniu obu stron.

To był nasz główny dostawca. Mogliśmy być pewni jego rzetelnej punktualności, bo choć niedawna pokora wywietrzała, obowiązkowość została mu we krwi. Posilona jajecznicą wyruszyłam samochodem na rekonensansową wyprawę do pobliskich wiosek, znanych nam dotychczas tylko z nazw. W tej pośpiesznej wędrowce od wsi do wsi, z opóźnieniami wynikłymi z grząskich bajor pośrodku dróg, załatwiłam sporo i bez większego trudu, poznałam wielu, których ponure, podejrzliwe spojrzenia, z jakimi wychodzili na powitanie mojego fiata, zmieniały się nie do poznania z chwilą, kiedy się okazywało, że nie mam nic wspólnego z Władzą, że mam do nich tylko ludzkie sprawy. Byli to chłopci, przeważnie mało i średniorolni, stosunkowo niezależni od Łaski Pańskiej i Oka, bo tuczyli swoje nie pstre konie sami, bez niczyjej pomocy. Byli niepokonani, ale obawiam się, że gdyby nie uporczywe zamachy Władzy na Tróję Świętą może i łatwiej daliby się ujarzmić choć trochę? Mają własne poletko, własny przychówek i plon, a i Najświętszą Panienkę, jak powiadają, też mają po swojej stronie — i to wszystko daje im poczucie siły i zawziętą wytrwałość, jaką miewają wielkie przydrożne kamienie trzymające się swego miejsca mocą własnej bezwładności, która jest maską woli trwania.

Tacy byli i w Jaworówce, i w Broblach, i w Rzęsach. Gospodyni w Groblach szykowała dla mnie masło i warzywa, a jej mąż hołubił w rozchylonej nagiej garści rój pszczół, które miał zanieść do pustego ula. W odpowiedzi na moje wytrzeszczone oczy i przypuszczenie, że to twarda skóra zabezpiecza go od żądeł, uśmiechnął się i wyjaśnił, że pszczoła, a nawet pszczoła, czuje, kto jej nienawidzi, a kto ją n a w i d z i. One wiedzą, że dłoń nie zaciśnie się w pięść, że się mogą w niej roić tak dobrze jak w jakiej dziupli. Przyznam, że nigdy przedtem nie widzia-

łam czegoś podobnego. A znowu w Rzęsach Rupecki, urodziwy gawędziarz i chłopski filozof, długo mnie nie chciał wypuścić, częstował jadłem i wspominkami, opowiadał o wojnie, o Niemcach, co połamali krzyż Pański na swoją swastykę. Był zwolennikiem postępu, mechanizacji pracy na roli. Przecie nie tak dawno jeździło się na żelaznych obręczach, a ludzie mówili, że koła na gumach nie zdadzą się na nic, że będą lgnąć w błocie. I okazało się, że nieprawda: na gumach lepiej. Tylko cała bieda w tym, że jak dadzą opony, to lubię, żeby na nich jechać w Ich stronę, a ja mam swoje jazdy i swoją stronę, więc wolę przemówić do ręki i mam swoje dla siebie.

Za oknem Rupeckich, nie od podwórza, ale z drugiej strony, rozciąga się jeden z najpiękniejszych nie leśnych krajobrazów, jakie widziałam w tych nie najbardziej malowniczych okolicach. Za rzędem zaokiennych słoneczników ziemia szeroko zbiega w dół, w łukową dolinę u brzegu krętego koryta Ciekotki, zamkniętą wysoką ścianą topól, lip i jesionów. Tam się wypasa krowy, a zmęczone oczy po robocie też się mogą pożywić tą zielenią. Takich kojących odległości nie ma w naszym lesie, bo tam, gdzie łysieją świeże poręby, nie przestrzeń się rozlega, lecz bije w oczy wyrwa w krajobrazie. Rupeccy przytakiwali moim zachwytom nad dolinką, ale to były moje, nietutejsze zachwyty. Dla nich były to miejsca oswojone od dawna, tak że prawie niewidoczne, a myślę też, że był to bardziej wypas dla krów niż śliczna łąka i że w okresach wylewów Ciekotki bardziej żał im trawy niż widoku. No pewnie, trzeba żyć z ziemią i z ziemi, żeby się nie dziwić temu. A i ja tu przyszłam nie dla łąki, tylko po warzywa.

Kiedy odjeżdżałam, zapraszali nie tylko na następne zakupy, ale na odwiedziny i pogawędkę. Wracałam przez Zagórze, miejscinę osoblwią, która dla Kaliksta skończyła się przed laty wraz ze śmiercią jego dziadków, pochowanych na tutejszym cmentarzu. Na samym skraju miasteczka — które już dawno nie jest miasteczkiem — zauważyłam tablicę przydrożną, którą musiałam przeoczyć jadąc w tamtą stronę. Widniał na niej wymalowany wielkimi literami (było to nie tutejsze, a co najmniej wojewódzkie literństwo) napis: ZAGÓRZE BIERZE UDZIAŁ W KONKURSIE NA MISTRZA GOSPODARNOŚCI.

Ho-ho! Wielkie ambicje ma wójt, a właściwie — według nowoimportowanej nomenklatury — Naczelnik Gminy, obywatel Jelitko, tak niewspółmiernie wielkie w stosunku do tutejszej rzeczywistości, do biedy, która aż piszczy, że hasło odczytałam jako niemal kpinę kalającą własne gniazdo, a nawet samą ideę gospodarności, z której nie godzi się naśmiewać. Ale może nie uzasadniony był mój sceptycyzm? Przy głównej drodze-ulicy trwało

właśnie malowanie parkanów na różne kolory z przewagą fioleto i czerwieni, co zresztą, jak się okazało, nie wynikało ze specyficznych upodobań kolorystycznych miejscowych obywateli, ale z braku innych farb w geesie. Próchniejące rudery były na gwałt objane wrzaskliwie żółtymi arkuszami, jakiegoś sztucznego tworzywa, ale tylko z tej strony, od której widoczne były z drogi. Być może zagórzańskie władze postanowiły, że nie dadzą się zdystansować proboszczowi, który już przed jakimś czasem odświeżył fasadę barokowego kościoła, malując olejną farbą kamiennie figury w niszach. Dotychczasowa aktywność zagórzan, zwłaszcza młodych, której istnieniu nie da się zaprzeczyć, dawała o sobie znać niejednokrotnie, osiągając nie raz wyniki rekordowe, by nie powiedzieć — imponujące. Kiedy nadleśnictwo podarowało Zagórzowi paręset młodych drzewek — jarzębin, klonów i lip — i posadziło je w wydeptanych, pozbawionych zieleni kątach i wokół rynku, inicjatywa młodzieży przejawiała się samorzutnie: w ciągu niespełna tygodnia wyłamano lub powyrywano wszystko oprócz jednej jarzębinki, która rosła tak blisko okna piekarza, że została widać uznana za własność prywatną, przeznaczoną do zniszczenia w dalszej kolejności. Na razie rośnie, mizerna jeszcze. Ale nad Klubem Rolnika, dawnym domem dziadków Kaliksta, wznosi się duża, wiekowa lipa. Jak mi Kalikst opowiadał, posadził ją dziadek, jako dwunastoletni chłopiec w 1882 roku, wkrótce po wielkim pożarze, który strawił prawie całe Zagórze. Lipa miała szczęście, widocznie ówczesna młodzież nie była jeszcze tak przedsiębiorcza jak dziś i pozwoliła jej rosnąć. A kiedy nastała epoka wyłamywania drzewek, czas radosnych spustoszeń, lipa zdążyła przez lata tak okrzepnąć, wyrosnąć, pogrubieć w pniu, że już potrafiłaby się oprzeć wszelkim zamachom i rośnie po dziś dzień, choć nie wiem, czy zdąży dożyć swego stulecia, już przecież bliskiego — za pięć lat. Bowiem Naczelnik Jelitko w ramach planów perspektywicznych zamierza wkrótce zburzyć domek dziadków i przeprowadzić tędy drogę: zapewne lipa padnie ofiarą tej europeizacji Zagórza, jedno z ostatnich starych drzew w tej osadzie. Domku Kalikstowi nie żal, powiada, że dom już dawno umarł, zmarłych należy grzebać. Szkoda tylko tej lipy, zwłaszcza w czasie, kiedy całkiem innej, abstrakcyjnej, rozrósłej szeroko Lipy nikt karczować nie zamierza: jest pod ochroną. W jej cieniu żyjemy. Większość młodych wyjechała w atrakcyjniejsze strony, a ci, co pozostali, mniej się już węsają bez celu, zwłaszcza po ciemku. Znad tutejszych strzech, blach, gontów i eternitów wznoszą się dubeltowe, bo odległe od stacji nadawczej, anteny telewizyjne. Młodzież siedzi przed małym ekranem w domkach i chałupach — jak ich dziadkowie pod świętym obrazem — i uczy się życia, a najzdolniejsi znajdują dla siebie

w wielu programach instruktaż, który pozwoli im na precyzyjniejszą działalność, niż łamanie jarzębin — np. na włamania do Sosnowianki, dokonywane w rękawiczkach, według telewizyjnych wskazówek.

Nie jest to sąsiedztwo najbardziej pożądane, ale nie ma na to rady. Dobrze że dzieli nas choć te cztery kilometry z ogonkiem. A nasi najbliżsi sąsiedzi — nie licząc zaprzyjaźnionej Gajówki — mają tę dobrą stronę, że jest ich mało, gnieźdzą się w chałupach zbudowanych ze starych podkładów kolejowych — z rzadka, po różnych podleśnych i śródleśnych zakamarkach. To nie wieś, jak Rzęsy czy Jaworówka, to nawet nie Zagórze, ale przystacyjna osada utrzymująca się z rent kolejowych, ze sprzedaży grzybów i kłusownictwa. Z Pasiejkami mieszkamy interesy mleczne i jajczarskie, od innych trzymamy się z daleka. Zwłaszcza od czasu, kiedy jedni zaczęli nas podkradać, inni kupowali od włamywacza lalki naszej Ewki, a Grobczyńska przypatrywała się bezczynnie choć z bezinteresowną ciekawością złodziejowi przełazącemu przez nasze ogrodzenie, z czego później zwierzyła się komuś na stacji. I na jego pytanie — dlaczego nie spłoszyła go, albo nie zawiadomiła milicji czy Gajówki — odrzekła: Abo mi płacą za dozоровanie? Ja śpiewam — wszystkie nasze dzienne sprawy, a nie — wszystkie cudze!

Dobiłam wreszcie do Sosnowianki: było w niej ciepło, jasno, domowicie. Jeszcze parę dni, dokładnie dwa i pół, i zaczną się moje wakacje z dziećmi. Pani Marcysia musi wprowadzić „tylko na troszku” odjechać do rodziny za Białystok, ale zrobiła tu tyle, tak bardzo mi pomogła, że już teraz wiedziałam: dam sobie radę, zwłaszcza, że wkrótce przyjedzie Ewelina, moja przyjaciółka, poetka znajdująca się w podobnie ciężkiej sytuacji, co Kalikst. I z ironicznym dystansem znosząca swój los. Zgłosiła mi swoją entuzjastyczną gotowość, mówiąc, że chce się sprawdzić przy kuchni, przy dzieciakach, przy gotowaniu zupy i pieczeniu ciasta, bo samo uprawianie poezji nie potwierdza jej dostatecznie w jej własnych oczach. Ten jej ironiczny dystans podszyty był pobłażliwym zdziwieniem i ciekawością, do czego jeszcze Władza może być zdolna. Wprowadzić nasz kominiarz powiedział kiedyś z patosem: „Jak pucujesz konia, to się nie dziw, że wyjdiesz na murzyna, a jak się przejeździsz po łgarstwach, to się spodziewaj, że cię obkłamia od stóp do głowy”, ale ja się niepoprawnie dziwię, to jest moja asekuracja przed uznaniem nagminności za normę. Nasz kochany kuzyn Dudzio zaczął od niedziwienia się, potem już przestał rozróżniać, co nieuchronnie musiało zakończyć się awansem i karierą. Współczuję mu; ja próbuję radzić sobie inaczej — wedle okupacyjnej recepty ciotki Dżarzdżkowej: w ostateczności zawsze można jeszcze wypiekać ciasteczka albo

robić na drutach. Akurat nie opanowałam tych dwóch umiejętności, ale po swojemu trzymam się jej przykazań.

Buraczki i marchew wetknęłam w piasek, żeby nie zwiędły, rozłożyłam na łódeczkach koce, wykonałam jeszcze sto innych czynności. W pokojach na górze było trzy razy po trzy łódeczka i raz dwa. Razem jedenaście. Ja miałam spać na amerykańce, moja Ewka z dziećmi na górze, Ewelina na wersalce w pokoiku za kuchnią. Wyglądało to wszystko schludnie i dość przestronnie. Dla pani Marcysi ustawiliśmy kozetkę na mansardzie pod krokwiami. Byłam pełna napięcia, jak przed startem, ale przyobiecana obecność Eweliny dodawała mi pewności i wiary, że będzie dobrze. W wazonikach i w słojach było już pełno kwiatów — ogrodowych z Gajówki i leśno-łukowych — na inaugurację, a całą pracę przygotowawczą ukoronowały kolorowe nocniczki kupione bez trudu w Zagórze, gdzie nie miały szczególnego zbytu. Myślałam, że po tym wszystkim zdążę jeszcze odsapnąć, ale mi się to nie udało. Od rana pielgrzymowali rodzice z dziećmi i walizkami ze stacji kolejowej, a jeszcze więcej zajeżdżało przed bramę maluchami i trabantami; wśród tego samochodowego drobiu królował jak indor Alfa Romeo.

Niektóre dzieci znałam już bardzo przelotnie z pierwszych wizyt w Warszawie, inne widziałam teraz pierwszy raz. Mniejsze trzymały się kurczowo swoich mamus — oprócz Klementynki, najmłodszej, bo niespełna pięcioletniej, która od razu wyruszyła na myskowanie po domu i zwiedzanie małego lasu wokół Sosnowianki. Mirek, gorąco i trwożnie polecany mi przez matkę, był chyba, mimo swych jedenastu lat, najbardziej niechętny do pozostania. Obiecywał płaczliwie, że nie będzie wcale sypiał, że się okropnie czuje, że to chyba musi być niedotlenienie albo i coś gorszego, że go boli śledziona od za ciasnej gumki od majtek, że natychmiast musi zażyć lekarstwo od smutku — po czym odbyło się pełne rozpacz pożegnanie z mamą, a łzy długo nie chciały wyschnąć. Na wierzchu swojej walizki trzymał torbę lekarstw, które z trudem udało mi się przejąć. Mańka nie płakała, tylko z zaciętą buzią spoglądała ukradkiem, a w jej oczach ciał się ostry sprzeciw, jak mi się wydało, wobec wszystkiego, co się ma dziać. Sławek nie protestował, nie próbował walczyć przeciwko nieodwołalnym decyzjom rodziców i bezzwłocznie podjął akcję mającą na celu zaskarwienie sobie względów cioci — jak mnie nazwał, zapewne w przewidywaniu płynących stąd korzyści, nie dowierzając mojej bezinteresowności w uczuciach.

Pozostałe dzieci trzymały się znacznie lepiej, a niektóre, zwłaszcza Irzinek (nazywany tak nieco później) czuł się od pierwszej chwili jak u siebie w domu. Jak się miało okazać, nie stracił rezonu do końca i mimo dokuczliwości i kpinek kolegów zach-

wał niezmałą pogodę ducha i niebywały apetyt. Starsze dzieci wyjaśniły mi później, że przewisko, jakie mu nadały, zostało wzięte z jakiejś czeskiej krótkometrażówki pokazanej niedawno w telewizji. Był tam tatuś, który szukał w klinice położniczej swego nowonarodzonego Irzinka — chyba jakoś tak, jeśli czegoś nie przekreśliłam. Tatuś wędrował od sali do sali, czytał napisy na drzwiach: chłopcy, dziewczynki, wcześniaki, dzieci niedorozwinięte i — na ostatnich drzwiach napis: Irzinek... Mimo odporności chłopca, odporności na wszystko, na dobre i złe, musiałam go potem nie raz bronić przed rozbuchaną napastliwością paru chłopców, którzy najpewniej chcieli sprawdzić doświadczalnie, czy istnieją bodźce, na które Irzinek okazałby się wrażliwy. Przesadzili w tych eksperymentach i oto musiałam utulić płaczącego Irzianka i skarcić napastników.

Sławek chodził ze mną jak kurczę za kwoką i dokładał starań, żeby się cioci na coś przydać.

— Ciciu — proponował. — Może ja namaluję na drodze pasy, taką zebnę?

— Po co? Tu trzeba uważać, czy coś nie jedzie, ale nie maluje się pasów na leśnej drodze.

— To milicja się nie przyczepi? To dlaczego co dzień do cioci przychodzą? Może szukają złodzieja?

To prawda, nigdy nie bywało tu tak gęsto od milicjantów, jak teraz. Dawniej miewali swoje jakieś nie całkiem tutejsze sprawy, widywaliśmy ich rzadko, dopiero wypadki włamań i kradzieży w Sosnowiance sprowadzały ich tu na krótko i ponieważ. Wtedy przewyciężając swoją opieszałość przekraczali wyjątkowo sosnowiańskie progi. Odnosili dotychczas sukcesy, rzecz by można, cząstkowe. Raz zdjęli odciski palców, które im „się nie udały, bo przestępca krzywo i ch odbił na szybie”, innym razem kapral Bałdyga ganiał po pokojach z pistoletem w garści: koniec lufy pierwszy zaglądał zza węgła drzwi do każdego pomieszczenia — była to istna gonitwa z Dzikiego Zachodu, jak, myląc strony świata, zapewniał potem Mirek — a tymczasem włamywacz siedział sobie na dachu koło komina, przeczekując spokojnie tę waleczną pantominę.

Teraz mundurowi upodobali sobie Sosnowiankę i jej bezpośrednie leśne sąsiedztwo. Zaglądali i do nas, nadciągali jak émy do światła. Raz — pogadać sobie, raz — zapytać, czy dzieci są zameldowane w gminie. Dziwiła ta troskliwość na tle dotychczasowej obojętności, ale raz — pogadałam, innym razem uspokoiłam ich, że obowiązek zameldowania został przeze mnie skrzętnie i w porę dopełniony. To znowu któregoś dnia zainteresowali się, czy Sołtys już wie. Czy go zawiadomiłam, że kolonie. Z przykrością musiałam zaprzeczyć. Sołtys od początku miesiąca nie

zdążył jeszcze ani razu wytrzeźwieć. Raz nawet, kiedy orbitował na szosie, chciałam go podwieźć samochodem do celu jego zachwianej wędrówki, ale odmówił, prosząc tylko, żebym go skierowała do rowu, gdzie zamierza wypocząć. Tak, milicjanci wiedzieli o tym: ma słabą głowę — wyjaśnili, wskazując istotną przyczynę niedyspozycji Sołtysa. — Poczekaj pani, aż mu pieniędzy zabraknie, a z głowy wywietrzeje. Nie doczekałam się, bo Sołtys w obawie przed nadejściem tej chwili powiesił się. I w melinie starej Korpuchowej zabrakło stałego klienta, który miał u niej kredyt spłacany od czasu do czasu ze środków płatniczych sołectwa.

Od razu pierwszego dnia kolonii przyjechała niezawodna Ewelina z teką pełną książek (które wkrótce porzuciła na rzecz znalezionej w Sosnowiance Książki Kucharskiej), rękopisów oraz z kotką Sabcią, kundlem Miśkiem i żółciem Bezimiennym. W ten sposób przybyła dzieciom trójka nowych przyjaciół i pensjonariuszy domowej menażerii, którą dotychczas stanowił jednoosobowo nasz kurczak salonowy. W czasie nagłych wizyt Funkcjonariuszy Ewelina nosiła go na ramieniu, albo zamykała w ażurowej skrzynce, jako że nie respektował przepisów sanitarnych, a nawet nie uznawał kurzych obyczajów. Zamiast grzędy upodobał sobie nasze głowy lub ramiona, zamiast podwórka — jadalnię, zwaną jeszcze z dawniejszych, przedkolonijnych czasów salonem. Był to kurczak szczęśliwie ocalały z parki, której druga połowa, jeszcze w postaci żółtego kłębuszka, zginęła w katastrofie.

Na prośbę mojej Ewki, najgorętszą z prośb, kupiłam jej na targu małe, żółte kurczątka, a że Mańka natychmiast przyłączyła się do jej błagania, dokupiłam drugie, takie same, maleńkie. Trzymały je w rączkach przez całą powrotną drogę z Zagórza i nie pozwoliły zabrać i schować do pudełka.

— Ale jak już je puścimy w Sosnowiance — zafrasowała się Ewka — to jak się pozna, które moje, które twoje? Są takie samiusienkie!

— Może się im jaką kokardkę przywiąże? — proponowała Mańka. — Twojemu niebieską, a mojemu czerwoną.

— A właśnie że mojemu czerwoną! — postanowiła Ewka.

Spór pozostał nierozstrzygnięty, a po kilku godzinach nadeszła tragiczna chwila, która uczyniła go bezprzedmiotowym. W czasie gonitwy i szalonych podskoków, których mistrzynią była Mańka, stało się. Dziewczynka przewróciła się i przygniotła kurczątka. Zerwała się, zamarła w bezruchu, jak to żółte piskłe wgniecionie w trawę i nie dające już znaku życia. Ewka złapała drugie, ocalałe, i na wszelki wypadek schowała do kieszonki. Zrobiło się cicho, dzieci podeszły bliżej i nagle któreś z nich zaczęło skandować:

— Mańka morderka! Mańka morderka! Mańka morderka!
 — Morderczyni, nie morderka! — to Sławek wniósł poprawkę natury formalnej, przyłączając się do okrzyków w ich nowej, bezbłędnej wersji.

Zrozpaczona Mańka zamierzyła się na prześladowców i oszczerców kawałkiem kory odłupanej z uschłej sosny, ale siły były nierówne, musiała skapitulować, rozplakała się po cichu, uciekając chyba nie przed napaścią, lecz w obawie, żeby nikt nie zauważył jej łez. Próbowalam wytłumaczyć dzieciom, że nie można obrażać koleżanki za to, co się stało niechcący i ją samą pogrążyło w najczarniejszej żałobie, że Mańka i tak jest biedna i nie wolno do tego smutku dodawać jej nowych smutków, nie zasłużonych. Ale podziały nie moje argumenty, tylko czyn Ewki: podarowała Mańce uroczyscie swojego ocalałego kurczaka. Była to nie byle jaka pociecha i dowód nie lada zaufania — tak to musiały odczuć zaskoczone dzieciaki, bo dały jej spokój.

Teraz zwierząt przybyło — i to takich, które nikomu nie zrobią krzywdy, a i im krzywda się nie stanie żadna, zwłaszcza żółtowiwi Bezimiennemu, bo choćby nie wiem jaki ciężar zwałił się na niego przypadkiem, twarda skorupa zawsze go uchroni. Najtroskliwsza wobec nowoprzybyłych była Mańka, jak by chciała zrehabilitować się za nieszczęsną sprawę kurczęcia. Już wkrótce okazać się miało, że jeszcze ktoś przybył dzieciom, najmłodszy przyjaciel i najtroskliwszy opiekun — Ewelina.

Dopiero po kilku dniach wszystko się ułożyło jak należy, miejsca dzieci zostały wyznaczone, dyżurni wdrożyli się do swoich obowiązków, ale porządek obowiązywał już od samego początku. Bitwy o miejsca, o łóżka nie było — ja i Ewelina przydzieliliśmy je każdemu, uzasadniając zresztą uzasadnione reklamacje w rodzaju: Ja chcę blisko Mirka, bo ja go znam z domu. Albo: On gada przez sen i mnie się od tego śnią różne głośnie rzeczy! — Ale takie uwagi jak ta zgłaszane były dopiero później, po pierwszych doświadczeniach wspólnego mieszkania i sąsiedzkich noclegów.

Były to i moje pierwsze doświadczenia, zbierane co dzień po trochu, stopniowo odsłaniające mi prawdziwe buzie duchowe moich wychowanków. Tego pierwszego dnia, po śpiesznych, urywkowych rozmowach z rodzinami, po tumulcie ich przyjazdów i odjazdów — niewiele jeszcze wiedziałam. Objawiały się dopiero ich najbardziej widoczne cechy usposobień i przyzwyczajzeń. I kiedy tłoczyły się hałaśliwie przy panu Dulaku, który przyjechał, żeby zainstalować huśtawki — działałam jeszcze trochę po omacku: znałam ich dziesięcioro imion, niewiele więcej.

(c.d.n.)

Irena BOROWIECKA

Aleksandr Galicz

Zmarł tragicznie, więc przedwcześnie, pisarz i pieśniarz rosyjski, Aleksandr Galicz. Urodził się w 1919 roku, zatem przeżył pięćdziesiąt osiem lat. Początkowo uprawiał twórczość dramatyczną, oraz pracował w filmie. Jednak najlepsze jego utwory zostały zabronione przez cenzurę i nigdy nie ujrzały światła teatralnych kinkietów. Na początku lat sześćdziesiątych Galicz przerzucił się na poetyckie piosenkarstwo przy akompaniamencie gitary i rychło zdobył olbrzymią popularność w całym Związku Sowieckim. Jego piosenki, nagrywane prywatnie (nielegalnie), chodziły z rąk do rąk i stały się powszechnie znane (podobnie, jak piosenki sławnego Gruzina, tworzącego w języku rosyjskim, Bułata Okudźawy). Rychło na Galicza i na jego gitarę zwróciła uwagę sowiecka Bezpieka. Nie mogło być inaczej.

Prawie wszystkie jego pieśni zawierają ostre polityczne akcenty, satyryczną krytykę sowieckiej rzeczywistości, moralne potępienie, wyrażone niekiedy w zabawnej grotesce, a najczęściej w gryzącym, bezpardonowym pamflocie. Jednemu ze zbiorów tych wierszy-pieśni, wydanemu na emigracji (we Frankfurcie nad Menem), Galicz dał znamienity tytuł: „Pokolenie skazanych” (*Pakaljenje abriezonnych*). Warto przytoczyć urywki ze wstępu do tego zbioru, pióra A. Drora: „Gitaro Galicza”.

„W swojej całości pieśni te... stanowią encyklopedię naszej współczesnej rzeczywistości rosyjskiej. W pieśniach Galicza — cała Rosja. Zarówno Rosja czynna, jak Rosja beczynna. Czynna — to ta, która wybiera, jak wybierano przed wiekami: wolność, lub donosićielstwo. Wielu wybiera to drugie... A inni — inni konają w łagrach Norylska i Workuty, krzycząc w rozpacz, z doznanych krzywd, z bólu, z głodu, tracąc zmysły i kończąc samobójstwem...”

„Ale w wierszach Galicza jest jeszcze inna Rosja, Rosja beczynna — ludzie, którzy niczego nie wybierają: ani willi w Powszynie, ani śmierci na Kołymie — ludzie, którzy po prostu żyją sobie na naszym globie, gdzie wszystko teraz czemuś idzie 'skosem i krzywo'. Niczym nie zawiniли i niczego

nie rozumieją; po prostu dostali się między żarna historii, które ich połamaly, pokaleczyły ich życie i psychologię, przekreśliły wszelkie pojęcia o moralności, o cnocie i grzechu. Tak, zakład dla wariatów stał się najlepszym miejscem odpoczynku w tym 'zautomatyzowanym stuleciu': 'U wariatów — tam jest życie, któżby się spodziewał! Zechcesz — spać się kładziesz, zechcesz — pieśni śpiewasz!'. I mimo woli zadajesz sobie pytanie: gdzie właściwie znajduje się ten dom dla wariatów — między ścianami szpitala, czy poza jego ścianami?''.

Tego cenzorom, łapsom, donosicielom, katom, raz na zawsze napiętnowanym w pieśni, było — oczywiście — za dużo. Galicz został wyrzucony ze wszystkich organizacji, do których z racji swoich prac i zajęć należał: ze Związku Pisarzy, ze Związku Filmowców, z Funduszu Literackiego (przed nim to samo wyróżnienie spotkało Aleksandra Sołżenicyna). Poddanego nieustannej nagonce, w roku 1974 zmuszono do wyjazdu z ZSSR na Zachód. Zginął, jak napisałem uprzednio, przewczesnie, w nieszczęśliwym wypadku, spowodowanym krótkim snem. Pozostały po nim jego pieśni. To mniej ważne, że dotarły na emigrację; ważne, że nadal rozbrzmiewają w jego kraju, a jak wiadomo skądinąd, słuchają ich — zawsze nielegalnie — tysiące, setki tysięcy — młodzież przede wszystkim.

Słuchają ich w tym tragicznym kraju, gdzie — zgodnie ze słowami pieśniarza — żeby zapomnieć o rzeczywistości, należy wypić butelkę wódki na głodny żołądek. A ponadto pozostaje jeszcze sznur, żeby się na nim obwiesić. „Siedmiostrunna gitara — czarodziejka” — śpiewała straszne rzeczy. Nie wpadała w rozpacz, oskarżała. Była w dłoniach pieśniarza, jak szybkostrzelna broń.

Wspomniany zbiór, „Pokolenie skazanych”, jest poetycko bardzo nierówny. Podejrzewam, choć nie jestem pewny, że Galicz często improwizował i następnie nie dbał o nadanie odpowiedniego szlifu spontanicznie powstającym utworom. Ale to wynikało z samego rodzaju, jaki uprawiał. Zjawisko jest niestety interesujące i wielka szkoda, że na Zachodzie nie zauważono. W najbardziej totalitarnym, policyjnym, militarystycznym kraju odrodziło się coś w rodzaju instytucji średniowiecznych trubadurów, truverów, minstrelów, minnessengerów... Ale tamci, przed wiekami, opiewali miłość, realną, lub wyimaginowaną, sławili urodę księżniczek i kasztelanek, a niekiedy także czyny możnych protektorów. Ich spadkobiercy w Sowietach są poetami protestu i bezkompromisowej walki.

Ach, prawda, powiecie mi, że na Zachodzie także istnieje i bujnie rozwija się pieśń-protest, zanurzona po uszy w problemy społecznej. Słynny Atahualpa Yupanqui, południowo-amerykański Indianin, śpiewający przy akompaniamencie gitary, czyż nie jest odpowiednikiem Galicza? Niewątpliwie, ale tylko do pewnego stopnia, gdyż istnieją różnice i to jak najbardziej zasadnicze. Zachodni pieśniarze, nawet ci zdecydowanie rewolucyjni, występują publicznie bez najmniejszych przeszkód, płyty z ich nagraniami rozchodzą się legalnie w setkach tysięcy egzem-

plarzy, zarabiają grube pieniądze, żaden z nich nie jest represjonowany, żadnego nie skazuje się na banicję. Działają bez cenzury, cieszą się wolnością, właściwie nieograniczoną. Krótko: na kapitalistycznym Zachodzie w ślad za pieśnią-protestem idą tuste honoraria; w „ojczyźnie proletariatu” — więzienie, obóz katorżniczej pracy, zakład psychiatryczny, a w najlepszym razie przymusowa banicja. Więc o żadnym znaku równania nie może być mowy.

„Pokolenie skazanych” dzieli się na „Wybieram wolność”, „Obłoki płyną do Abakanu”, „Erika odbija cztery kopie”, „Przerażliwe stulecie”, „Ballady” i „Poematy”. Ten ostatni dział koronuje „Kadysz”, zaopatrzony wyjaśniającą notą autora. „Kadysz — to żydowska modlitwa żałobna, którą syn odmawia ku pamięci zmarłego ojca”. I dalej: „Poeemat ten jest poświęcony pamięci wielkiego polskiego pisarza, lekarza i pedagoga, Jakuba Goldszmidta (Janusza Korczaka), który zginął razem ze swoimi wychowankami z warszawskiej szkoły-ochronki, 'Dom sierot', w eksterminacyjnym obozie w Treblince*”.

*Znużony jestem, iż powtarzam to samo w uporze,
iż upadam i powracam znów, jak do domu.
Nie potrafię się modlić — wybacz mi, Panie Boże,
nie potrafię się modlić — wybacz mi, Panie, i wspomóż.*



„Nikommu nie życzę niczego złego, po prostu nie wiem, jak się to robi...”

Janusz Korczak „Dziennik”.

*Z Warszawy wciąż odchodzą eszelony,
coraz bezludniej w getcie, w mrok się zmienia jasność —
i, mruga w oknie gwiazdy blask przyćmiony...
Żegnając się, odchodzą eszelony,
a ja się żegnam z mą pamięcią własną.*

*Cygan był złodziej, Cygan-wariat,
tym większa jest uciecha,
strun śpiewnych siedem ciągle szarpał
i do mnie się uśmiechał;
i mówił: obyś pojąć mógł
cygański nasz rachunek —
dni siedem stworzył dla nas Bóg,
a diabeł — siódmą strunę...
I nie na próżno się nastęrcza
ta cyfra z cyfr wybrana,
bo proszę, spójrz: toż nawet tęcza
jest z siedmiu barw utkana...*

* Przekładając, wybrałem z poematu kilka najważniejszych i, moim zdaniem, najlepszych fragmentów.

Na miasto upał spadł miedziany,
a jam posiadacz wszystkich jego cudów;
mam wielki skarb, więc jestem pan nad pany,
dwadzieścia siedem lat — i jestem zakochany
w pięknych księżniczkach i w dziewczętach z ludu.

Pod twym skrzydłem chciałem się przytulić,
miasto mego dzieciństwa, uміłowane najgoręcej...
Jam szczęśliwy, że w nieszczęściu i przy świetle
byłem twoim sługą i królem.
Czyniłem zawsze, com mógł,
losów swych buntowniczo żem nie śledził
i odpowiem na przedśmiertnej spowiedzi,
będzie to dziecinny Bóg;
— O nic, Panie, nie chcę się upomnieć,
czegom pragnął, wszystko los mi ziścił...
Tylko proszę — zbaw od nienawiści,
bo nienawiść nie pasuje do mnie.

Przyszła wojenny czas — jestem lekarzem,
mam lat trzydzieści siedem i jest rok czternasty;
w szpitalu pot i krew na twarzach
i ktoś w malignie śpiewa — to się zdarza —
o dziwnym smutku, który właśnie nastąpił:
„Rozpali się, rozpali, moja gwiazdo,
gwiazdo urocza, gwiazdo kochania,
ty jedna ku mnie chętnie się skłaniasz,
a innej gwiazdy nie będzie...”

Dnia owego nieszczęściem opadła mnie ciemność,
w dżdżystym dniu zakończyła się miłość,
by na zawsze pożegnać się ze mną,
pograniczny las przekroczyłaś.
Jakże mogliśmy wiedzieć, że to, co się stało,
okaże się dla nas zbawieniem?
Niczym rękaw kaleki sztandar wyleniały
żałosnym poruszał się cieniem.
W obcą zimę jesienna zmieniła się topiel
— obca zima, a jednak bliska —,
film francuski kręcili w nędznym bioskopie,
a opodał wrzało targowisko;
z wielkim trudem się wlekły konie ladajaki,
a w kawiarni — para rzewnych przybłędów —
zapijaliśmy smutek mocnym koniakiem,
zagryzając go jabłkiem uwiędłym.
I w milczeniu — tak milczy się przed odjazdem,
w przekonaniu, że wszystko jest marność —,
więc w milczeniu piliśmy pod tę gwiazdę,
co nad ciszą świeci cmentarną.

„A jeśli umrę, niech cisza cmentarna
rozpali się w taką samą gwiazdę...”

Z Warszawy wciąż odchodzą eszelony,
nie łudźmy się, ja was nie zbawię.
Niech więc pozdrawia gwiazda nasze zgony,
sześciopromienna gwiazda, której blask przyćmiony
tli się na mojej piersi i rękawie.

Echo zawoła mnie dawnym imieniem,
pokryje ziemię śnieg bajeczny —
i stanę się ponownie dzieckiem,
w świecie radosnym i słonecznym.
Kiedy się stanę znów obłoczkiem,
kiedy się stanę znowu wróbelkiem,
gdy chłopcem stanę się maleńkim,
a śnieg zapachnie, jak jabłecznik.
Gdy z ganku zniosą wpółsenne
i zbudzę się od skrzypu sanek;
gdy chłopcem stanę się maleńkim,
by odkryć świat zaczarowany.

... Gwiazda za oknem i na piersi gwiazda
i nie wiesz, gdzie jest większa jasność.
Zmęczony jestem, do senności skłonny —
żegnając się, odchodzą eszelony,
a ja się żegnam z tą pamięcią własną...

W „Domu sierot” mieszkała dziewczynka imieniem Natia. Po przebyciu ciężkiej choroby nie była w stanie chodzić, ale za to ładnie rysowała i układała piosenki — oto jedna z nich:

PIOSENKA MAŁEJ NATI O OKRĘCIKU

Niech-no odwilż zaszumi w wiosennych strumieniach,
wtedy droga błękitną, tonią głęboką
popłynie mój okręcik ku wyspie Zbawienia,
gdzie nie ma już wojen, gdzie słońce i spokój.
Kleitał okręcik,
śpiewałam, jak zięba —
próżne moje chęci,
zaginął okręcik.
Nie na groźnych głębiach,
ani w burzy piekle,
lecz podczas rewizji
butami go zgnetli...
Ale niech odwilż zaszumi w wiosennych strumieniach
i klangor żurawi kres położy kłęskom,

ku słonecznym brzegom, ku wyspie Zbawienia
.....

A potem przyszedł taki dzień, kiedy całemu „Domowi sierot”, dzieciom i wychowawcom, kazano stawić się z rzeczami na „Umschlagplatzu” (tak za okupacji niemieckiej nazywał się plac koło Dworca Gdańskiego).

Eszelon o północy odejdzie i koniec,
sapie parowóz — to ostatni „Szalom” —,
ścierwa w szeregu stoją na peronie,
ścierwa odejście pociągu pochwała.
Eszelon o północy ma w podróż się zerwać,
eszelon odchodzi, gdzie czeka go raj,
i marzą o tym hitlerowskie ścierwa,
by donieść, że Polska już jest „judenfrei”.
„Judenfrei” Warszawa i Poznań i Kraków,
cały protektorat, cały wielki kraj,
w pajęczynie czarnych, diabelskich znaków,
dziś i już na wieki — „judenfrei”.

Na „Umschlagplatz'u” tłum czeka od rana.
„Kto dziś?” — znużone getto spoziera...
Rozlega się głośno ostatnia H o s a n n a —
to szczerknął policjant: „Dom sierot”!
Dla tłumacza jest to chwila najgorsza,
krtań wyschnięta, w sercu udręka,
ale wstaje stary doktor Korczak,
z małą Natią, uniesioną na rękach.
W górę sztandar i wzrok się rozjarzył,
włos rozwiany na czole się zwinął —
i goreje na zielonym sztandarze
koniczyna, złota koniczyna!
Dwaj trębaczę już podają sygnał,
sztandar w górę, z nim wyżej urosną;
usta dzieci na wietrze nie stygną,
zaczynają dzieci dumną piosnkę:

„Nasz sławny pochód zaczął się po prostu,
od Starego Miasta do Gdańskiego mostu
i dalej z piosenką, w szeregach według wzrostu,
do przedmieść warszawskich, do Gdańskiego mostu!
Do mostu!
Po ulicach Gdańska, po ulicach Gdańska
maszerują dziewczynki, Marysia i Daśka,
a mały Boleczek, a Bolek wstrząśnięty
zastyga w milczeniu nad morskim oddechem...”

Pachnie morzem, ciepłym i słonym,
wiecznym morzem i też doliną —
i goreje na sztandarze zielonym
koniczyna, złota koniczyna!
Idziemy porządnie, czwórkami,
wkoło nas SS-mannów wronie głowy;
zaraz potem zaczyna się podanie,
potem peron się zaczyna kolejowy.
Tłumacz biegnie — nieszczęśliwa postać —,
już jest przy mnie, słowa jego nieśmiałe:
„Panie Korczak, pan tu może zostać” —
jeśli bajka mówi prawdę, zmilczałem.
Ku pociągowi, ku żelaznej tratwie
prowadzę, jak do klasy, moje dzieci;
po peronie byłoby łatwiej,
lecz idziemy na przelaj, naprzeciw.
Podpierając się, idziemy wzajem,
przechodzimy wpoprzek, na przelaj —
i, zmieszani, salutują policaję
naszą drogę, co się już rozpoczęła.

Cichnie płacz w piekle wagonów,
jakże dłuży się pożegnalna godzina...
I goreje na sztandarze zielonym
koniczyna, złota koniczyna!
Może było w życiu inaczej,
ale bajka mówi prawdę szczerą:
do swojego ostatniego wagonu,
do męczeństwa wróżącego wagonu,
do chlorkiem cuchnącego wagonu
zbliża się, śpiewając, „Dom sierot”.
„Ulicami Łodzi, ulicami Łodzi
tłum gości szanownych powoli przechodzi;
przechodzą chłopcy, przechodzą dziewczęta
i w dudy dmuchają i grają od święta...
I grają od święta!
Prowadzą nas drogi, śniegiem zasypane
tam, gdzie sine Tatry, tam, gdzie Zakopane;
na białym szczycie sztandar się zieleni,
cała Polska pod nami, cała Polska w cieniu,
cała Polska...”

...tu ktoś nie wytrzymał, podał sygnał do odjazdu i eszelon
Warszawa-Treblinka ruszył w drogę na długo przed wyznaczoną
godziną — wydarzenie wręcz nieprawdopodobne...

Nie, ta bajka nie pasuje, nie jest w stanie
opowiedzieć o tobie, wielka sprawa,
aż głosem małej Nati przemówiła niespodzianie
i bez sensu: „Do widzenia, Warszawo!”

A kiedy młotkiem ktoś uderzył o szynę,
serca także uderzyły o szynę,
zahuczały serca: „Wrócimy do Warszawy!
Powrócimy, powrócimy do Warszawy!”
I z wagonu do wagonu, jak pożar,
tą przysięgą cały transport rozgorzał
i grzmi głośno: „Powrócimy do Warszawy!
Powrócimy, powrócimy do Warszawy!
Cóż, że dymem wyrośniemy nad piekłem,
że się ciała w gorejącą zmienią lawę,
ale wodą, ale wiatrem, popiołem zakrzepłym
powrócimy, powrócimy do Warszawy!”

A ja jakże mam się zachować,
gdy serce kona na ludzkich oczach?!

Trzęsę się w takim samym wagonie,
taki sam pożar mnie trawi,
ale po tylu latach
wołam do pana: „Panie Korczak!
Niech pan nie wraca.
Wstyd będzie panu mieszkać w tej Warszawie!”

„Ziemie wyrównali, obmyli,
by żaden grób z niej nie sterczał,
obeliski z granitu
wołają o nieśmiertelnej sławie,
ale o krwi i łzach zapomniano,
niech pan to zrozumie, panie Korczak,
i niech nie wraca,
będzie panu przeraźliwie w tej Warszawie!”

Spiew kukułki się swarzy,
jesień w złociste smużki.
Wasza? Kłamstwo, nie wasza.
To jest jesień Kościuszki!
Mroczne niebo nas straszy,
całe w sadzy i dymach.
Wasze? Kłamstwo, nie wasze!
To jest niebo Tuwima!
Sosny, jak dumne strażę,
gdzie Bałtyku fala się spienia.
Wasze? Kłamstwo, nie wasze!
To są sosny Szopena!
Nieszczęścia się rodzą wesoło,
ileż w łzach i skurczach rozkoszy.
A na naszym małym globie
radości nie ma prawie.
Nie wracaj pan do Warszawy,
panie Korczak, ja bardzo proszę,
niech pan nie wraca —

jakże panu mieszkać w tej Warszawie?
.....

„Nikomui nie życzę niczego złego, po prostu nie wiem, jak się to robi...”

Janusz Korczak, „Dziennik”.

Znużony jestem, iż powtarzam to samo w uporze,
iż upadam i powracam znów, jak do domu.
Nie potrafię się modlić — wybac mi, Panie Boże,
nie potrafię się modlić — wybac mi, Panie, i wspomóż!

Józef ŁOBODOWSKI

POSTSCRIPTUM TŁUMACZA

Niektóre partie powyższego przekładu mogą wydać się polskiemu czytelnikowi zbyt szorstkie, nie dość dopracowane. Myślę nieskromnie, że winę tego dzieli z tłumaczem sam autor. Nerwowy, ciągle zmieniający się rytm, kontrolowany bardziej przez technikę gitary, niż przez tradycyjne modele wersyfikacyjne, piętrzy nieustanne trudności. Obrazowanie Galicza jest wielce kapryśne, często nurzające się w surrealizmie; asocjacje — prawie zawsze oddalone. To samo dotyczy asonansów, tak bardzo niepełnych, że coraz to przechodzących w dysonanse. Polszczyzna jest znacznie mniej na to podatna, niż poetycka mowa rosyjska. Po wyważeniu wszystkich plusów i minusów oceniam ten przekład, jako zaledwie poprawny. Gdybym umiał grać na gitarze, zapewne tłumaczenie wypadłoby znacznie lepiej. Niestety!

J. Ł.

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ

„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE

WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.

Sąsiedzi

Kościół katolicki w ZSSR

Kapłani rzymsko-katolicy posiadający pozwolenie Władz Administracyjnych ZSSR do sprawowania wszystkich funkcji liturgicznych w wyznaczonych przez w/w Władze kościołach lub kaplicach publicznych na terenie Republik Związku Sowieckiego.

I. KAZACHSKA S.R.R.

Rok 1977 przyniósł pewne zmiany na terenie Kazachstanu. W urzędach do spraw wyznań zarejestrowano kilku kapłanów rzym.-kat. i pozwolono im spełniać funkcje kapłańskie publicznie w przebudowanych z prywatnych domów mieszkalnych kaplicach dla wiernych narodowości niemieckiej i polskiej. Dotychczas te grupy wiernych wyznania rzym.-kat. były obsługiwane dorywczo przez księży turystów. Poniżej podajemy spis miejscowości i nazwiska kapłanów pracujących oficjalnie.

KARAGANDA. Na miejsce zmarłego w roku 1974 Ks. Prałata Władysława BUKOWIŃSKIEGO — kapłana diecezji ŁUCK, przybył w ostatnich miesiącach nowy kapłan. Obecnie w Karagandzie budowana jest za pozwoleniem Władz Administracyjnych nowa kaplica staraniem Polaków i Niemców. Novum nie spotykane w ZSSR w ostatnich dziesiątkach lat.

KUSTANAJ. Ostatnio zarejestrowany został dom przerobiony na na kaplicę publiczną. Pracuje tu kapłan Polak — Ks. Aleksander BIEŃ, lat około 70. Pracuje duszpastersko przede wszystkim z wiernymi rzym.-kat. narodowości niemieckiej.

KRASNOARMIEJSK — dawna nazwa: TAINCZA — stacja kolejowa. W dniu 5. IV. 1977 roku poświęcono tu za pozwoleniem Władz dużą chatę wiejską, przebudowaną na kaplicę publiczną. Utworzono parafię rzym.-kat. Pracuje tu — Ks. Karol KISIEŁOWSKI. Przybył tu z Rygi. Kapłan jeszcze dość młody.

ALMA-ATA. Jest tu czynny dom modlitwy — tzn. kaplica rzym.-kat. Wierni starają się o zdobycie kapłana. Dojeżdżał do nich pracujący *sub secreto* O. Serafin-Alojzy KASZUBA — kapucyn. Zmarł 20. IX. 1977 r. we Lwowie.

II. KIRGISKA S.R.R.

FRUNDZE albo **FRUNZE** — stale czynna jest tu parafia rzymsko-katolicka. W okolicy ostatnio utworzono 4 kaplice publiczne, gdzie dojeżdżają kapłani pracujący w FRUNZE. We FRUNZE stale mieszkają i pracują za zgodą Władz Administracyjnych: *Proboszcz*: Ks. Prałat Michał KÖHLER, lat około 80, były profesor Seminarium Duchownego w Saratowie. *Wikariusz*: zarejestrowany niedawno Ks. GOTTLIEB.

III. TADŻYCKA S.R.R.

DUSZANBE — została tu utworzona kaplica publiczna w roku 1977. Pracuje tu oficjalnie jako proboszcz — Ks. Józef ŚWIDNICKI, lat około 40, pochodzi z parafii rzym.-kat. MURFA (dziś ŻDANOW), obłaść Winnica. Kończył studia w Seminarium Duchownym w Rydze i tam otrzymał święcenia kapłańskie.

IV. GRUZIŃSKA S.R.R.

TBILISI. — Po śmierci ks. proboszcza SAPARASINI — Gruzina z pochodzenia, objął parafię dawny jego wikary, Polak pochodzący z parafii rzym.-kat. MURFA, obłaść Winnica. — Ks. Jan ŚNIEŻYŃSKI, lat około 35. Kończył Seminarium Duchowne w Rydze i tam otrzymał święcenia kapłańskie. Ostatnio otrzymał wikarego — młodego kapłana, Józefa KORNASZEWSKIEGO, który w tym roku kończył Seminarium Duchowne w Rydze.

V. ROSYJSKA F.S.R.R.

MOSKWA. — Czynny jest kościół rzym.-kat. dla dyplomatów akredytowanych w Stolicy ZSSR, przy ul. Mała ŁUBIANKA 12. Dojazd metrem do stacji DZIERŻYŃ. Pracuje kapłan narodowości litewskiej, lat ponad 60 — Stanisław MAŻEJKA.

LENINGRAD. — Czynny jest dawny kościół rzym.-kat. przy ulicy Kowieński Piereulok. Pracuje Ks. Litwin — PAWŁONIS.

VI. MOŁDAWSKA S.R.R.

KISZYNIÓW. — Czynna jest kaplica publiczna na cmentarzu grzebalnym.

RASZKÓW. — Kaplica publiczna w niedawno przebudowanym domu mieszkalnym.

BIELCE. — Kaplica publiczna w nowo przebudowanym domu mieszkalnym.

Proboszczem w/w miejscowości jest Ks. Władysław ZAWALNIUK, lat około 30-tu, Polak pochodzący z parafii rzym.-kat. MURFA, obłaść Winnica. Kończył studia w Seminarium Duchownym w Rydze.

UKRAIŃSKA S.R.R.

WINNICKA obłaść.

1. Ks. Antoni CHOMICKI, lat ok. 69, kapłan diec. ŁUCK. Stale mieszka w miejscowości MURFA. Jest tu siedziba parafii rzym.-kat. Dawny klasz-

tor z pięknym dużym kościołem murowanym (zabytek). Ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych odremontowany.

Ponadto ks. A. Chomici obsługuje wiernych uczęszczających do kaplicy rzym.-kat. w miejscowości KRASNE.

2. Ks. Józef KUCZYŃSKI, lat. ok. 74, kapłan diec. ŁUCK, prałat. Stale mieszka przy kościele parafialnym w miejscowości WIERZBOWIEC. Czynny jest tu kościół parafialny rzym.-kat. (zabytek). W ostatnich latach staraniem Ks. Proboszcza i parafian odremontowany.

Ponadto Ks. J. Kuczyński dojeżdża z posługą duszpasterską do kościołów albo kaplic, które mają wszystkie prawa parafii rzym.-kat.

SNITKÓW. — Odprawia nabożeństwa i sprawuje sakramenty św. w kaplicy cmentarnej. Istniejący w tej miejscowości kościół parafialny został zabrany przez Władze Administracyjne wiernym i przeznaczony na cele świeckie.

ŁUCZYŃCIEC. — Posługi duszpasterskie spełnia w dawnym kościele rzym.-kat. Kościół zabytkowy, ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych starannie odnowiony.

3. Ks. Stanisław BIERNACKI, lat ok. 35. Pochodzi rodem z parafii rzym.-kat. MURAF. Skończył studia w Seminarium Duchownym w Rydze i tam otrzymał święcenia kapłańskie. Stale mieszka w miejscowości BAR PIĘKNY. Pełni wszystkie posługi duszpasterskie w dawnym kościele rzym.-kat., który został ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych odremontowany.

Ponadto dojeżdża systematycznie do następujących ośrodków duszpasterskich:

ŻMERYNKA. — Pracuje w kościele rzym.-kat. murowanym.

BRAHŁÓW. — Pracuje w kaplicy przerobionej z domu mieszkalnego. Uroczyste poświęcenie i oddanie do użytku wiernych nastąpiło w lipcu 1977 r.

4. Ks. Wojciech DARZYCKI, lat ok. 60. Kapłan zakonny — bernardyn, pochodzący z diecezji LWÓW. Pracuje w kościele rzym.-kat. w miejscowości MIASTKÓW, obecnie nazwa tej miejscowości brzmi GORODÓWKA. Tu stale mieszka. Kościół z okresu sprzed drugiej wojny światowej. Ostatnio starannie odremontowany przez Ks. Proboszcza i wiernych. Ponadto obsługuje następujące punkty:

KUPIÓWKA. — Kaplica służy jako ośrodek parafialny.

CZECZELNIK. — Kaplica przerobiona z domu mieszkalnego. Otwarta niedawno.

TOMASZPOL. — Nowootwarta kaplica przerobiona z domu mieszkalnego.

5. Ks. Jan KRAPAN, lat ok. 45, kapłan narodowości łotewskiej. Kanonicznie należący do diecezji Ryga. Pracuje w następujących parafiach rzym.-kat. pełniąc obowiązki proboszcza:

CHMIELNIK. — Kościół rzym.-kat., duży, ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych odremontowany. Tu Ks. Krapan ma swoje stałe miejsce zamieszkania.

WINNICA. — Kaplica rzym.-kat. przerobiona z domu mieszkalnego, zarejestrowana u władz ZSSR w roku 1971. Dawny kościół rzym.-kat. przejęły władze na cele świeckie.

LISTOPADÓWKA — dawna nazwa: BOGUDZIEKA. Korzystają wierni z dawnego kościoła rzym.-kat.

DZIERŻANÓWKA. — Pracuje w kaplicy cmentarnej.

GRANATÓW. — Pracuje w kaplicy przerobionej z domu mieszkalnego. Oddana kaplica została do użytku wiernych w roku 1976.

6. Ks. Wincenty WITKO, lat ok. 40. Pochodzi z Archidiecezji Wileńskiej.

Ukończył studia i został wyswięcony na kapłana w Rydze. Pełni obowiązki proboszcza w następujących miejscowościach:

SZAROGROD. — Dawny kościół rzym.-kat. odremontowany staraniem poprzednika Ks. Prob. Bronisława Drapeckiego i wiernych.

MOŁCZANY. — Niedawno odremontowana kaplica.

CZERNIOWCE — obsłać Winnicka (nie mieszać z miastem Czerniowce). Dom mieszkalny przerobiony niedawno na kaplicę. Odremontowaną i przebudowaną kaplicę oddano do użytku — w lipcu 1977.

ŻYTOMIERSKA obsłać.

1. Ks. Ambroży MICKIEWICZ, lat ok. 40. Studia ukończył w Rydze. Obecnie pełni obowiązki proboszcza w miejscowości BERDYCZÓW. Pracuje w kaplicy przerobionej z domu mieszkalnego. Dawny kościół rzym.-kat., tzw. „fara” istnieje, lecz jest zajęta przez władze USRR na cele świeckie.

2. Ks. Stanisław SZCZYPTA, lat. ok. 60. Kapłan diec. ŁUCK. Ostatnio otrzymał do pomocy młodego ks. Wikarego, który studia ukończył w Rydze i został wyswięcony wiosną 1977 roku. Obaj ci kapłani pracują w miejscowości ŻYTOMIERZ DUŻY, w kościele rzym.-kat. (zabytek). Ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych starannie odremontowany.

Z tej parafii przyjęty został alumn do Seminarium Duchownego w Rydze na rok akademicki 1977/78.

3. Ks. Roman JANKOWSKI, lat ok. 80. Kapłan diec. Żytomierskiej. Przebywał długie lata w obozach i na zesłaniach w ZSSR. Obecnie pracuje jako proboszcz w parafii rzym.-kat. NOWOGRAD WOŁYŃSKI. Stale mieszka w Żytomierzu.

CHMIELNICKA obsłać.

1. Ks. Andrzej GŁADYSIEWICZ, lat ok. 65. Kapłan diec. ŁUCK. Pracuje jako proboszcz w następujących parafiach:

POLONNE. — Kościół rzym.-kat. (zabytek) ostatnio odremontowany staraniem Ks. Proboszcza i wiernych. Przy tym kościele Ks. Proboszcz stale mieszka.

LATYCZÓW. — Kaplica dojazdowa, która została przerobiona niedawno z domu mieszkalnego.

DERAŻNIA. — Kaplica cmentarna, która służy za kościół parafialny.

2. Ks. Franciszek KARASIEWICZ, lat ok. 75. Z braku zdrowia zrezygnował z systematycznej pracy duszpasterskiej. Na jego miejsce został przez Władze USRR zatwierdzony nowy kapłan. Obsługuje on parafię:

GRÓDEK. — Jest to kaplica cmentarna w ostatnich latach rozbudowana.

3. Ks. Bronisław MIRECKI, lat ok. 75. Kapłan diec. Lwowskiej. Pracuje w parafii rzym.-kat. HAŁUSZYŃCE. Kościół rzym.-kat.

4. Ks. Jan OLSZAŃSKI, lat ok. 50. Kapłan diecezji Lwów. Pracuje w następujących parafiach:

KITAJGRAD. — Duży kościół rzym.-kat. Ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych odremontowany. Przy tym kościele Ks. Proboszcz mieszka stale.

MINKOWCE. — Kaplica na cmentarzu rzym.-kat. W języku rosyjskim nazwa brzmi: „MANIAKOWCE”.

STRUGA. — Kaplica na cmentarzu rzym.-kat.

5. **HRECZANY** k. Płoskirowa. — Nowomianowany kapłan z Litwy, który długo pracował jako kapłan w zawodzie agronoma. Został zatwierdzony przez władze USRR jako proboszcz. Obecna nazwa Płoskirowa — **CHMIELNICK** albo „**CHMIELNICKO**”.

CZERNIOWIECKA obłaść.

1. Ks. **KRAJEWSKI**, lat. ok. 60. Kapłan archidiecezji Lwów. Został zatwierdzony do pracy duszpasterskiej po śmierci ks. Józefa Jędrzejowskiego. Pracuje od szeregu lat w mieście wojewódzkim **CZERNIOWCE**. Do pracy ma duży kościół rzym.-kat., ostatnio staraniem Ks. proboszcza i wiernych starannie odnowiony. Katolików dużo. Nie ma kościołów dojazdowych.

TARNOPOLSKA obłaść.

1. Ks. **Marek TROFIMIUK**, lat ok. 30, rodem z Tarnopola. Pracuje w Tarnopolu od roku 1973 po śmierci ks. Jakuba Macyszyna. Ponadto dojeżdża do miejscowości:

BORSZCZÓW. — Dawny kościół rzym.-kat. ostatnio staraniem Ks. Proboszcza i wiernych odremontowany. Ma tu stałą rezydencję.

KRZEMIENIEC. — Pracuje w kościele rzym.-kat.

HOŁOŻUBIENIE. — Na terenie województwa Chmielnick.

ODESKA obłaść.

1. Ks. **Tadeusz HOPPE**, lat ok. 70, salezjanin z Archidiecezji Wileńskiej. Od dawna pracuje w **ODESSIE**. Ma dużą wspólnotę wiernych. Posługi spełnia w kaplicy rzym.-kat przy ul. Charpuna 5. Istniejące w tym mieście kościoły katolickie są od dawna używane przez władze na cele świeckie.

KIJOWSKA obłaść.

1. Ks. **Tadeusz HOPPE**, j.w. od 3-ch lat dojeżdża do Kijowa. Pracuje w kaplicy przebudowanej z domu mieszkalnego. Dojeżdża z Odessy 2 razy na miesiąc. Istniejące kościoły katolickie użyto na cele świeckie.

STANISŁAWOWSKA obłaść.

1. Ks. **Bernard MICKIEWICZ**, lat ok. 35, kapłan wyświęcony w Rydze. Po odbyciu kary za „nadgorliwość” pracuje w parafii rzym.-kat. **STRYJ**.

WOŁYŃSKA obłaść. — Nie ma parafii rzym.-kat. Ludność zabiega o to usilnie u władz centralnych w Moskwie.



Jeśli idzie o **BIAŁORUŚ** to w interesującym artykule pt. „Sytuacja Kościoła Katolickiego w ZSSR”, który ukazał się w *Przeglądzie Powszechnym*, Londyn, Nr 3-4, 1978 r. jest następująca wzmianka: „Najgorzej przedstawia się sprawa Kościoła na Białorusi, gdzie ludność wyznania rzym.-kat. jest bardzo nieliczna. Pracuje tam już tylko paru wiekowych duchownych katolickich bez widoków na następstwo”.

Jest to informacja nieścisła. Na Białorusi jest ok. 280 tys. Polaków-katolików, tzn. obywateli BSR narodowości polskiej. Ponadto ogromna ilość Polaków pomimo protestów została przepisana siłą na Białorusinów. Pisał o tym J. Mirski w art. „Sytuacja katolików w ZSSR”, *Kultura* 6/357, 1977 r. Na Białorusi pracuje ok. 30 księży, a nie paru. (Redakcja).

W sowieckiej prasie

Lektura prasy sowieckiej daje, jak wiadomo, ogromną satysfakcję: cieszy duszę odzwierciedlenie życia w jedynym w historii ludzkości kraju, gdzie wszyscy są szczęśliwi i gdzie panuje idealny ustrój. Ta przyjemność podwaja się jeśli ma się możliwość „wysłuchania i drugiej strony”, zaznajomienia się z tymiż faktami przedstawionymi w zgniłej zachodniej prasie. Tak np. w gazetach sowieckich ukazała się wiadomość o manewrach armii sowieckiej na Białorusi, w czasie których wypróbowano najnowsze typy broni i wyszkolenie żołnierzy i oficerów. W komunikatach podkreślono, że na te manewry zostali zaproszeni obserwatorzy zachodni: niech patrzą — nie mamy nic do ukrywania. Przyjemnie było czytać o tak szerokich poglądach i takiej otwartości. Ale w prasie zachodniej podano tę historię następująco: zachodni attachés wojskowi, którzy przybyli na manewry, musieli oddać swoje lornety i otrzymali sowieckie — jak wiadomo najlepsze w świecie. Jednakże z miejsca wyjaśniło się, że attachés zachodni nic przez te sowieckie lornetki nie widzą — coś tam się rusza we mgle. I to wszystko. Po uporczywych protestach zwrócono im ich zachodnie lornetki. Ale dopiero na drugi dzień, kiedy najważniejsza część manewrów była już zakończona.

Ta zabawna historia wydaje mi się symboliczną. Nie wiem gdzie odbywa się rozdawnictwo lornetek sowieckich, ale odnosi się wrażenie, że większość zachodnich działaczy politycznych, politologów, kremlinologów i dziennikarzy postępuje się właśnie takimi instrumentami optycznymi dla obserwowania tego, co się dzieje w Związku Sowieckim. Tak np. *New York Times* pisał, że zwycięstwo sowiecko-kubańskich wojsk w Ogadenie w ostatecznym obrachunku nie jest wielkim nieszcześciem, gdyż — po pierwsze — Związek Sowiecki bronił sprawiedliwości w konflikcie między Etopią a Somali; a po drugie — będzie miał jeszcze kłopoty z Etiopczykami; wreszcie po trzecie — jeśli Związkowi Sowieckiemu uda się nawet osiągnąć kolejny cel, tj. oddanie władzy w Somali w ręce swoich ludzi, to także nie będzie nieszcześciem.

Nawet tak przenikliwy obserwator, jak Leopold Unger w swojej stałej rubryce w *International Herald Tribune* pisał z Brukseli, że ostatecznie konferencja w Belgradzie nie była klęską Zachodu, gdyż — po pierwsze — była pomocna dla trwającego fermentu na Wschodzie; po drugie — w czasie trwania konferencji nie było procesów politycznych w Moskwie; a wreszcie po trzecie — decyzja o zwołaniu następnej konferencji w Madrycie w listopadzie 1980 roku jest „zwycięstwem”, gdyż otwiera „przed dysydentami wiele nowych możliwości”.

O tym co będzie w 1980 roku, i do tego czasu, trudno się spierać. Dyskusje między optymistami i pesymistami trwają już tysiące lat. Ferment na Wschodzie niewątpliwie — ale jego intensywność jest zmienna, najmniejsza w chwili obecnej jest w Związku Sowieckim. Prześladowanie dysydentów — w tej liczbie procesy polityczne — głównie na Ukrainie i w Gruzji — trwały również w czasie konferencji. A do tego cechą charakterystyczną obecnych procesów politycznych jest to, że są dokładnie wybierane. Ofiarę wybiera się w ten sposób, żeby uderzenie w nią napęliło strachem możliwie najszerzy krąg jej znajomych i przyjaciół. W czasie przygotowywania np. procesu Szczarańskiego przesłuchiowano setki ludzi, a m.in. i tych, którzy w ogóle nie znali oskarżonego.

Zwyczajstwo sowieckie w Belgradzie powoduje nie tylko zwiększenie represji w Związku Sowieckim, ale jest również potwierdzane polityką USA, traktującą coraz bardziej Zachodnią Europę jako sferę wpływów sowieckich. Już blisko pół roku prasa sowiecka prowadzi dawno nie widzianą w takich rozmiarach kampanię przeciwko „bombie neutronowej”, przeciwko „neutronowej śmierci” — jak nazywają ją sowieccy dziennikarze. W swym rozmachu kampania ta może być porównana z kampanią przeciwko bombie atomowej, którą organizował Stalin, gdy takiej broni jeszcze nie posiadał.

Można przypuszczać, że umrzeć od „neutronowej bomby” jest tak samo nieprzyjemnie, jak i od każdej innej bomby. W ogóle nieprzyjemnie jest umierać. Sowiecka propaganda twierdzi w artykułach, wierszach i w przemówieniach wodzów, że śmierć niesie ze sobą tylko „bomba neutronowa”, gdyż — jest to dla wszystkich zrozumiałe — armia sowiecka jeszcze takiej bomby nie posiada. Trzeba dodać, że „bomba neutronowa” może zneutralizować dziesiątki tysięcy sowieckich czołgów, wymierzonych w Europę Zachodnią. Europa Zachodnia ocenia decyzję prezydenta Cartera, by nie produkować — tymczasem — tej bomby, jako rozszerzenie sowieckich wpływów, które — zdawałoby się — były ustalone w Helsinkach na granicach „świata socjalistycznego”.

Jak będą przeprowadzane „wielkie” procesy w Moskwie świadczy „eksperymentalny” proces Kiryła Podrabinka, który odbył się 14 marca br. Jest on ciekawy po pierwsze dlatego, że był nastawiony przeciwko Aleksandrowi Podrabinkowi, bratu Kiryła. Aleksander, członek grupy badającej nadużycia psychiatrów w ZSSR, przekazał do Amnesty International 246 przypadków umieszczenia w zakładach psychiatrycznych zdrowych ludzi. Aresztowano i sądzono jego brata. Po drugie sądzono Kiryła Podrabinka za posiadanie broni. Znalaziono u niego przestarzały, nie działający pistolet z gładką lufą, a amunicję podrzucili agenci KGB w czasie rewizji. Ale agenci wzięli amunicję z Klubu Polowań Podwodnych, gdzie pracował Aleksander. Fakt, że amunicja ta w żaden sposób do tego pistoletu nie pasowała nikogo nie zmieszała. W małym miasteczku podmoskiewskim, Elek-

trostał, Kirył Podrabinek został skazany na dwa i pół roku. Tegoż dnia w Taszkencie został aresztowany 82-letni Władimir Szczelochow, przewodniczący Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Jest to czwarte aresztowanie Władimira Szczelochowa, który już odsiedział 24 lata w więzieniach i łagrach.

Znacznie większą uwagę przyciągnęły na Zachodzie decyzje Rady Najwyższej o pozbawieniu obywatelstwa sowieckiego gen. Grigorenko, Mstisława Roztropowicza i jego żony Galiny Wiszniewskiej. Dobrze rozumiejąc, jaki będzie rezonans tych decyzji — szczególnie w stosunku do Roztropowicza — władze sowieckie ogłosiły tę decyzję między dwoma turami wyborów parlamentarnych we Francji, chcąc jak najbardziej pomóc większości i jak najbardziej zaszkodzić lewicy.

Na Zachodzie od dawna przyzwyczajono się do prześladowania dysydentów, do aresztowań i procesów w Związku Sowieckim. Uważa się to za sprawy powszednie, normalne. Poza ramy tej normy wykracza „sprawa” „Pikowej Damy”. Ma się rozumieć 30 lat temu i to uważano by za normalne, ale dzisiaj zdumienie wywołane tą sprawą jest zarówno świadectwem przemian, jak i tego, że w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Na początku był artykuł w *Litieraturnoj Gaziecie*. Został w nim zaatakowany najbardziej znany reżyser sowiecki — Jurij Lubimow, kierownik moskiewskiego teatru *Na Tagance*. Oskarżono go o to, że przebywając razem z teatrem na występach we Francji, w wywiadzie dla pisma komunistycznego skarżył się na *Litieraturną Gazietę*, która bez jego wiedzy w jego imieniu potępiła Biennale w Wenecji. Potem ukazał się artykuł w *Prawdzie*. W poprzednim swoim przeglądzie pisałem o zebraniu w moskiewskim Domu Pisarza, na którym patrioci rosyjscy oskarżali reżysera Efrosa o to, że w swej żydowskiej podstępności fałszuje rosyjskich klasyków. W *Prawdzie* z 11. 3. br. litewski dyrygent, Algis Jurajtis, oskarżył rosyjskiego reżysera Jurija Lubimowa o złośliwe zniekształcenie „Pikowej Damy”. Przeszło rok temu Opera paryska zawarła z J. Lubimowem umowę o wystawienie „Damy Pikowej” w Paryżu, w opracowaniu muzycznym kompozytora Alfreda Sznidke i w reżyserii Genadija Rożdżestwińskiego. Na to została dana zgoda odpowiednich władz sowieckich. Premiera miała się odbyć w lipcu br. Jurajtis dyrygujący w chwili obecnej w Paryżu sowieckim przedstawieniem, bez niczyjej zgody zajrzał do partytury „Pikowej Damy”, uznał ją za antyrosyjską i natychmiast doniósł o tym władzom. Lubimow nie otrzymał zezwolenia na przyjazd do Paryża. Wówczas, po raz pierwszy w historii stosunków francusko-sowieckich, dyrektor paryskiej Opery, podał do wiadomości zerwanie stosunków ze Związkiem Sowieckim, machnąwszy ręką na 131 tysięcy dolarów, wydanych już na inscenizację „Damy Pikowej”, i nie godząc się na innego reżysera obiecanego przez Moskwę, która zapewniała Rolfa Libermana, że wszyscy sowieccy reżyserzy „biją o głowę wszystkich zachodnich” i są jednakowo dobrzy. Mówią, że dyrektorowi Opery odśpiewano ulubioną sowiecką piosenkę: „Kiedy ojczyzna każe

być bohaterem, każdy u nas staje się bohaterem". Ale uparty dyrektor odmówił. A francuski satyryk podsumował: „W naszych burzliwych czasach 'Dama Pikowa' często okazuje się zakładnikiem waletów króla idioty". Przy tym zamiast słowa „idioty” niepoprawny Francuz użył słowa, którego dotąd jeszcze nie spotkałem na stronicach *Kultury* i dlatego zdecydowałem się go nie cytować.

W Związku Sowieckim stosunek do kultury bardziej odzwierciedlał sytuację w kraju, niż stosunek do opozycji. Opozycję zawsze likwidowano, a jeśli stwarzano wrażenie, że się z nią ceremoniuje, to tylko dlatego, by następnie zarzucić sieć możliwie najszerzej. Z kultury natomiast — kiedy to było niezbędne w walce o władzę — czasami zdejmowano kaganiec. Gdy go znów wkładano, było to zawsze dowodem siły reżymu i sukcesów w polityce zagranicznej.

Dwie książki nadesłane z Moskwy i niedawno opublikowane na Zachodzie, dają dodatkowe świadectwo temu twierdzeniu. Dwie książki w niczym do siebie niepodobne, ale każda z nich, na swój sposób, interesująca. Pierwsza — „W niewoli czasu” — to wspomnienia Olgi Iwińskiej, ostatniej miłości Pasternaka, której rysy odbiły się w obrazie Łary, ukochanej Doktora Żiwago. W książce Olgi Iwińskiej nie ma naturalnie szerokiej panoramy epoki, głębokich myśli, filozoficznych uogólnień czy żywych portretów, które znajdujemy we „Wspomnieniach” Nadieжды Mandelsztam. Książka Iwińskiej jakby raz jeszcze potwierdzała — gdyby takie potwierdzenie było potrzebne — że pamiętniki Nadieжды Mandelsztam są jednym z najwybitniejszych dzieł XX-go wieku. Tym niemniej „W niewoli czasu” daje ciekawy i ważny materiał na temat losu poety w Związku Sowieckim, znów z całym szeregiem nieznanych szczegółów, opisujących nieprawdopodobną ordynarność, chamstwo, bezmyślność i sowiecką logikę w tzw. sprawie Pasternaka. A przy tym książka Iwińskiej opowiada o zdumiewającym w swym tragizmie losie dwojga zakonanych: Olga Iwińska dwukrotnie została aresztowana zamiast Pasternaka. Po raz pierwszy za czasów Stalina. Po raz drugi przy Chruszczowie, który mścił się nad zmarłym już wówczas poetą.

Druga książka, to powieść Jurija Dombrowskiego „Fakultet rzeczy niepotrzebnych”. Miejsce akcji — Ałma Ata, czas akcji — 1937 rok. Nowa powieść Ju. Dombrowskiego jest przedłużeniem „Strażnika starożytności”, który był 14 lat temu publikowany w *Nowym Mirze*. Utwory te zajmą miejsce w rzędzie najbardziej wybitnych książek sowieckiego 60-lecia, razem z dziełami A. Sołżenicyna, A. Płatonowa i M. Bułakowa.

„Niepotrzebne rzeczy”, o których mowa w powieści Dombrowskiego, to — sprawiedliwość, honor, prawdziwa miłość, poczucie winy za popełnione przestępstwa. „Fakultet rzeczy niepotrzebnych”, obraz epoki, w której tylko nieliczni potrzebują tych „rzeczy niepotrzebnych”, a większość nauczyła się już — tj. ich nau-

czono — obchodzić się bez sumienia, honoru, bez miłości do człowieka. Jak w żadnym innym utworze literatury sowieckiej Ju. Dombrowski, szczegółowo i można by powiedzieć obiektywnie pokazuje pracę katów, rysuje galerię portretów enkawudystów: od małych śledczych do zastępcy Narkoma republiki. Galerię katów zamyka portret Stalina. W ślad za Bułgakowem autor „Fakultetu rzeczy niepotrzebnych” zwraca się do Chrystusa w poszukiwaniu tła historycznego, które pozwoliłoby lepiej zrozumieć czasy stalinowskie, epokę totalnego zwycięstwa zła, epokę łamania dusz ludzkich.

„Fakultet rzeczy niepotrzebnych” — niezależnie od swojej wybitnej wartości literackiej — jest jednym z najważniejszych źródeł pozwalających zrozumieć psychikę, mentalność współczesnego człowieka sowieckiego, przede wszystkim zaś przywódców, którzy całkowicie uwolnili się od absolutnie wszystkich „rzeczy niepotrzebnych”. I w tym jest ich kolosalna przewaga, która ujawnia się przy starciach czy pertaktacjach z leaderami zachodnimi, obciążonymi mnóstwem „rzeczy niepotrzebnych”. Do tego kierownictwo sowieckie w obliczu przejściowych, ale nigdy nie znikających, niewielkich trudności uzyskało nowego sojusznika. Sojusznika na pierwszy rzut oka zdawałoby się nieoczekiwanego, ale dla tych wszystkich, którzy wyzbyli się „rzeczy niepotrzebnych” — logicznego, przekonani są bowiem, że wszystko mogą wykorzystać, że wszystko obróci się na ich korzyść. W 11 numerze *Mołodoj Gwardii* z 1977 roku, poświęconym 60-leciu Października, poeta Siergiej Smirnow opiewa wybitnych rosyjskich ludzi i twierdzi: „*S nimi wsio po plecuzu i wsie kozyri w mast, / Da chranit ich sam bog plus — Sowetskaja Wlast*”. Znakomita formuła leninowska — komunizm to władza sowiecka plus elektryfikacja — w 60 lat po rewolucji lekko się zmieniła: komunizm to — bóg plus Władza Sowiecka. Jest zupełnie logiczne, że poeta Siergiej Smirnow pisze bóg z małej litery, a Władza Sowiecka z dużej. Bóg — to siła pomocnicza w rodzaju elektryfikacji — może tylko nieco silniejsza. Nie ma potrzeby udowadniać, że „bóg” Breżniewa, opierający się na władzy sowieckiej jest znacznie potężniejszy od „boga” Cartera. „Bóg” Breżniewa pozwala generalnemu sekretarzowi KC występować w Ogłoszeniu w obronie nienaruszalności granic terytorium Etiopii, w Erytrei przeciwko narodowo-wyzwoleńczemu, ruchowi, w Rodezji za ruchem narodowo-wyzwoleńczym, przeciwko „bombie neutronowej”, której sowiecka technika nie zdążyła jeszcze stworzyć (albo skopiować), ale za tysiąc razy jeszcze silniejszymi rakietami SS-20, wycelowanymi w Europę Zachodnią.

Jednakowoż „bóg” Breżniewa nie jest wszechmocny. Albo inaczej — jego siła przejawia się przede wszystkim poza granicami Związku Sowieckiego, gdzie udaje mu się zaopatrywać politycznych i państwowych działaczy, politologów i dziennikarzy w „sowieckie lornetki”. W marcu br. KC partii postanowił stworzyć specjalny oddział informacji i propagandy na zagranicę — oddział zaopatrywania Zachodu w sowieckie lornetki. Jego

szefem został były dyrektor TASS'a, Leonid Zamiatin. W samym Związku, mimo pomocy „boga” i mimo władzy sowieckiej, zaobserwować można chroniczne, przejściowe trudności. Przede wszystkim — ma się rozumieć — w gospodarce rolnej. We wstępnym artykule *Prawdy* (11. 3. br.) po lirycznym wstępie: „Ciepłe wiatry nad przestrzeniami naszej ojczyzny. Wiosna wchodzi w swoje prawa”, następuje zwykłe ostrzeżenie: „Szturmowym odcinkiem, wymagającym specjalnych zabiegów jest po starciu gospodarka zbożowa”. Dopiero zaczyna się wiosna, a kierownictwo z trwogą spogląda na przyszłą jesień. W drugiej połowie marca br. cała sowiecka prasa podała do wiadomości komunikat TASS'a o przestępczej działalności pierwszego sekretarza obwodowego komitetu partii w Tambowie. *Prawda* poświęciła działalności tego partyjnego czynownika, członka KC, długi artykuł, w którym wylicza wszystkie niedobory, braki i błędy. W okresie dwóch minionych lat wzrost produkcji rolnej w tym obwodzie wynosił 0,4 %, a obecnie spada produkcja ziarna, mleka, mięsa, jajek itd. W Tambowie stworzono specjalistyczne gospodarstwo, dla których nie było specjalistów a więc nie mogły pracować, ale za to zlikwidowano wieloprodukcyjne gospodarstwa, ponieważ takie było polecenie z Moskwy. Krótko mówiąc — żadna gazeta „burżuazyjna” na Zachodzie nigdy nie odważyłaby się napisać nawet połowy tego, o czym mowa jest w artykule *Prawdy*. Nie ma wątpliwości, że w *Prawdzie* ujawniono tylko 1/10 prawdy. Trzeba podkreślić, że obwód tambowski jest obwodem-testem. Już w 1974 roku poświęcono mu specjalne uchwały KC. Jak widać to nie pomogło. Tym razem zdecydowano usunąć pierwszego sekretarza i mianować innego.

Trudności można zaobserwować i w przemyśle. We wstępnym artykule *Izwestii* (11. 2. br.) odnotowano, że „z powodu przestojów, absencji, przerw za zgodą administracji, corocznie traci się miliony dniówek”. To zdaje się jest jeszcze większa strata niż ta z powodu strajków we Włoszech. Ale główna trudność polega nie tylko na tym. Niejednokrotnie po przeczytaniu prasy sowieckiej, pisałem o trudnościach wdrożenia nowej technologii do sowieckiego przemysłu. System sowiecki organicznie jej nie przyjmuje. Sam Marks nie wymyśliłby lepszego przykładu dla zademonstrowania swojej tezy o przeciwstawności sił produkcyjnych i stosunków produkcyjnych. W wielkim artykule *Prawda* pisze o przygodach komputera w sowieckiej fabryce. Przedsiębiorstwo elektryczne w Mińsku zakupiło komputer, aby nie pozostać w tyle za postępem technicznym i rewolucją naukowo-techniczną. Komputer był obliczony na 31 zadań, które później zredukowano do 26, a następnie do 8. Ale nawet i te możliwości komputera okazały się dla mińskiego przedsiębiorstwa zbyt duże. Rzecz polegała na tym, że komputer, gdy podano mu informację o ilości robotników w tej fabryce, odpowiedział, że połowa z nich nic nie robi. Zaczął odnotowywać i inne braki, których lista stale się powiększała. Dyrekcja była zmuszona do zastosowania miar: komputerowi zaczęto podawać fałszywe dane.

O tragicznym losie tego komputera *Prawda* nie mówi. Już dawno temu Aleksander Galicz opowiadał jak to zwarłował automat rozlewający wodę sodową z sokiem, gdy zmuszono go do oszustw: „To ludzie — się przystosują — pisał poeta. — A maszyna — ta się zatnie”.

Dla rozwiązania trudności wewnętrznych Breżniew odbył podróż na Daleki Wschód. Nigdy nie byłem tak wysokiego zdania o medycynie, jak w chwili gdy zobaczyłem w telewizji Leonida Iljicza ledwo schodzącego ze stopni wagonu, robiącego kilka kroków na peronie, z trudem przemawiającego. Według źródeł amerykańskich generalny sekretarz cierpi na emfizemę, łagodną leukemię, podagrę, elektroniczny aparat reguluje nieregularną działalność serca. Łagiemni lekarze w takich wypadkach orzekali — praktycznie zdrowy. Można przypuszczać, że nie dla przyjemności Breżniew wybrał się w podróż obejmującą 11 tysięcy kilometrów.

Pierwszy cel, który sobie postawił: mówić o brakach. W Irkucku (2. 4. br.) oświadczył: „Poinformowano mnie, że w waszym okręgu wielka ilość przedsiębiorstw nie wykonuje planów”. I wyciągnął wniosek: „Jeśli plan został przyjęty, to konieczne jest jego bezwzględne wykonanie”. Breżniew zauważył jednak „zbyt powolny rozwój gospodarstwa wiejskiego” na Syberii, wyraził żądanie, żeby „W magazynach przez cały okrągły rok były świeże owoce i żeby ogonki były mniejsze”. Niewątpliwie Breżniew mógł tego wszystkiego nie mówić. Mieszkańcy Syberii wiedzą o brakach produktów nie gorzej od Breżniewa. Ale w Związku Sowieckim przyznają się do braków jedynie w tym wypadku, jeśli o nich mówi wódz partii, gdyż skoro o nich mówi, to uważa się że zostały już usunięte. Gdyby jednak to nie wszystkim odpowiadało, Breżniew w czasie swojej podróży wspominał i o innej sprawie: o obecności na granicach państwa przewrotnego wroga, miliarda Chińczyków. I nie przypadkowo zakończył swoją podróż na terytorium, które Chiny uważają za sporne. Sowieccy ludzie pamiętają — pisze w piśmie *Kommunist* prof. Astafiew — że „ZSSR ma wspólną granicę z Chinami o długości 7.520 km”. Po śmierci Mao przywódcy sowieccy mieli nadzieję na zmianę polityki Chin. Gdy ta zmiana nie nastąpiła, Breżniew pojechał do strefy pogranicznej, odwiedził czołgistów, artylerzystów i marynarzy. Dla ludzi sowieckich sens tej podróży był oczywisty: chińscy szowiniści „mają zwarłowane pretensje terytorialne do ZSSR”. Przed tym niebezpieczeństwem wszystko inne schodzi na dalszy plan.

Z Władywostoku, miasta o symbolicznej nazwie, zwrócił się Breżniew do Cartera domagając się od amerykańskiego Prezydenta żeby zrobił połowę drogi w kierunku do rozbrojenia. Generalny sekretarz KC uważa, że on swoje pół drogi już zrobił — przejechał 10 tysięcy kilometrów z Moskwy do sowieckiego portu wojennego na Oceanie Spokojnym.

Adam KRUCZEK

Kronika ukraińska

Niedzielne wydanie (w języku angielskim) dziennika ukraińskiego *Swoboda* z 19 marca przynosi sprawozdanie z wizyty generała Grigorenko w siedzibie UNA i w redakcji pisma. Wizyta odbyła się w kilka dni po pozbawieniu generała Grigorenko obywatelstwa sowieckiego. „Opowiedzieć światu co wiem, oto mój główny dziś cel, mój główny obowiązek wobec narodu i Boga... Chcę wrócić do ZSSR i stanąć tam przed sądem. Jedyny warunek — rozprawa przy drzwiach otwartych”. Zdaniem generała „ruch ukraiński jest najbezwzględniej zwalczany, od swych narodzin, od rewolucji”. Dwa są po temu powody. „Ukraińcy są dużym narodem, a nie łatwo jest zgnieć duży naród... Ukraińcy są równie narodowością najlepiej w ZSSR zorganizowaną, stanowią więc większe niebezpieczeństwo dla Kremla”. Grigorenko dodał: „Zdarzają się spory między różnymi grupami — między Rosjanami i Ukraińcami — i osłabiają one ruch ku zadowoleniu KGB”. Ukraińcom nie pozwala się emigrować na Zachód, gdyż „KGB nie życzy sobie wzmocnienia postępowego skrzydła emigracji ukraińskiej”. Grigorenko wspominał o swojej rozmowie z Sacharowem. Według Sacharowa i kół z którymi związany jest Grigorenko „Ukraina znajduje się pod bezprawną kolonialną okupacją, powinna być niepodległa”. I dalej: „W roku 1968 spotkaliśmy się z Władysławem Czornowilem i Niną Strokata dla omówienia sprawy ukraińskiej. Wynikiem była ustna ugoda o popieraniu oderwania się Ukrainy od ZSSR”. Generał nie przewiduje zbrojnego powstania na Ukrainie, na podobieństwo powstań w Azji i w Afryce. Była także mowa o „dezorganizowanej” grupie kijowskiej. „Z dziesięciu założycieli pozostało troje: Oksana Meszko, Iwan Kandyba i Ołeks Berdnyk. Szóstkę aresztowano, ja jestem tutaj”. Rusyfikacja na Ukrainie jest bardzo forsowana: „Dziuba, w swojej książce *Internacjonalizm czy rusyfikacja?*, nie powiedział tego dość wyraźnie. Jest niewątpliwie inteligentny i utalentowany, ale pisał pod samokontrolą i autocenzurą”.

Spółeczność ukraińska w Kanadzie jest zamożna i dobrze zorganizowana. Naturalnie nie tworzy jednolitego bloku (i to pod żadnym względem) a ponadto część społeczności jest poza wszelkimi organizacjami. Grupa ukraińska rozwijała zawsze żywą działalność na polu gospodarczym oraz kulturalnym. Ukraińcy zakładali spółdzielnie, tworzyli zespoły muzyczne, teatralne, wydawnictwa itp. Żadna grupa etniczna w Kanadzie nie dysponuje taką ilością wszelkich publikacji jak ukraińska. Można też zaryzykować pogląd iż jest najbardziej upolityczniona. Dwojako: jest zaangażowana w polityce kanadyjskiej, w życiu publicznym tego kraju na wszystkich szczeblach od samorządowego aż do federalnego, a ponadto bierze równie aktywny udział w szerokiej problematyce dotyczącej Ukrainy. Czynne są więc komórki emigracyjnych ugrupowań politycznych, reprezentujące bodajże wszystkie kierunki, odcienie ruchu niepodległościowego, ale nie brak również organizacji komunistycznych. Niemal wszystkie organizacje względnie grupy prowadzą same, względnie finansują, poszczególne akcje czy imprezy kulturalno-naukowe. Powstały specjalne instytucje-Fundacje, służące

określonym celom. Jedne są finansowane przez całą społeczność ukraińską, inne tylko przez jej pewne odcłamy.

Instytucją najstarszą i najbogatszą, a zarazem o najszerzym zasięgu i najbardziej rozbudowanych zadaniach — jest Fundacja im. Szewczenki, której siedziba znajduje się w Winniepiegu a aktualnym prezesem jest Piotr Hłynka, członek zarządu głównego Kongresu Ukraińców w Kanadzie. Fundacja ta finansuje dosłownie wszystkie ważne przedsięwzięcia w tym wydawnicze, badawcze, szkolne, muzealne, teatralne itp. Z ogłoszonego ostatnio sprawozdania wynika iż w 1977/78 r. przyznano 46 dotacji na ogólną sumę \$ 57.000. Pod koniec 1977 roku Fundacja dysponowała sumą \$ 940.000. Ogółem wydała dotychczas na cele kulturalne \$ 284.442.

Młody jest Canadian Institute of Ukrainian Studies Foundation z kapi-tałem — chwilowo — \$ 80.000, na czele którego stoi prof. Orest Rudziuk. Fundacja ta stanowi ukraińskie społeczne zaplecze Instytutu Ukrainoznawstwa na University of Alberta, który otrzymał od rządu prowincji Alberta dotacje w wysokości około \$ 350.000 a ponadto mniejsze dotacje z innych źródeł. Konferencja poświęcona problematyce polsko-ukraińskiej na McMaster University w październiku 1977 roku była częściowo finansowana przez wspomniany wyżej Instytut.

Ukrainian Canadian Art Foundation należy do najmłodszych inicjatyw, gdyż ta fundacja powstała zaledwie przed niespełna trzema laty w Toronto, z inicjatywy prywatnej. Donator nabył budynek, umieścił tam swój bogaty zbiór sztuki ukraińskiej i ofiarował w całości społeczności ukraińskiej. Zorganizowano fundację i powołano zarząd. Fundacja organizuje wystawy, przede wszystkim ukraińskich artystów w Kanadzie, ale również innych Kanadyjczyków, opiekuje się artystami, nabywając coraz to nowe obiekty do swoich zbiorów.

Ukrainian Canadian Research Foundation ma siedzibę w Toronto a na jej czele stoi Stefan Pawluk. Jest nastawiona niemal wyłącznie na działalność wydawniczą. Finansuje badania oraz publikuje prace odnoszące się do grupy ukraińskiej w Kanadzie.

SUS — Sojuz Ukraińskich Samostijnykiw — Foundation of Canada jest fundacją prawosławnej części społeczności ukraińskich. Na czele jej stoi T. Humeniuk.

Obok tych instytucji, powołanych wyłącznie dla działalności na polu kulturalnym, popieraniem tej działalności zajmują się zarówno wszystkie kościoły i organizacje świeckie jak i kasy kredytowo-oszczędnościowe. Tylko dzięki temu publikuje się wiele prac, w tym i specjalistyczne, istnieje wiele zespołów dramatycznych i muzycznych występujących w całym kraju.

Różnice wyznaniowe oraz polityczne jak również pewna rywalizacja nie przeszkadzają w uzgadnianiu prac celem uniknięcia ich dublowania.

Znamienne wystąpienie ukraińskich nacjonalistów

W tygodniku *Homin Ukrainy*, czołowym organie ukraińskich nacjonalistów w Kanadzie, ukazał się w nr. 7 z dn. 8 lutego br. obszerny artykuł pt. „Za godną postawę i miejsce dwóch narodów w europejskiej wspólnocie”, pióra A. Orlikowskija. Wydaje się iż pod tym pseudonimem kryje się rzecznik polityczny tej grupy, jeden z jej przywódców. Autor wyraża przekonanie, że dialog polsko-ukraiński, zmierzający do normalizacji wzajemnych stosunków jest wysoce potrzebny i że należy go prowadzić mimo różnych trudności. Jego zdaniem strona polska — nie wyłączając tych osób, które należą do polsko-ukraińskiego towarzystwa w Londynie — nie ma odwagi zajęcia zdecydowanego stanowiska bojąc narazić się na gniew rodaków rozsiadanych po świecie. Autor pisze że trwanie Polaków na dawnych

pozycjach jeśli idzie o problemy terytorialne, marzenia o „polskim Wschodzie”, o odzyskaniu dawnych terytoriów, to tylko szkodliwe złudy — przeszkody dla podjęcia realnych kroków.

Głębokie zmiany nastąpiły na całym świecie a więc także w strukturze i nastawieniu obu narodów. Ukraina dzisiejsza w niczym nie przypomina tej z 1939 roku, jest obecnie krajem uprzemysłowionym, wysoce rozwiniętym gospodarczo. Posiada 140 wyższych uczelni z 85.000 naukowcami, 172.000 pracowników naukowych oraz około 2.300 tysięcy specjalistów technicznych i ekonomicznych. Ukraina posiada wielkie zasoby bogactw naturalnych i rozbudowane porty, ale obecnie jest eksploatowana przez Rosję, stanowiąc jej bazę wypadową na Polskę. Niezależna Ukraina nie będzie wrogiem Polski, nie ma powodu. Będzie potrzebowała polskich rynków, a Polska będzie mogła sprzedawać Ukrainie swoje produkty. Tylko poprzez panowanie na Ukrainie i w Polsce Rosja może realizować swoją imperialistyczną politykę i zachować swoją obecną pozycję. Spokojna, chłodna analiza wszystkich tych elementów, całego kompleksu geopolitycznego wskazuje, iż interesy obu narodów, nawet mimo dawnej wrogości, są zbieżne a wobec tego trzeba nad przeszłością przejść do porządku dziennego i wypracować platformę współpracy na przyszłość. Niezależność Ukrainy leży w interesie Polski, a suwerenna Ukraina potrzebuje suwerennej Polski. Zniszczenie Ukrainców przez rosyjski imperializm oznaczać będzie, iż wzdłuż długiej granicy Polski znajdą się Rosjanie zamiast Ukrainców, co oczywiście umożliwi 140-150-milionowemu narodowi, który bez trudu zniewala naród polski, zmusić go, aby poprosił o „łaskę” przyjęcia do rodziny bratnich narodów.

To widmo następstw rusyfikacyjnej, imperialistycznej polityki rosyjskiej winno skłonić polską elitę na wolnym świecie do podjęcia odpowiedniej akcji. — Tyle w pierwszym artykule na temat stosunku do Polski.

B. H.

Prof. J. K. ZAWODNY

NOTHING BUT HONOUR

Story of the Uprising of Warsaw 1944

Historia 63 dni Powstania Warszawskiego w 1944 roku, w którym zginęło przeszło 200.000 mieszkańców walcząc z niemiecką armią. Książka opisuje powstanie na ulicach Warszawy oraz prowadzi Czytelnika do Londynu, Moskwy, Waszyngtonu wyjaśniając dyplomatyczne manewry zakończone biernością sowieckiej armii (która stała w odległości 2-ch mil, kiedy Niemcy przeszli do burzenia Warszawy). Roosevelt, Churchill i Stalin byli wmieszani w tę tragedię.

Str. 340.

\$ 12,95 (£ 6.95).

Wyd. Hoover Institution Press, Stanford, CALIF. USA
& MacMillan (London).

Kraj

Niezależna prasa i wydawnictwa w Kraju

Ukazał się nr 2 niezależnego pisma młodych katolików *Spotkania* (styczeń 1978), w którym znajdują się następujące artykuły: Ks. S. Małkowski „Homilia na Nowy Rok”; W. Zdziechowski „Rozważania ewangeliczne — komu więcej dane”; L. M. Wiśniewskiego, OP „Chrześcijaństwo a sprawy społeczne”; H. Barsa „Polityka według J. Maritaina” oraz obszerny dział poezji i prozy, dokumentacja, dział „Fakty — wydarzenia — opinie”. Pismo redaguje zespół: Zdzisław Bradel, Janusz Krupski i Stefan Szaciłowski. Adres Redakcji: Janusz Krupski, 20-213 Lublin, ul. Gospodarcza 30 m. 52.

W styczniu br. ukazał się nr 5 *Zapisu* (Poezja — proza — eseje — kronika), który przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Tomasz Burek, Jakub Karpiński, Adam Michnik, Kazimierz Orłowski, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński i Adam Zagajewski. Numer obejmuje 300 stron maszynopisu. Podajemy spis treści: Tadeusz Korzeniewski — „W Polsce”; Leszek Budrewicz — wiersze; Witold Wirpsza — „Polaku kim jesteś?” (fragmenty); Leszek Szaruga — wiersze; Władysław Bieńkowski — „Filozofia dziejów a teoria społeczna (I)”; W. W. — „Gorbaniewska”; Natalia Gorbaniewska — z wierszy 1975; Václav Havel — „Ostatnia rozmowa”; Andrzej Kijowski — „Przyczynek do dyskusji o inteligencji”; Jakub Karpiński — dwa szkice o cenzurze: 1. Kierunki badań cenzurowanych, 2. Cenzura i historia. Zapisy i praktyka, „Spotkania z ikonami” i spotkanie z cenzurą; Ryszard Krynicki — wiersze z notatnika; Leszek Kołakowski — „Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności”; Gesine Schwan — „Pochwała Leszka Kołakowskiego (fragmenty)”; Jerzy Markuszewski, Wiktor Woroszyński — list do Redaktora *Polityki*; Zygmunt Mycielski — „Utwór Andrzeja Panufnika wykonany w Kraju!”; Jan Józef Lipski — „Sprawa zniszczenia dzienników Jerzego Kornackiego”; Kazimierz Orłowski — „Codziennie 1.500.000”; Władysław Jasiński — „O głupim dowcipie, który zrobiono Ludwikowi Waryńskiemu”; Jacek Bocheński — „Niedrukowane” Andrzeja Kijowskiego; Stanisław Barańczak — „O kompleksie polskim rozmyślenia wigilijne na stojąco”; Teodor Halicz — „Historia filozofii współczesnej”; Pierwszy numer *Pulsu*, *Spotkania*, Kisiel — 2 x „Wołanie na puszczy” — 1. Podręczny skorowidz nazwisk, 2. Po tegorocznej kampanii, Jerzy Narbutt — „Do Wiktora Woroszyńskiego list otwarty”;

Kronika: Biennale 77 (korespondencja własna z Wenecji), Chrześcijaństwo wobec praw człowieka — doniosła sesja KIK-u, Biblioteka książek zakazanych, Kim był generał Przełomski?, Latający Uniwersytet, Tajemnice PRL-owskiej cenzury wróciły do Kraju, Przeciwno RES-om, O Miłoszu i Waciu, Niepoprawni, Tocqueville oceniany, Uczony-emigrant skazany nie nieistnienie. Co się dzieje w kinematografii — ciąg dalszy, Spotkania z artystami na Salwatorze, Wokół „Śmierci prezydenta”, Polonica w *Kontynencie*, Nagrody Sacrosongu, Operacja „Zjazd literatów”, Z życia *Zapisu*, Paszporty wciąż nie dla każdego; Z ostatniej chwili: We Wrocławiu też sami wydają; Noty o autorach.



W styczniu br. ukazał się nr 3 niezależnego kwartalnika *Postęp*. Numer obejmuje stron 35 maszynopisu małego formatu. Podajemy spis treści: Dyskusja publiczna — 1. O właściwe wychowanie i nauczanie w polskich szkołach, 2. Wybory czy głosowanie — Henryk Bąk, 3. W sprawie niezależnego chłopskiego związku zawodowego — Tadeusz Fijałkowski, 4. Uwagi o prawie do strajku — Henryk Bąk. Na str. 1 czytamy: „Pismo to jest formą dyskusji publicznej ludzi pracy. Jest to kwartalnik wydawany na podstawie art. 83, art. 86 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz art. 19 Paktów Praw Człowieka i Obywatela. — Korzystajmy z przysługujących nam praw. — Czekamy na Twój głos w dyskusji publicznej! — Proponujemy ludziom pracy wspólne redagowanie, wydawanie i rozpowszechnianie tego pisma”.



Ukazał się *Śpiewnik uliczny i domowy* — zeszyt 1, Warszawa, grudzień 1977, wydany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą, prawa autorskie — Mirosław Chojecki.

„Śpiewnik należy do gatunku rzeczy pięknych i pożytecznych i tym uzasadnia swoje istnienie. Tytuł stanowi intencjonalne nawiązanie czyli zamierzony plagiat nazwy „Teatr Uliczny i Domowy”, którego Autor umocnił nas w przekonaniu, że trzeba i warto.

Piosenki w większości podane są w wersji spisanej z nagrań bądź publikowanej (niekiedy w odnośnikach umieszczaliśmy popularne warianty poszczególnych strofok czy wersów). Nazwiskami autorów opatrzone są teksty drukowane lub śpiewane na przedstawieniach teatralnych i kabaretowych oraz niektóre inne. Piosenki czeskie i rosyjskie staraliśmy się podawać w miarę możliwości wraz z tłumaczeniami; teksty rosyjskie napisane są w ten sposób, że trzeba je śpiewać „jak się czyta”.

Gdy zaś idzie o stronę muzyczną, tradycja wykonawcza dopuszcza odchylenia melodyczne i wahania rytmiczne w zależności od artykulacji tekstu. Typ akompaniamentu (akordy rytmiczne, rozłożone, synkopy itp.) zależy od inwencji wykonawcy. Podane tonacje nie są — rzecz jasna — obowiązujące. Przy transpozycjach należy pamiętać o zachowaniu zależności funkcyjnych między akordami”.

A. A. R.

Po tym wstępie podany jest spis rzeczy: 1) Przy sadzeniu róż, 2) Nie dham, jaka spadnie kara, 3) Pieśń konfederatów, 4) Modlitwa partyzanta, 5) Ci, którzy jedzą grzanki, 6) Ostatni Ikar, 7) Pokolenia, 8) Pokolenie Kolumbów, ZMP-owców, tubylec, 9) Piosenka w tonacji G-moll, 10) Nie patrzcie na szczyt, 11) Piosenka o morzu, 12) Odysie, powiedz gdzie Itaka, 13) Smutni i cisi, 14) Akademia policyjna, 15) Hymn cichych II, 16) Pieśń pułkownika cichych, 17) Hymn cichych, 18) Aria gegacza-trockisty, 19) Hymn gegaczy, 20) Pieśń gegaczy w celach, 21) Odezwa KC KPZR do radzieckich pisarzy i artystów, 22) Warszawski pakt bez wojska, 23) Pięć

państw, 24) List załogi zakładów im. Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej w Suwałkach do braci Czechów, 25) Bracia, 26) Generacja, 27) Motyl, 28) Kat, 29) Hradec Kralove, 30) Organy oliwskie, 31) Czerwone maki na Entej ulicy, 32) Drewniane garnitury, 33) Magadan, 34) Tawariszcz Stalin, 35) A ja ciągle wierzę w atom, 36) Żelazna kurtyna, 37) Nie oddamy Chinom Związku Radzieckiego, 38) Telewizja, 39) Piosenka o drugiej Polsce.

Kościół popiera inicjatywy TKN

Na konferencji plenarnej Episkopatu w dniach 8-9 marca br. uchwalono: „... Konferencja Plenarna wysłuchała sprawozdania Kardynała Karola Wojtyły w związku z mijającym pierwszym pięcioleciem działalności Rady Naukowej Episkopatu Polski, a także rozpatrzyła problemy kultury narodowej, która od tysiąca lat ma charakter chrześcijański, wyrażając troskę o dalszy jej prawidłowy rozwój. Od wielu bowiem lat kulturze polskiej usiłuje się narzucić piętno monizmu materialistycznego i laicyzmu, tak obcego duchowi polskiemu. Konferencja wyraża dezaprobatę dla wszelkich poczyniń, które krępują ducha ludzkiego tworzącego swobodnie wartości kultury. Stąd też godnym ubolewania jest fakt ograniczania twórczości naukowej, badawczej, artystycznej, religijnej poprzez cenzurę państwa. Istnienie tej cenzury o tak szerokim zakresie interwencji jest szkodliwym nieporozumieniem. Kościół będzie popierał inicjatywy, które dążą do ukazania kultury, wytworów ducha ludzkiego, historii Narodu w formie autentycznej, bo Naród ma prawo do obiektywnej prawdy o sobie”.

Kardynał Karol Wojtyła oddał do dyspozycji „Latającego Uniwersytetu” lokal w klasztorze SS Norbertanek w Krakowie i analogicznego poparcia udzieliło kilku innych biskupów.

Fragment listu Prymasa

Z listu Prymasa Polski z okazji 50-lecia duszpasterstwa akademickiego w Warszawie (6 lutego 1978):

„... Coraz wyraźniej też występują postulaty młodzieży akademickiej, zwłaszcza:

1. Konieczność rozszerzenia wolności zrzeszania się młodzieży w niezależnych wspólnotach światopoglądowych, aby młodzież katolicka nie musiała być uzależniona od zmonopolizowanych organizacji akademickich, stojących

na gruncie obcej światopoglądowo ideologii monistycznej i diamatycznej, często narzucającej ateizację i laicyzację.

2. Nadto istnieje konieczność objęcia swoim oddziaływaniem apostołskim młodzieży dalekiej od Chrystusa i Jego zbawczej Ewangelii. Sami akademicy muszą się stać apostołami środowiska akademickiego, by przezwyciężyć obojętność tych, którzy czują się osamotnieni, żyją w niewiedzy religijnej i ulegają rozkładowym wpływom marginesu społecznego, jego złoceń obyczajowych i społecznych, zaciągniętych z obcych wzorów.

3. Równie doniosłą koniecznością jest postulat równego startu w naszym życiu publicznym, aby uniknąć poczucia uprzywilejowania jednych, a dyskryminacji drugich, aby uniknąć wrażenia społecznej krzywdy i drugorzędności młodzieży, ufającej Chrystusowi, aby doprowadzić do pokoju społecznego, tak niezbędnego dla równomiernego rozwoju Ojczyzny.

4. Wobec licznych niedociągnięć naszego życia ekonomicznego, niezbędna też rzecz jest rozwinięcie wzajemnej pomocy młodzieży ubogiej, bo przed wojną stworzyła piękne tradycje w „Pombli” przy kościele św. Anny. Takich wymagań młodzież akademicka stawia coraz więcej, chociaż w formie cenowego umiaru i realizmu życiowego.

Episkopat Polski z wielką życzliwością śpieszy z pomocą młodzieży akademickiej. Otacza ją swoją troską przez specjalną Komisję Duszpasterstwa Młodzieży i delegata Episkopatu, który już wypracował odpowiednie tradycje współpracy...”

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Sprawy i troski

Polonia amerykańska - wielka niewiadoma

Dla wielu zasiedziały już w Ameryce Polaków nierozwiązalną zagadkę stanowi nie tyle brak znajomości *Polonii Amerykańskiej*, z jaką się zdradzają przyjeżdżający tu rodacy z Europy, ile beznadziejnie wprost *wyogórowane wyobrażenia* jakie tu przynoszą.

Polonia to dla nich „potęga”, Kongres Polonii to „kolos”, organizacje polonijne rozporządzają „setkami milionów” a parafii i szkół polonijnych są nie setki, ale „tysiące”. I wszystko idzie „cacy-cacy”.

Próby zredukowania tych wyobrażeń do rzeczywistych rozmiarów przyjmują z niedowierzaniem i odrzucają przez długi czas jako coś granicznego z błuźnierstwem.

Z takim samym zapewne niedowierzaniem przyjmie wielu próby wyjaśniania tej sprawy w prasie. W każdym razie jeżeli nie każdy, to przynajmniej co piąty czy co dziesiąty czytelnik może z zacnie szukać obliczeń i dojdzie do bardziej realistycznej oceny.

Ograniczę się tym razem do spraw kościelnych, ściśle mówiąc katolickich, chociaż i tu trzeba by stwierdzić, że wbrew równie błędnym zapatrywaniom, nie wszyscy Polacy w Ameryce należą do Kościoła katolickiego.

Nawet prosta statystyka to nie jest sprawa oderwana od praktycznego życia, bo niestety trzeba zwykle liczyć przeróżne plany i zamiary podług sił, licząc się z możliwościami. Co innego opierać się na milionach ludzi, a co innego na tysiącach. Co innego liczyć na kilkadziesiąt, a co innego na kilka tysięcy polonijnych parafii i szkół, gdy się myśli o zapełnieniu studentami takich czy innych uczelni.

Nie bawiąc się w powtarzanie całej, mało zresztą nawet dla Polaków w Ameryce jasnej, przeszłości polonijnej, przypomnijmy tylko, że parafie określane jako polskie, bo zakładane przez

Polaków i dla Polaków, powstawały tu od roku 1855, najpierw powolutku, po kilka na rok, z garstkami pierwszych wychodźców w każdej. Najwięcej takich parafii pojawiło się między rokiem 1890 a 1914, to jest do Pierwszej Wojny. *Inter arma silent* nie tylko „Musae” ale wszelkie inne poczynania. W jednym mieście zabierano się w roku 1913 do zakładania piątej z kolei parafii polskiej, sama wieść, że w Europie wybuchła wojna, zmieniła ten plan całkowicie i uplanowana parafia powstała już, skoro był gotowy grunt i plany budowy, ale jako parafia amerykańska, czyli dla wszystkich mieszkańców danej dzielnicy. I tak było w innych miastach.

A po wojnie cała sytuacja zmieniła się tak dalece, że już polskich parafii poza małymi wyjątkami, nie zakładano. Nie przybywało Polaków a i ci co się już zadowolili, nie okazywali już tego zapału do budowania kościołów. Było ich dość. Ponieważ ogłoszone w roku 1917, a obowiązujące od roku 1918, nowe prawo kościelne przyniosło nowe przepisy w tej sprawie, a przez całą Amerykę przechodził prąd amerykanizacyjny, więc młodzież polonijna łącznie z młodszym, tu urodzonym i wychowanym duchowieństwem, była już raczej za włączeniem się w społeczeństwo, co określano jako *joining the mainstream of American way of life*. Młodzież uznawała język angielski, a nie polski, za swój język ojczysty.

Ta sprawa — historyczna — wymagałaby oczywiście dłuższego naświetlenia, ale zgodnie z powyższym planem nie historia się tu pisze, tylko coś o dzisiejszym położeniu.

Podstawą tego położenia jest fakt, że Polonia liczy mniej więcej tyle polskich parafii, ile ich powstało do roku 1922. Mniej więcej — bo jeszcze się gdzieś organizowały nowe, na palcach jednej ręki je można policzyć, a inne zanikały. Cała Ameryka jest usiana osadami określanymi jako *gost towns*, czyli osiedla całkiem opuszczone, tak w okręgach rolniczych jak i górniczych w miarę jak likwidowano nieopłacające się gospodarstwa rolne i kopalnie węgla, lub mniejsze linie kolejowe. W niektórych takich parafijkach liczono pod koniec po 20 do 30 rodzin, dodajmy — że zostały w nich tylko osoby starsze. Młodzi, wykształceni lub przynajmniej kwalifikowani w przemyśle, poszli „na lepsze pastwiska”.

Spisy parafii polonijnych sporządzano w różnych okresach i z różnym „aparatem naukowym”. Osobiście za najlepszą, bo szczegółową, z nazwami, adresami i datami założenia, uważam statystykę opracowaną przez ks. Zdzisława Peszkowskiego, wykładowcę w Seminarium Polskim w Orchard Lake. Można ją znaleźć w wydawnictwie SACRUM POLONIAE MILLENNIUM, w tomie szóstym, z datą 1959.

Ogólna ich liczba podana przez autora wynosiła wtedy 769,

dla uniknięcia pomyłki w druku piszę słownie SIEDEMSET SZESZCZDZIESIĄT DZIEWIĘĆ.

Warto jeszcze dodać, że niektóre z wymienionych tam parafii mogły już w chwili publikacji tego zestawienia zaniknąć wraz z ginącymi osadami, czyli że ogólna liczba będzie raczej niższa niż wyższa.

Autor wyraził też ubolewanie, że niestety wielu pisarzy i mówców woli przytaczać liczby nadęte lub brane z powietrza.

Tak więc w roku 1959, prawie 20 lat temu, miała Polonia tylko 769 parafii. Autor nie wyjaśnił jednak, czy te parafie posługiwały się stuprocentowo językiem polskim i czy kwitły tam polskie tradycje i zwyczaje.

Niestety owa statystyka pozostała raczej „pogrzebana” w bibliotekach przechowujących komplet S.P.M., kilkanaście tomów *in folio*. Nadal pisano i mówiono jak się komu podobało, że parafii polonijnych były „tysiące” lub 1.200 lub coś podobnego. A nowej statystyki nikt nie opracował.

Dopiero w roku 1973 ukazała się książka, opracowana socjologicznie, przez *Theresię Polzin*¹, wykładającą socjologię w „Metropolitan State College of Colorado in Denver”.

Prace socjologiczne są zwykle zbyt skomplikowane, żeby się dały streścić, wystarczy powiedzieć, że analizując odpowiedzi na kwestionariusz rozesłany do wszystkich parafii, które ze względu na nazwę, nazwisko proboszcza i wiele podobnych danych „mogły być polskie”, przekonała się, że nadesłano jej tylko 707 odpowiedzi, w tym 161 z krótkim określeniem: „ta parafia nie jest polska”, czyli tylko 546 wypełnionych kwestionariuszy. Ich analiza wykazała, że tylko 310 parafii można było w całej pełni określić przymiotnikiem „polska”.

O ile wiem, recenzenci (nie było ich wielu) nie zakwestionowali tych liczb. Autorka sama przyznaje, że trudno wyniki jej ankiety uznać za stuprocentowo pewne. Tak jest niestety z większością ankiet i badań socjologicznych.

Można przypuszczać, że spadek liczby parafii polonijnych nie znaczy, że one przestały całkiem istnieć, tylko że z polskich zamieniły się z różnych powodów na parafie dla wszystkich, nie tylko dla Polaków i że młodsze pokolenia przeszły z języka polskiego na angielski.

Stan liczbowy to jedna strona medalu. O wiele trudniejsze jest nakreślenie rzeczywistego obrazu. Trudniejsze dlatego, że nie wszędzie jest tak samo, a że nie ma w Ameryce jakiegś ogólnopolonijnej i ogólnokatolickiej prasy, a o zwiedzaniu nawet tych 310 parafii, rozrzuconych od Atlantyku do Pacyfiku, trudno marzyć, więc możliwa jest chyba tylko jakaś „próba sztychowa”, czyli nieśmiałe zdanie o całości oparte na znajomości kilkunastu

1. Wydanie broszurowe, 282 str., adres: Franciscan Publishers, Pulaski, Wisconsin, 54162 — tytuł: The Polish Americans (po angielsku).

znanych naocznie i z kilkunastu innych, znanych tylko z prasy i z książek jubileuszowych.

Można zacząć od przypuszczenia, że skoro nie pisano nigdzie o jakichś krachach i katastrofach parafialnych, więc prawdopodobnie sprawy toczą się mniej lub więcej normalnie.

Wiele parafii obchodziło w ostatnim dziesięcioleciu swe jubileusze, stuletnie, 75-letnie, a ostatnie z założonych już po Pierwszej Wojnie odnotowały swe 50-lecie.

Księgi jubileuszowe nie są niestety idealnymi obrazami stanu aktualnego ani nawet dziejów parafii z tego prostego powodu, że historyków z prawdziwego zdarzenia jest mniej niż parafii, a socjologów jeszcze mniej. Ponadto w wielu parafiach można było zauważyć odwrót od przeszłości. Ograniczono się do wykresów statystycznych. Malują one przeważnie spadek liczby chrztów i dzieci w szkołach. W wielu mniejszych parafiach młode pary znikają po miodowym miesiącu, bo albo mąż albo oboje nie mogą w rodzinnej miejscinie znaleźć pracy zarobkowej odpowiadającej ich wykształceniu zawodowemu. Lekarze rodem z takiej miejscowości z okolic Buffalo praktykują w Kalifornii lub w Waszyngtonie, inżynierów zatrudniają konglomeraty fabryczne w Tennessee lub w New Mexico o ile nie w Teksasie; na pogrzeb starego ojca przylatuje samolotem z daleka córka z zięciem. W parafii pozostają tylko starsi, o ile się nie urządzili na Florydzie.



W większych miastach do ruiny polonijnych parafii przyczyniły się wyprowadzki z ciasnoty dawnych „gett”, skąd się zamożniejsze pokolenie powynosiły na przedmieścia, żeby tam zamieszkać już w kosmopolitycznych środowiskach². Powstają tam z konieczności, staraniem diecezji i miejscowej ludności, nowe, kosmopolityczne gdy chodzi o skład narodowościowy, a właściwie amerykańskie już parafie.

Przyspieszyły ten proces starcia na tle rasowym, nieraz gwałtowne. Z dymem pożarów poszły całe dzielnice takich miast jak Newark w stanie New Jersey, Detroit, Nowy Jork.

Dzielnice polonijne ucierpiały nie tyle od gwałtów i pożarów ile od samej paniki: wystarczyło, że się do jakiej dzielnicy wprowadziła jedna rodzina kolorowa, a już większość dawnych mieszkańców wysprzedawała swe, stare zresztą, domy za bezcen. Wprowadzali się, przybywający masowo, kolorowi ze stanów Luizjana i Missisipi, bo mechanizacja produkcji bawełny pozabawiła ich tam zarobku. (Dziś wielu kolorowych wraca na południe, w miarę jak się z miast nad Wielkimi Jeziorami, Bostonu, z Nowego Jorku i z innych wyprowadza przemysł, a za nim pracownicy).

W księdze jubileuszowej wielkiej ongiś parafii św. Stanisława

2. Zob. *Duszpasterz Polski* sprzed kilku lat — art. Ks. W. Sojki pt. „Trzy smutne zjawiska”.

w Buffalo odmalowano te sprawy dość wyraziście, podkreślając że proboszcz³ robił wszelkie wysiłki, żeby ten exodus powstrzymać. Na darmo. Doszło do tego, że w diecezji Brooklyn, N.Y. ponad połowa katolików to ludzie z Porto Rico i ze wszystkich małych republik środkowej Ameryki. Zalali oni kilka wielkich polskich parafii, zajmując miejsce Polaków, którzy się wyprowadzili do New Jersey lub na „Long Island”. Trzymają się jeszcze wielka parafia św. Stanisława Kostki w dzielnicy zwanej Greenpoint⁴, niedawno poświęcił jej sporo miejsca amerykański reporter na łamach nowojorskiego *Daily News*.

Te wielkomiejskie przemiany i przewroty zrujnowały polskie parafie w centrum Chicago. Trzeba bowiem wiedzieć, że życie w tej mieszaninie ras i narodowości to prawie życie w dżungli, gdzie się trudno pokazać na ulicy, żeby nie być napadniętym i w najlepszym wypadku obrabowanym⁵. Ofiarami padały i padają przede wszystkim starsze, bezbronne kobiety, ale bezpieczny nie jest nikt: w Chicago obrabowano na ulicy nawet kardynała Cody. W jednym średniej wielkości mieście⁶ najwięcej takich rabunków popełniano do niedawna na centralnej ulicy, tuż przed olbrzymim gmachem sądu federalnego i urzędów miejskich.

Do ruiny niektórych przynajmniej dzielnic przyczyniły się nieprzemysłane plany urbanizacyjne: jakieś komitety zakreślały na mapach dzielnice które należało wyburzyć, żeby na miejsce starych domów pobudować jakieś nowoczesne gmachy (przeważnie biurowce) i rozbudować sieć szerokich ulic. Całe parafie uległy w ten sposób likwidacji⁷ lub straciły wielu członków⁸. Szaleli tu „Hausmannowie”, tyle że francuski Hausmann przemienił pod rządami Napoleona III śródmieście Paryża w nowoczesne miasto, a tu się przeważnie prace urbanizacyjne skończyły w połowie i setki solidnych budynków są opuszczone i straszą przechodniów powybijanymi przez wandalów oknami. Gnieźdzą się

3. Zob. księgę jubileuszową na 100-lecie parafii, której ten jubileusz określono jako obrzęd „pogrzebowy”. Byłem tam i widziałem wszystko z bliska.

4. Jest to parafia misjonarska św. Stanisława Kostki. Ona też maleje: liczba dzieci w szkole spadła z ok. 1.100 na 880 w 1977 roku. Co roku osiedla się tam, na pierwsze lata, sporo przybyszów z Kraju. Ostatnio wielu z nich, to element spod ciemnej gwiazdy — kościoła unika.

5. Ofiarami napadów w wielu miastach byli m.in. nasi luminarze nauki, jak Giergielewicz, Fryling i prezeska wydziału kobiet ZPRK Stella Nowak (nie wszyscy w tym samym mieście).

6. Chodzi o główną ulicę Hartford, stolicy stanu Connecticut. To samo dzieje się dokoła polskiego kościoła, gdzie właśnie stoją pustką domy przeznaczane na rozbiórke. Kilka razy wrywano torebkę gospozi plebańskiej, a raz skradziono jej z pokoju kilkadziesiąt dolarów.

7. Chodzi o wielką parafię (nie polską), sąsiadującą z polskim kościołem w Hartford, St.

8. Chodzi o parafię w New Haven, Ct. i o polską parafię w mieście Kingston, N.Y. Wyburzono tam pod rozbudowę szosy o wiele więcej domów, niż było potrzeba. Teraz rosną tam chwasty.

tam młodzi narkomani⁹, a wypadając z nienacka na ulice wyrwywają staruszkom torebki z dolarami nawet w samo południe, a nocami nie na tym się zwykle kończy.

Wielkie miasta amerykańskie to prawdziwe pobożowiska, kto nie wierzy, niech zwiedzi takie dzielnice Nowego Jorku jak Bronx.



W szczęśliwszym położeniu są parafie na przedmieściach tych miast-kolosów i w mniejszych miastach, chociaż i tam zagłada jak nie taka, to inna bieda w miarę jak — na przykład w pięknym stanie Connecticut — wiele fabryk ulega likwidacji lub przeniesieniu na południe, bo tam cieplej i lepsze warunki do modernizacji przemysłu¹⁰: zamiast przebudowywać stare fabryki wznosi się całkiem nowe, całkowicie dostosowane do nowoczesnej produkcji. Podatki też niższe (przynajmniej do czasu) i robotnik tańszy.



W istniejących parafiach polonijnych najwięcej trudności przysparzają *szkoły*. Ich utrzymanie kosztuje z roku na rok więcej, bo niestety inflacja odbija się na ogrzewaniu, oświetleniu¹¹, utrzymaniu budynków, zwłaszcza gdy są już stare. To nie wszystko. Dawniej siłami nauczycielskimi były przeważnie siostry zakonne. Teraz zakonnic o wiele mniej, bo nowicjaty stoją prawie pustką. Tam gdzie kiedyś przygotowywało się do pracy nauczycielskiej po 50 nowicjuszek, teraz jest ich mniej niż dziesięć¹², a w jednym takim ośrodku była w ubiegłym roku tylko jedna. Kim zastąpić starzejące się i wymierające siostry-nauczycielki?

Oczywiście można znaleźć inne siły nauczycielskie, ale jest wielka różnica, bo zakonnica uczyła za bardzo skromnym wynagrodzeniem i poświęcała szkole i parafii (kościółowi) wiele godzin nadliczbowych. Nauczycielki świeckie odrobnią swoje godziny i wracają do domu, a za pracę trzeba je wynagradzać tak samo jak to robią szkoły publiczne¹³. Rzecz zapewne poza Ameryką

9. Zjawisko codzienne w Hartford — mieście średniej wielkości. Osiedliło się tam ok. 40.000 biedaków z Porto Rico.

10. Z Buffalo wyniosła się centrala Western Electric (w 1976 r.) i straciło pracę 1.950 osób, firma ułatwia niektórym przeprowadzkę na nowe miejsce; w Utica to samo z UNIVAC, „przestarzała” wytwórnia komputerów.

11. Chociaż oficjalnie inflacja rośnie średnio ok. 6-7 % rocznie, to opał, a zwłaszcza gaz drożeje do 30 % rocznie. Nasz zakład płacił w ub. roku ok. \$ 3.500 i to mimo wprowadzonych oszczędności.

12. Chodzi o nowicjaty SS Felicjanek w Enfield, Conn. W Buffalo miały one tylko 4 nowicjuszki. Podobnie jest u Nazaretanek. Sporo zakonnic porzuca konwenty, wysoce wykwalifikowane zakonnice nie opierają się pokusie lepszego zarobku poza zakonem, ale to wykształcenie zapewnił im zakon.

13. Nauczycielki świeckie pobierają średnio 3-4 razy tyle co zakonnice. Od jakiegoś czasu i zakonnice domagają się wyższego wynagrodzenia, jako zabezpieczenia na starość.

nie do wiary, ale faktem jest, że ten świecki personel nauczycielski, zwłaszcza w szkołach średnich, urządza gorszące i demoralizujące młodzież strajki, domagając się podwyżek płacy. W kilku wypadkach biskup — bo ostatecznie wszystkie szkoły katolickie podlegają diecezjalnej dyrekcji — musiał się zgodzić na wymagania strajkujących nauczycieli. Ponieważ jednak „z próżnego nikt nie naleje”, więc z końcem roku szkolnego diecezjalna dyrekcja szkół ogłasza zamknięcie kilku diecezjalnych szkół, w danym wypadku średnich¹⁴. Nie chodzi tu o szkoły polonijne, ale jest to ilustracja ogólnej sytuacji w szkolnictwie katolickim. Nie odbiega ona wiele od szkolnictwa określanego tu jako „publiczne”, strajki nauczycielskie stały się, jak wszystkie inne, rzeczą zwyczajną, tyle że w szkołach katolickich rażą bardziej niż gdzie indziej. I odbijają się na kosztach.

Do wzrostu kosztów przyczynia się też wandalizm, częsty w szkołach publicznych. Przynajmniej jedna szkoła polonijna¹⁵, w mieszanej rasowo dzielnicy, została zamknięta, gdy ją „nieznani sprawcy” dwa razy gruntownie zdemolowali.

W wielu wypadkach ratunkiem dla szkół z małą ilością dzieci, przynajmniej na jakiś czas, jest łączenie dwóch szkół w jedną czyli „konsolidacja”. Niestety w niektórych wypadkach¹⁶ parafianie, nie przyjmując do wiadomości namacalnego nawet faktu, że szkoła jest niewypłacalna, nie godzili się na to rozwiązanie i obie szkoły uległy likwidacji, czasem po długich protestach i demonstracjach przed plebanią i biurami diecezjalnymi.



W większości szkół nikt już nie protestuje przeciw brakowi języka polskiego w programie szkolnym. Protesty takie powtarzają się jednak w niektórych parafiach, *gdzie nadal osiedlają się nowi przybysze z Polski*. Są — co jest zrozumiałe, przywiązani do polskiej mowy, a może przynajmniej niektórzy uważają swój pobyt w Ameryce za tymczasowy i marzą o powrocie w rodzinne strony zarobiwszy trochę dolarów. Niestety ich wymagania idą czasem zbyt daleko. Polonijne szkoły parafialne już od wielu lat przygotowują dzieci do życia w Ameryce, do amerykańskich szkół średnich i wyższych i do kariery naukowej czy zawodowej. Nauczanie musi się odbywać w języku angielskim, nawet na osobne lekcje języka polskiego trudno znaleźć czas w przeładowanym zwykle rozkładzie zajęć szkolnych.

Większość szkół parafialnych ułatwia prowadzenie w lokalu szkolnym *sobotnich lekcji języka polskiego*. Frekwencja w takich szkołkach zależy od warunków miejscowych, a wyniki nauki od

14. Wypadki z ostatnich lat w Buffalo i w Brooklynie.

15. Wypadki z polskiej parafii w mieście Niagara Falls, obok sławnego wodospadu. Jest tam dużo kolorowych.

16. Wypadki z ostatnich lat w Passaic i Paterson, New Jersey oraz w Brooklynie, w polskich parafiach.

nauczycieli. O utalentowanych nauczycieli jest w wielu miejscowościach trudno. Dodatkową trudnością jest fakt, że przepracowany, nie dość liczny, stały personel nauczycielski utyskuje często na sobotnich nauczycieli gdy po lekcjach trzeba wszystko w izbach szkolnych na nowo sprzątać i układać, bo dzieci, jak to dzieci, nieraz wszystko porozwalają.

Na ogół jednak pomimo małych zadrażeń, współpraca kierownictwa szkoły z nauczycielstwem w szkołkach sobotnich układa się znośnie.



Problemów jest oczywiście więcej. Nie można sobie pomyśleć parafii bez proboszcza a w większych parafiach bez asystentów. Liczba duchowieństwa maleje z roku na rok, gdzie kilka lat temu razem z proboszczem pracowało dwóch lub trzech asystentów, tam pozostał teraz tylko sam proboszcz. Gdzie w szkole uczyło 10 zakonnic, tam są teraz tylko cztery na tę samą liczbę jeżeli nie dzieci to osobnych klas. Współpraca z nauczycielstwem świeckim z konieczności wytwarza trudności a im więcej sił świeckich, tym większe wydatki.

Większość księży pracujących w parafiach polonijnych to duchowieństwo polonijne, wychowane od dziecka w szkołach amerykańskich, podobnie jak siostry zakonne. Nie wszyscy, nawet nie większość, przeszli przez Seminarium Polskie w Orchard Lake, biskupi wysyłali ich do seminariów amerykańskich, a niektórzy kandydaci do kapłaństwa sami wybierali i wybierają seminaria amerykańskie w przekonaniu, że to im ułatwi dalsze życie w szeregach kapłańskich. Starsi znają język polski o wiele lepiej niż młodsze roczniki. Z różnych powodów pewna liczba księży o polskich nazwiskach pracuje nie po parafiach lecz w duszpasterstwie ogólnym i specjalnym zwłaszcza w dziedzinie wychowawczej i społecznej. Narzekają na to niektórzy polonijni proboszczowie pozbawieni asystentów¹⁷.

Przybywa w Ameryce około 300 księży z Polski, tak w zakonach jak i w diecezjalnych szeregach. Są wśród nich jednostki zawiedzione: myślał niejedno, że w Ameryce czekały na nich wakujące stanowiska proboszczów, tymczasem jak wszędzie tak i tu obowiązuje zasada „starszeństwa” i niejedno kapłan urodzony w Ameryce liczący 25 lat po święceniach, czeka na awans na proboszcza, i ci, którzy przyjeżdżają z Kraju muszą „stawać w kolejce” a przede wszystkim czekać na regularne przyjęcie do diecezji zgodnie z przepisami prawa kościelnego. Tak samo czekaliby księża zagraniczni przyjeżdżający do Polski.

ORCHARD LAKE, w niewielkiej odległości od Detroit, jest znane jako miejscowość w której znajduje się SEMINARIUM POLSKIE dla kształcenia księży.

17. Dużo takiego narzekania jest w parafiach polonijnych w diecezji Hartford; niektórzy księża zrazili się do polskich proboszczów i do częstego „kołtuństwa” w polskich parafiach i wolą pracować po biurach różnych agencji diecezjalnych w kulturalnym otoczeniu.

Faktycznie są tam czynne jeszcze dwie inne szkoły: średnia, czyli High School oraz College, czyli szkoła na poziomie uniwersyteckim. Szkoła średnia jest prawie przepełniona, nie można tego powiedzieć o seminarium, chociaż jest poprawa. Na brak kandydatów do kapłaństwa skarżą się wszyscy biskupi, a więc nasze nie jest żadnym wyjątkiem. W przeszłości było o tyle gorzej, że jak już na innym miejscu wspomniałem, biskupi woleli mieć księży polskiego pochodzenia kształconych w seminariach amerykańskich.

Orchard Lake zostało w ub. roku zreorganizowane, każda z trzech szkół otrzymała osobnego dyrektora, a naczelny dyrektor otrzymał tytuł *kanclerza*. Jest nim obecnie ks. Stanisław Milewski.

„Zakłady naukowe Polonii Amerykańskiej” — bo taka jest nowa nazwa całego konglomeratu, wydaje miesięcznik SODALIS POLONIA, przeznaczony dla byłych wychowanków, duchowieństwa oraz inteligencji katolickiej. Utrzymują one bliski kontakt z episkopatem polskim w Kraju a przede wszystkim z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim.

Zakłady cieszą się ofiarnym poparciem wychowanków, niedawno jeden z nich, inżynier, ufundował ultranowoczesny budynek sportowy kosztem przeszło miliona dolarów. Biblioteka mieści bogate zbiory prasy i książek odnoszących się do dziejów Polonii. Wspomniany na innym miejscu VI tom „Sacrum Poloniae Millennium” zawiera historię pierwszych dziesiątków lat tego zakładu.

Czynni są w Ameryce polscy i polonijni zakonnicy.

Najlepiej znani są obecnie chyba *paulini* dzięki Amerykańskiej Częstochowie czyli miejscu pielgrzymkowemu założonemu przez o. Michała Zembrzuskiego.

Szeroko znani są *franciszkanie* „brunatni” czyli po naszymu bernardyni. W Pulaski, w stanie Wisconsin, posiadają obszerny klasztor z drukarnią, wydają tam popularny „Miesięcznik Franciszkański” ciesząc się jeszcze nakładem przekraczającym 15 tysięcy egzemplarzy. Są ponadto czynni jako „misjonarze ludowi”, kierują niektórymi parafiami.

Do franciszkanów, ale „czarnych” czyli „konwentalnych”, należy szeroko znany o. *Kornelian Dende*, dyrektor apostolatu radiowego, nadawanego z blisko 50 stacyj w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Była o tym programie mowa w *Kulturze* w ubiegłym roku.

Jezuici pracują przede wszystkim w Chicago, wydają miesięcznik pt. *Postaniec Serca Jezusowego*, a ostatnio zapoczątkowali też program radiowy, na razie tylko w Chicago. Głoszą misje parafialne i rekolekcje.

Misjonarze św. *Wincentego a Paulo* kierują kilkoma parafiami i wyjeżdżają do pomocy po parafiach, czasem jeszcze głoszą misje i rekolekcje. Młodszy wywodzą się przeważnie z Ameryki. Prowadzą nadal szkołę średnią, dziś już zamerykanizowaną, w Erie, w stanie Pennsylvania, ale swą kwaterę główną przenieśli do Hart-

ford w stanie Connecticut, od roku 1975 stanowią niezależną od Krakowa grupę czyli prowincję.

Czynni są też polscy *saletyni*, *salwatorianie*, *marianie* a od kilkunastu lat księża należący do specjalnie dla opieki nad emigrantami założonego „*Towarzystwa Chrystusowego*”. Oni to zapoczątkowali nową formę duszpasterstwa: w miejsce parafii lokalnej dla jednego miasta czy nawet jednej dzielnicy, organizują duszpasterstwo obejmujące z jednego ośrodka całą diecezję (Los Angeles, San Francisco, Washington).

Uwagi powyższe nie wyczerpują oczywiście tematu jakim jest obecny stan duszpasterstwa i całej katolickiej Polonii. Na to trzeba by obszernej książki, a na jej opracowanie trzeba poczekać, aż się ukażą badawcze monografie o zasadniczych zagadnieniach.

Rzecz ciekawa, że właśnie parafie polonijne nie doczekały się należytego opracowania ani historycznego ani socjologicznego: stwierdzają to Irwin T. Sanders i Ewa Morawska, autorowie pracy pod tytułem POLISH AMERICAN COMMUNITY LIFE. Praca ta (1975) jest omówieniem dotychczasowych badań socjologicznych na tematy polonijne.

Mało jest książek omawiających dzieje Polonii. Uznana dziś jako klasyczna „HISTORIA POLSKA W AMERYCE” ks. W. Kruski ukazała się prawie 70 lat temu, Szawleski napisał cenne „Wychodźstwo Polskie” w roku 1924, Wachtl wydał „Polonię w Ameryce” w roku 1944, a Haiman omówił w swej księdze na 75-lecie Zjednoczenia Pol.Rz.Katolickiego właściwe dzieje całej Polonii do roku 1948. Później ukazały się trzy prace J. A. Wytrwała, czyli trzy różne opracowania dziejów Polonii na tle stosunków amerykańskich, ale już po angielsku.

Zdaje się, że pracę nad dziejami Polonii przejmuje teraz Kraj, żeby wymienić Andrzeja Brożka „POLONIA AMERYKAŃSKA 1854-1939”, z roku 1977.

Podaje bogatą bibliografię prac tak w języku polskim jak i angielskim.

Polonia rozwijała się w specyficznych warunkach amerykańskich i to początkowo w czasie, kiedy Polacy w Kraju żyli pod rządami trzech zaborców, a więc w trzech odmiennych ustrojach jeżeli nie politycznych (bo były to wszystko monarchie), to gospodarczych. Polonia Amerykańska rozwijała się w środowisku demokratycznym, kapitalistycznym, w społeczeństwie narodowościowo i wyznaniowo mieszanym, z silną przewagą tak zwanych *Białych Anglo-saksońskich Protestantów* (White Anglo-Saxon Pro-

testants — WASP), przez całe dziesiątki lat patrzących z góry na Słowian i katolików.

Mało kto u nas wie, że niezrozumiałe dla wielu ultra-amerykańskie stanowisko biskupów irlandzkiego pochodzenia było wynikiem starań o nadanie tu katolicyzmowi „amerykańskiego oblicza” w odpowiedzi na nieustanne zarzuty „WASP-ów” że katolicy nie są i nie mogą być lojalnymi obywatelami demokratycznej republiki amerykańskiej.

Zarzuty te powtarzano a nawet powtarzają jeszcze dzisiaj. W jaskrawy sposób okazały się w roku 1927, kiedy katolik Al Smith ubiegał się o stanowisko prezydenta. Pierwszym i jedynym prezydentem katolickim był John F. Kennedy.

Od tego czasu dużo się zmieniło. Ale nie wszystko.

Jak się do istniejących parafii polonijnych ustosunkowują nowsi i najnowsi emigranci?

Dużo się o tym mówi po kątach, niestety nie znalazłem nigdzie naukowej socjologicznej pracy na ten dość skomplikowany i dość różniczkowany temat.

Jest on różniczkowany, bo nie jedna była fala tej nowej emigracji i nie na jednakowe warunki tu natrafiali. Jedni znaleźli się w zasięgu parafii rozwijających się mniej więcej spokojnie i normalnie, inni trafili w sam wir urbanizacyjnych i gospodarczych przemian. Temat jest skomplikowany, bo wchodzi tu w grę zagadnienia związane z poglądami imigrantów na tle narodowościowym, politycznym, społecznym nie mówiąc już o całym wachlarzu nastawień wobec spraw i zagadnień religijnych, wywołanych w kołach katolickich tak zwanymi przemianami posoborowymi.

Ograniczę się tu do kilku spraw elementarnych.

Trudno powiedzieć, czy większość czy pokaźna liczba nowszych imigrantów włączyła się w nurt działalności parafialnych. W książce (zbiorowej) „The Roman Catholicism and the American Way of Life” pisał kilkanaście lat temu biskup Alojzy Wyciśło, że ich wpływ na życie niektórych przynajmniej parafii był pozytywny, jedna z zamierających parafii polonijnych w New Jersey odżyła, gdy się w niej osiedliło 1.500 nowych imigrantów. Zapewne podobnie było w innych miejscowościach.

Ale jest faktem nie dającym się zaprzeczyć, że pewna liczba nowych imigrantów stroni od polskich parafii. Osiedlają w pierwszych lepszych dzielnicach tutejszych miast i włączają się w nurt życia najbliższych parafii *amerykańskich*, tam chodzą do kościoła i tam posyłają swe dzieci do szkoły. Od większych świąt zajądzą do polskiego kościoła i wracają zachwyceni kołędami i pieśniami wielkanocnymi, ale na tym koniec.

Inni chodzą luzem. Nie stają się parafianami ani tu ani tam. Parafie w Ameryce, polskie czy nie polskie, różnią się od europejskich tym, że są w całości utrzymywane przez swych

członków, podczas gdy w Europie po prostu „są”, istnieją, od wieków. Czy kto chce czy nie chce jakoś do nich przynależy, chyba że zerwał z religią.

Do polonijnych parafii należy nie ten, kto się osiedlił nawet tuż obok kościoła, ale ten, kto się do wspólnoty parafialnej *formalnie* zapisał. Jednym z pierwszych pytań, jakie każdy może usłyszeć od proboszcza gdy się do niego w jakiegokolwiek sprawie zwraca, może być: *czy należysz do tej parafii?* Nie jest to takie dziwne, bo nawet polskich parafii jest w niektórych miastach sporo i jedna niedaleko od drugiej, a ponadto każdy może należeć do parafii amerykańskiej, czyli „terytorialnej”. Niestety nowo-przybyli o tym nie wiedzą (a może czasem nie chcą wiedzieć) i choć nawet się w jakimś polskim kościele pokazują, to żadnego czynnie nie popierają ani swoją działalnością ani materialnie.

Kościoły w Ameryce są zwykle pięknie utrzymane, czyste, z wygodnymi ławkami, dobrze oświetlone i w zimie ogrzewane a nieraz w lecie chłodzone. To oczywiście kosztuje o wiele więcej niż samo „istnienie” wiejskich kościółków w Polsce. Kosztuje więcej, jeżeli przy kościele jest czynna szkoła. O tym jest mowa na innym miejscu.

Proboszczowie przeważnie ubolewają, że ciężar utrzymania tego wszystkiego spada na barki starszych parafian, a nowsi nawet po latach pobytu w Ameryce i przy dobrych zarobkach nie chcą się do utrzymania parafii przyczynić. Podczas gdy starsza generacja uważa sobie (przeważnie) za honor uiszczać opłaty szkolne i brać udział w imprezach mogących przynieść dodatkowy dochód, wielu z nowszych chce i z kościoła i ze szkoły tylko korzystać i to nieraz z nadzwyczajnymi wymaganiami. W pewnym mieście średniej wielkości jest, zdaniem niektórych księży, ponad trzy tysiące nowszych imigrantów, nie należących do żadnej miejscowej parafii polonijnej. Nie tylko proboszczom się to nie podoba, ale i starszym parafianom.

Dochody parafii pochodzą przede wszystkim ze składek niedzielnych. Zbiera się je w czasie Mszy i to przeważnie aż dwa razy: pierwsza składka (nazywana tu z łacińskiego i z angielskiego „kolektą”) idzie na cele ogólne, podczas gdy druga, zbierana pod koniec Mszy, jest przeznaczana na misję, na instytucje dobroczynne, parafialne lub diecezjalne, na odnawianie budynków, czasem na instalację nowego systemu centralnego ogrzewania lub klimatyzacji.

Wyniki zbiorów są zwykle podawane w biuletynie w następną niedzielę, a ponadto podsumowywane pod koniec roku. Idą rocznie w dziesiątki i setki tysięcy dolarów, oczywiście zależy to od liczby parafian oraz parafialnych instytucji. Utrzymanie szkoły ośmioklasowej liczącej 800 dzieci przekracza zwykle sumę 250.000 dolarów, a inflacja (opał, oświetlenie, konserwacja budynków) spędza sen z oczu nie jednemu proboszczowi.

System parafialny i szkolny, stworzony przed pierwszą wojną światową i z trudem podtrzymywany później, był zdaje się zjawiskiem niepowtarzalnym, wysiłkiem ponad siły, wynikiem czyn-

ników uczuciowych, które już bezpowrotnie zanikły. Posyłanie dzieci do szkół publicznych amerykańskich było w owych czasach piętnowane jako grzech i księży — tak polscy jak i amerykańscy — odmawiali rozgrzeszenia rodzicom, którzy tak postępowali. Gros parafian wywierało na takich silną presję społeczną. Dziś o takim nastawieniu nie może być mowy. Szkoły publiczne nie uczą nadal żadnej religii, ale jej — przynajmniej katolickiej — nie zwalczają, jak to było dawniej, a więc i opozycja na tym polu osłabła. Dla wielu naszych szkół parafialne są teraz miejscem ucieczki przed dziećmi kolorowymi, a jeżeli nie rasizm tu gra rolę, to chodzi rodzicom o lepsze wychowanie i jaki taki porządek w szkole. Szkoły publiczne w miastach stały się miejscem spotkania dla młodocianych przestępców, narkomanów, zboczeńców, a ultraliberalne prawa nie pozwolą nawet osobnej milicji szkolnej interweniować, wyjąwszy jawnie popełniane gwałty, a i wtedy trzeba się z delikwentami obchodzić delikatnie. Oczywiście większość takiej młodzieży w Nowym Jorku to kolorowi różnych odcieni. Nawet ci kolorowi rodzice wolą szkoły prywatne — niekoniecznie katolickie parafialne — niż publiczne. Różnica zasadnicza jest taka, że ze szkoły prywatnej dyrekcja może usunąć każdego szkodnika i burzyciela porządku, podczas gdy ze szkoły publicznej nie wolno usunąć nikogo, poza przestępcami wydawanymi przez policję sądom dla nieletnich.

Niestety szkoły prywatne są „prywatne” i trzeba łożyć na ich utrzymanie, a nawet ci rodzice, którym niby zależy na lepszym wychowaniu dzieci albo są zbyt biedni albo umyślowo tak nastawieni, że na szkoły łożyć nie chcą. Taka już ich mentalność. Podobna jest mentalność Polaków przybywających z Kraju: chcą tu korzystać z dobrodziejstw kapitalizmu i zbijać dolary, ale myślą, że tu rząd powinien utrzymywać wszystko podobnie jak to robi w Kraju.

Ponieważ starzy parafianie wymierają, młodych jest mniej, a najnowsi nie palą się do czynnego popierania parafii, więc przyszłość tych placówek nie zapowiada się — z małymi wyjątkami — zbyt różowo.

X. W. S.

Wystawa ruchu dysydenckiego w Londynie

W końcu stycznia bież. roku, dokładnie ostatniego dnia tego miesiąca otwarto w siedzibie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kul-

turalnego w Londynie wystawę poświęconą ruchowi dysydenckiemu w kraju. Wystawę zorganizowało Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich w Wielkiej Brytanii, udzielając — po pierwsze — środków na przetransportowanie eksponatów z Wenecji, gdzie prezentowano je podczas międzynarodowego Biennale, którego przedmiotem były problemy walki o prawa człowieka w Europie Wschodniej oraz sytuacja środowisk opozycyjnych w tych krajach, a po drugie — urządzając samą ekspozycję. Do materiałów, jakie złożyły się na wystawę, należały głównie dokumenty Komitetu Obrony Robotników (oryginały komunikatów i oświadczeń, fotografie założycieli i członków), następnie materiały ilustrujące rolę Kościoła w ruchu demokratycznym (fragmenty kazań Prymasa, zdjęcia z głodówki w kościele św. Marcina w Warszawie oraz z pielgrzymki na Jasną Górę, informacje o działalności Klubu Inteligencji Katolickiej), wreszcie egzemplarze pierwszych niezależnych pism społecznych i literackich, jakie zaczęły się w Polsce ukazywać (oczywiście nakładem tzw. „małej poligrafii”, czyli w wydaniu maszynopisowym lub powielaczowym). Można więc było obejrzeć pierwsze numery *Biuletynu Informacyjnego*, *Głosu* i *Opinii* (wydawanej przez Ruch Obrony Praw Człowieka); można było zobaczyć pierwsze numery wydawanego poza cenzurą czasopisma literackiego *Zapis* oraz zdjęcia, przedstawiające jego czołowych autorów. Wśród eksponatów znajdowała się również taśma magnetofonowa z nagraniem piosenek Marka Kelusa, jednego z „podziemnych” autorów śpiewanych tekstów satyrycznych.

Wystawę przygotowano bardzo starannie i pomysłowo. Do sali, w której się mieściła, wchodziło się przez małe i wąskie korytarzyk całkowicie obwieszony współczesnymi plakatami propagandowymi i fotografiami przedstawiającymi najróżniejsze i najbardziej typowe sceny oficjalnego życia społeczno-politycznego w kraju. Zdjęcia te nie były robione ani dobierane w sposób tendencyjny. Pochodziły one z oficjalnych polskich archiwów, częstokroć sygnowane były przez Centralną Agencję Fotograficzną (tzw. CAF) i można je było swego czasu spotkać na łamach polskiej prasy lub w rozmaitych gablotach zakładowych lub uczelnianych. Cała ta olbrzymia mozaika scen, sytuacji i twarzy nie opatrzona była żadnym komentarzem. A jednak nawet dla odbiorcy postronnego, nie obeznanego zbyt ze współczesnymi realiami życia codziennego PRL, wrażenie było uderzające i jednoznaczne: z fotografii promieniował klimat totalnego zakłamania, uniformizacji, nudy i sztuczności. Portretowani ludzie uderzająco do siebie podobni. Ich twarze bezmyślne, nalane i opuchłe. Bez piętna własnej osobowości. Prezentowane sytuacje — jakby wciąż odgrywany był ten sam rytuał: stół prezydencki, przemawiający mówca, znużone twarze słuchaczy: albo pochód i nieprawdziwy, wymuszony lub głupi po prostu entuzjazm na obliczach maszerujących. Na ścianach pomieszczeń, gdzie odbywają się nieustające zebrania, lub na budynkach, które nigdy nie są tłem przypadkowym dla pochodu lub grupy pracującej

w czynie partyjnym, wszędzie transparenty i hasła. Hasła głośne, krzykliwe, a zarazem skostniałe, martwe, nic, właściwie już nie mówiące. W sumie kolekcja oficjalnych fotografii — wbrew temu, co miały wyrażać, wbrew intencjom ich autorów i mocodawców — ujawniała smutną prawdę o życiu społeczno-politycznym kraju. Dla widza postronnego robiła ona wręcz wrażenie parodii, kpiny lub złośliwego szyderstwa.

Z tego ciasnego i przytłaczającego nadmiarem czerwieni i wizualnego krzyku przedsionka przechodziło się do sali, gdzie znajdowała się właściwa ekspozycja. W sali tej panował zupełnie inny nastrój. Było przestronnie (mimo że pomieszczenie niewielkie), sterylne, dominował kolor biały. Zasadniczym znakiem, jaki tu przemawiał, było Słowo; słowo żywe, słowo, które pragnęło uchwycić i opisać prawdę. Czuło się tu atmosferę autentyczności: amatorskie fotografie z prywatnych mieszkań, ukazujące dyskusyjne spotkania członków i współpracowników KOR-u, niewyraźne niekiedy strony Komunikatów, odbite na powielaczu — wszystko to, mimo pozornego ubóstwa, promieniowało siłą i autentycznością przeżycia, poruszało wewnętrzną prawdą, budziło szacunek i wzruszenie.

Tak pomyślany układ wystawy (przedsionek, a następnie sala właściwa) był wyraźnym zastosowaniem, czy też wizualnym przetworzeniem przewodniej i tytułowej myśli słynnego już dziś artykułu Stanisława Barańczaka *Fasada i tyły*, przygotowanego na Biennale w Wenecji. Z tego artykułu wystawa zaczerpnęła właśnie swoją ideę i nazwę. Fasada i tyły, czyli rzeczywistość preparowana na pokaz, monumentalna, ale fałszywa i sztuczna, i to, co się za nią kryje, kruche i niepozorne, ale za to prawdziwe. Przedsionek, oblepiony krzykliwymi plakatami i zdjęciami z niezliczonych akademii, zebrani, i pochodów to symbol „fasady” (fasady, która zarazem osacza i dusi). Niewielka salka zaś z dokumentami KOR-owskimi i materiałami niezależnej myśli to z kolei odpowiednik „tyłów” (tyłów, gdzie choć ubogo i po amatorsku, jest jednak przestronnie i czysto).

Na otwarcie wystawy przybyła z Paryża Halina Mikołajska (członek KOR-u), i wraz z Pawłem Bąkowskim (współpracownikiem KOR-u), który wystawę przywiózł z Wenecji i walczył o pomoc w jej przygotowaniu, wzięła udział w konferencji prasowej, jaka odbyła się w sali malinowej POSK-u. W konferencji tej wzięli także udział: naczelny redaktor wydawnictwa *Index on Censorship* (gdzie wydawany jest *Zapis*) oraz działacze środowisk i towarzystw emigracyjnych w Londynie. Uczestnicy konferencji wygłosili krótkie oświadczenia, dotyczące różnych aspektów ruchu opozycyjnego w kraju. Mike Scammel mówił więc o założeniach i celach, jakie przyświecają wydawnictwu *Index on Censorship*, Halina Mikołajska scharakteryzowała motywy i metody działalności KOR-u, Paweł Bąkowski omówił sytuację w ruchu młodzieżowym i studenckim, zaś gospodarze, czyli dzia-

łącze emigracji londyńskiej, wypowiedzieli się na temat możliwości i form pomocy, jaką emigracja londyńska gotowa jest nieść krajowym dysyidentom. Następnie uczestnicy odpowiadali na pytania dziennikarzy. Na otwarciu wystawy obecni byli filmowcy telewizyjni. Reportaż z otwarcia nadany został już następnego dnia w telewizji austriackiej i włoskiej.

Wieczorem tego samego dnia i w tej samej sali odbyło się spotkanie dyskusyjne „Kontynentów”, z udziałem już tylko Haliny Mikołajskiej i Pawła Bąkowskiego. Na spotkanie przybyły liczne rzesze londyńskich środowisk emigracyjnych (około 300 osób). Przedstawiciele krajowej opozycji opowiadali o warunkach pracy i walki KOR-u, o powodach, z jakich powstał, i celach, jakie przed sobą stawia. Mówiono więc przede wszystkim o wartościach natury moralnej i programie moralnej odnowy, jaka winna stać się udziałem ludzi żyjących w Polsce. Zdaniem Mikołajskiej i Bąkowskiego początek przemian społeczno-politycznych w kraju tkwi w moralnym odrodzeniu się poszczególnych jednostek, w tym, iż zaczną one rozpoznawać zjawiska społeczne w ich prawdziwych, a nie zdeformowanych przez propagandę kształtach, że zaczną po imieniu nazywać krzywdę, zło i fałsz, a uwalniając się stopniowo od lęku przed widmem wszechmocnej władzy i mając do wyboru spokój i wygodę — ale za cenę zakłamania i pogłębiającego się kompromisu, oraz życie w godności — choć za cenę kłopotów, wynikających z potyczek z władzą, zaczną wybierać to drugie. Spotkanie trwało prawie trzy godziny, dyskusja była ożywiona, a choć zdarzały się pytania niezbyt mądre, czy zgoła prowokacyjne, w sumie rzecz wypadła korzystnie i cel został chyba osiągnięty. Emigracja londyńska otrzymała solidny zastrzyk wiedzy o nowych zjawiskach społecznych w kraju, zrozumiała skomplikowane niejednokrotnie mechanizmy, jakie działają w Polsce w relacji opozycja-władza, pojęła wreszcie, że w obliczu tej nowej zupełnie sytuacji, jaka trwa i rozwija się od mniej więcej roku, otwiera się przed nią nowe pole współpracy i kontaktu. Konkretnym dowodem na powstawanie tej nowej świadomości był niezwykle ofiarny udział w urządzaniu wystawy londyńskiej młodzieży emigracyjnej.

Obecnie, po krótkiej prezentacji w Manchesterze, wystawa poleciała za ocean, do Stanów Zjednoczonych. Miejmy nadzieję, że i tam odniesie sukcesy i spełni swoją misję: szerzenia wiedzy o polskim ruchu opozycyjnym i wyjaśniania złożonych zjawisk społecznych w ustroju komunistycznym. Jej solidne zaplecze (dobry wybór materiałów, który — *nota-bene* — stale powiększa się w miarę narastania wypadków) oraz jej dwujęzyczność (wszystkie eksponowane teksty przetłumaczone są na angielski) rokuja jej powodzenie i skuteczność w oddziaływaniu.

Andrzej ROLICZ

Enigma pozostaje enigmą

Artykuł mój „Fundacja enigma” w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* z ub. roku o „Rzymskiej Fundacji im. Janiny Umiastowskiej” spowodował i echa prasowe (*Polska w Europie*, *Tydzień Polski*) i listy do redakcji z Florencji, Mediolanu, Waszyngtonu, Toronto, Montrealu, Prince Albert. Ale strona, która we własnym interesie winna być najbardziej zainteresowana w odpowiedzi na moje konkretne pytania zamiast wypowiedzieć się w meritum sprawy, wolała nadesłać do druku list adw. I. Cattaneo, list, który absolutnie niczego nie wyjaśnia. Niewątpliwie i brak reakcji jest już formą odpowiedzi i to wymowną. Czyżby Fundacja użyła takiej metody celem zastraszenia Redakcji i mnie, jako autora korespondencji o sytuacji w tej instytucji?...

Przesyłając list adwokata — zarząd Fundacji znowu uniknął podania swego składu. „Obserwator(ka)” *Tygodnia Polskiego* omyliła się w jednym miejscu. Ja pisałem, że zarząd Fundacji składa się z trzech Polaków i dwóch Włochów, w *Tygodniu* wyszło odwrotnie. Włoskie nazwiska już zostały podane, Polacy to panowie: Emeryk Hutten-Czapski, Stanisław August Morawski i Stanisław Piekut. Chyba tak? I to można sprostować, jeżeli jest inaczej.

List do redakcji *Kultury* adw. Cattaneo wskazał mi drogę: podał, że Fundacja jest „nadzorowana obecnie przez Ministero dei Beni Culturali”. Skorzystałem z tej wskazówki, udałem się do „Ufficio Centrale per i Beni Librari e gli Istituti Culturali” w „Ministero per i Beni Culturali e Ambientali” przy Piazza Marconi 25 w Rzymie. Odpowiedzialny za fundację urzędnik dosłownie mi oświadczył, że „Fundacja Janiny Umiastowskiej” od lat nie ma kontaktu z ministerstwem.

Niestety w zaistniałej sytuacji sam muszę dać odpowiedź na niektóre moje własne pytania, postawione w artykule „Fundacja enigma”.

I tak:

Apartament — własność Fundacji — przy Via Piemonte 117 w Rzymie istnieje. Zakupił go jeszcze prof. Edmund Lelesz. Apartament, składający się z trzech pokoiów, łazienki i kuchni stoi przez cały czas pusty. Nikt w nim nie mieszka. Oficjalnie ma to być siedziba zarządu Fundacji. Odbywają się tu zebrania tego zarządu „raz na rok”, jak informują portier domu i sąsiedzi. U portiera pozostawiono kartkę z taką informacją: „W sprawach fundacyjnych należy się zwracać do p. Broża, tel. 5806117, w godzinach rannych, między 8-mą a 9-tą”. Praktycznie więc przyjeżdżający z Polski stypendyści (ilu? kto? zasada doboru? — ponawiam pytania) muszą nie wiadomo gdzie czekać do następnego dnia, bo pociągi i samoloty z Warszawy przybywają później. A w dodatku ani w Rzymie, ani we Frascati Fundacja nie figuruje w książce telefonicznej. Telefon p. Broża — to numer hospicjum Kawalerów Maltańskich, bo p. Broż z ramienia Prezesa Fundacji administruje tym Hospicjum. Za protekcją Fundacji czy Hospicjum uzyskał on paszport konsularny PRL.

Willa „Quo vadis” we Frascati stała się czynszową, jest podnajęta trzem rodzinom włoskim. Trawertynowy szylt Fundacji został wstydliwie zaklejony papierem. Na bramie figurują tylko tabliczki z nazwiskami włoskimi.

Niezrozumiałe jest milczenie zarządu Fundacji, bo jej rozkład zaczął

się przecież przed jego kadencją. Z braku wszelkiej sprawozdawczości nie wiadomo, ile ta kadencja trwa i ile jeszcze może trwać.

Zesłizg ideowy „Rzymskiej Fundacji im. Janiny Umiaostowskiej” zaczął się bardzo dawno. Jeszcze za czasów prof. Lelesza. W 1955 roku, a więc z górą 22 lata temu ujawniłem w biuletynie „Kombatant”, wydawanym w Rzymie przez tutejsze SPK, fakt stałych wizyt w Fundacji ówczesnego ambasadora PRL Jana Druto (Jonas Kiejstutis Drutas, burmistrz z pierwszego okresu sowietyzacji Wilna) i Tadeusza Brezy, ówczesnego radcy kulturalnego tejże ambasady. Fundacja nie zareagowała. Kierownictwo fundacji zmieniało się, ale zainteresowanie nią czynników reżymowych nie malało.

Oto jeszcze jeden dowód:

Gdy ze śmiercią Anieli Przeździeckiej wakowało miejsce prezesa fundacji, do znanego pisarza polskiego, mieszkającego we Włoszech, zgłosił się przybyły z Warszawy jakiś osobnik anonimowy z nieanonimowej instytucji i — piszę w dużym skrócie i własnymi słowami — przedstawił mu taką propozycję: jest pan świetnym pisarzem, doskonale pan pisze, ale po co panu polityka? Rzuć pan politykę, zajmij się pan tylko pisanem i prowadzeniem tej fundacji, dostanie pan dobrą pensję...

Wkrótce fundację objął ks. prałat Edmund Uliński. Nikt nie wie, czy zarządzał on fundacją sam, czy też był jakiś zarząd zbiorowy. Była tylko liczna grupa korzystających z przesadnej gościnności, najczęściej bezpodstawnie. Nie znam przykładu, aby „stypendyści” z tego okresu coś z siebie dziś dawali dla społeczności polskiej.

Po wyjeździe ks. Ulińskiego do Kanady przeszedł, w sposób nieznan, dzisiejszy zarząd, właśnie ten tak dyskretnie milczący na temat swojego działania.

Demagogią jest twierdzenie tego zarządu fundacji, że „jest to instytucja włoska, nie polska, bo zarejestrowana według prawa włoskiego”. Przy zastosowaniu takiej interpretacji POSK byłby brytyjski, Biblioteka Polska w Paryżu — francuska, a różne instytucje i fundacje polskie w USA — amerykańskie, bo są rejestrowane według prawa miejscowego.

Polska opinia publiczna domaga się jawności działania polskich instytucji i w ogromnej większości działają one rzeczywiście jawnie. Zupełnie inaczej jest w Rzymie.

To zupełne nieliczenie się z opinią publiczną w sprawach dobra publicznego, to gospodarowanie w cieniu tajemniczości, ten brak informacji i sprawozdań, to już zaistniałe zaprzepaszczenie zbiorów Fundacji, no i to budowanie „pomostu” w kierunku PRL są jak najbardziej niepokojące. Milczeniem tego wszystkiego pokryć nie można.

Enigma musi przestać być enigmą.

Witold ZAHORSKI

Kronika kulturalna

Dmytro Czyżewski

Ze śmiercią Dmytra Czyżewskiego zeszedł ze sceny jeden z najwybitniejszych sławistów ostatniego trzydziestolecia, długoletni „papież” slawistyki niemieckiej, ostatni jej polihistor i jeden z ostatnich przedstawicieli liberalnej inteligencji dawnego imperium rosyjskiego. Zaczniemy od slawistyki. Już sama liczba przeszło 900 publikacji jest imponująca. W młodości należał do słynnego *Cercle linguistique de Prague*, wyniósł stamtąd przyjaźń z innym wielkim sławistą, Romanem Jakobsonem oraz zainteresowanie sprawami formy i formalizmu, pogłębione zapewne przez studia matematyki i astronomii. Toteż był jednym z niewielu literaturoznawców, a prawdę mówiąc i językoznawców, swego pokolenia, którzy mogli dotrzymać kroku rozwojowi współczesnej lingwistyki: jeszcze pod koniec życia zdarzało mu się zachwycać na przykład najnowszymi publikacjami z lingwistyki strukturalnej lub z teorii mnogości, które dla wielu młodszych od niego były księgą zamkniętą na siedem pieczęci. Zajmował się z początku prawie wyłącznie historią filozofii, co prawda szczególnie w krajach słowiańskich, stąd między innymi ogłoszona w roku 1939 i do dziś niezastąpiona książka *Hegel w Rosji*, ale też wieloma innymi dziedzinami historii kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Jednakże głównym ośrodkiem jego zainteresowań była historia literatury. Zaczął bodaj od literatury staroruskiej, w której widziano wówczas temat albo dla autorów gramatyk porównawczych albo też dla osób zajmujących się historią średniowiecza; nic dziwnego zresztą, skoro literatura staroruska, podobnie jak i polska literatura średniowieczna, składa się poza kronikami przeważnie z przekładów (toteż i polską literaturą średniowieczną od strony ściśle literackiej zaczęto się zajmować bardzo nie-

dawno). *Historia literatury staroruskiej* (Frankfurt, 1948), ogłoszona po niemiecku, która stała się w międzyczasie klasykiem, poświęca sporo miejsca aspektom czysto literackim owych dzieł, to jest sprawom formy. Okazało się, że autorami ich nie byli ciemni, nieokrzesani mnisi, jak to sobie chętnie wyobrażał w swej zarozumiałości wiek dziewiętnasty, lecz że autorzy ci posiadali dzięki Grekom znajomość literatury antycznej, a szczególnie retoryki i poetyki i że według nich kształtowali swoje teksty. Warto może przypomnieć, że słynna książka Ernsta Roberta Curtiusa „*Literatura europejska i średniowieczna łacińska*”, od której zaczęło się szersze zainteresowanie dziedzictwem literackim średniowiecznej a przez nią i starożytnej retoryki i poetyki na Zachodzie, ukazała się również w roku 1948, w Szwajcarii. Czyżewski był tu więc pionierem na równi z Curtiusiem, mimo że nie stworzył podobnej syntezy dla całego prawosławnego słowiańskiego Średniowiecza. Lecz prawdę mówiąc postulat stworzenia czegoś w rodzaju porównawczej historii literatur cerkiewno-słowiańskich — w języku tym pisali obok Ukraińców, Białorusinów i Rosjan również Słowianie południowi i Rumuni — wysunął dopiero niedawno sławista amerykański Henrik Birnbaum. Czyżewski był w każdym razie jedynym znanym mi człowiekiem, który potrafił mówić o „roku trzydziestym siódmym” mając na myśli nie rok 1937 czy ostatecznie 1837 (tak jak mówimy o roku trzydziestym pierwszym lub sześćdziesiątym trzecim), lecz rok 1037, w którym czuł się równie w domu jak w dniu dzisiejszym.

Oprócz literatury staroruskiej Czyżewskiego pociągały dwa główne tematy. Jak przystało na „formalistę” zajmował się z jednej strony literaturą barokową — polską, czeską, ukraińską — z drugiej poezją rosyjską końca XIX i początku XX wieku, a więc symbolistami, futurystami i innymi istami. Oprócz własnych publikacji natchnął tu szereg uczniów, którym zawdzięczamy prace o Majakowskim, Biełym, Błoku i innych. Zajmował się ponadto rosyjską prozą dziewiętnastego wieku, szczególnie Gogolem, który go interesował oczywiście jako formalistę, lecz także Dostojewskim i Tołstojem (choć „*Wojnę i pokój*” uważał za złą literaturę), oraz wieloma innymi rzeczami nie wyłączając gastronomii, kynologii i demonologii.

Jego fantastyczna znajomość literatury niemieckiej, wraz z nieznaną zupełnie szerszemu ogółowi literaturą siedemnastowieczną, oraz znakomita orientacja w publikacjach na temat literatury barokowej, w tym nawet francuskiej i hiszpańskiej, pozwalała mu na wciąż nowe odkrycia w slawistyce, jako że nikt inny nie mógł się poszczycić tak szerokimi horyzontami, taką erudycją i tak fenomenalną pamięcią. Czyżewski był też chyba pierwszym,

który odkrył różne skomplikowane zjawiska stylistyczne w poezji polskiej (ale też czeskiej, rosyjskiej i ukraińskiej) XVII i XVIII wieku. On też pierwszy proponował zaliczanie do baroku, a nie jak dotąd do klasycyzmu, pewnych autorów i zjawisk w poezji rosyjskiej wieku osiemnastego (w ZSSR barok był i częściowo jest ciągle jeszcze potępiany, jako zjawisko „kosmopolityczne” i „jezuickie”). Nie chodzi tu oczywiście o samą tylko klasyfikację, lecz o połączone z tym absolutnie inne spojrzenie na te same sprawy.

Czyżewski nieraz powtarzał, we właściwej mu formie wiedeńskiego dowcipu, stare powiedzenie, że historia literatury polega na tym, że jeden historyk odpisuje od drugiego. Jego własne prace, czy to wspomniana już historia literatury staroruskiej czy też inne, o których jeszcze będzie mowa, odznaczają się tym, że autor wszystkie dzieła, o których pisze, przeczytał i że żadne nie było mu obojętne. Śmierć zaskoczyła go w trakcie pisania ostatniej części „*Historii literatury rosyjskiej w wieku dziewiętnastym*”. Kilka miesięcy przedtem mówił jednemu z uczniów, że nie może jej skończyć, dopóki nie przeczyta, to znaczy odczyta ponownie, jeszcze trzech ostatnich pisarzy. O tym, co uważał za znajdujące się poniżej literatury, nie pisał w ogóle, jak na przykład o socjalrealizmie, który zasadniczo traktował *per non est* (wyjątkowo tylko, gdy Szołochow otrzymał nagrodę Nobla, napisał Czyżewski na prośbę redakcji kwartalnika uniwersyteckiego artykuł zaczynający się mniej więcej w ten sposób: pierwszy chirurg, który w XIX-tym wieku przeprowadził udaną operację wyrostka robaczkowego, zasłużył niewątpliwie na nagrodę Nobla, ale czy należy ją dawać każdemu, kto operacji tej dokonuje dzisiaj?).

Osobnym polem zainteresowań uczonego była emblematyka, dziedzina chyba już od osiemnastego wieku zaniedbana, ba zapomniana. Próżno by szukać o niej wskazówek we współczesnych lub starszych encyklopediach lub historiach literatury, wraz z Wielką Encyklopedią PWN (dopiero w znakomitej historii literatury polskiej, *Barok*, Czesława Hernasa z roku 1973 jest o niej więcej w związku z Z. Morsztynem). Emblematyka była jednak bardzo ważną dziedziną w okresie Renesansu i Baroku, zrozumienie wielu zjawisk literackich i nie tylko literackich owego okresu jest bez jej znajomości utrudnione lub zgoła niemożliwe. Była ona też wcale rozpowszechniona w Polsce, skąd znowu trafiła na Ruś. Wśród poetów polskich najbardziej znanym autorem utworów emblematycznych jest Zbigniew Morsztyn (choć zapewne są i inni, jak dotychczas nieodkryci), którego wiersze ogłosił po raz pierwszy w całości nakładem PIW'u Jan Dürr-

Durski w roku 1954. Do rozwiązania zagadki emblematów Morsztyna przyczynił się obok Janusza Pelca głównie Czyżewski.

Trudno wymieniać tutaj choćby same tylko polonica Czyżewskiego, rozciągają się one od Kochanowskiego poprzez Wacława Potockiego i Mickiewicza (ciekawy i jak większość jego prac odkrywczy artykuł o maticzniku jako o „świecie zatopionym”, ogłoszony w polskiej księdze emigracyjnej na stulecie śmierci poety) aż po Juliana Tuwima. Czyżewski interesował się prawie wszystkimi literaturami słowiańskimi: Słowacy, o których literaturze i filozofii ogłosił szereg prac, uznali go wręcz za rodaka. W dziedzinie bohemistyki dokonał już w latach trzydziestych sensacyjnego odkrycia odnajdując w bibliotece w Halle nieznane rękopisy wielkiego pedagoga i pisarza barokowego, związanego między innymi z Polską, Jana Amosa Komenskigo; zajmował się też intensywnie, jako jeden z pierwszych, czeską poezją barokową, po czesku mówił zresztą swobodnie (choć jak we wszystkich językach z fantastycznym akcentem rosyjsko-ukraińskim).

Do literatury rosyjskiej miał stosunek niecałkiem jednoznaczny. Zwykł być mawiać, że „literatura rosyjska nie istnieje, istnieją tylko rosyjscy pisarze” (*russische Dichter* — co można też rozumieć: rosyjscy poeci). W prywatnych rozmowach najwyżej stawiał literaturę polską, co może wynikało także z tego, że poezją interesował się w zasadzie bardziej niż prozą. O poezji rosyjskiej XVIII wieku mawiał na przykład, że nie umywa się nawet do współczesnej jej poezji polskiej. W swej „Historii porównawczej literatur słowiańskich” (Berlin, 1968) o rosyjskim klasycyzmie XVIII wieku pisał nie tylko, że jest on „o wiele słabszy” od polskiego, lecz także o jego „z literackiego analfabetyzmu (*Unbildung!*) i braku tradycji pochodzącym niedbalstwie” w stosunku do teorii i praktyki. Podziwiał język poetycki Trembeckiego i Krasickiego, ale podkreślał ponadto, że zawdzięczają go oni dwustuletniej tradycji poetyckiej, w tym przede wszystkim barokowej. Nie przypominam sobie, bym podobną uwagę czytał u jakiegoś historyka polskiego, co zresztą jest zrozumiałe, gdyż jeden tylko Czyżewski porównywał błyskotliwość klasycystów polskich ze stosunkową szarością współczesnych im poetów rosyjskich i zastanawiał się nad przyczynami obydwu zjawisk.

Podobnie też wysoko cenił Leśmiana, Gałczyńskiego, a przede wszystkim Tuwima, i to nie tylko jego wiersze, ale też najrozmaitsze prace prozą, między innymi *Polski Słownik Pijacki* i *Czary i Czarty polskie* (co się znów łączy z zainteresowaniem demonologią). Niektóre wiersze Tuwima, i to niekoniecznie najpoważniejsze (jak np. *Moczmy nogi, moczmy nogi, Po zmęczeniu spokój błogi*) umiał na pamięć. Skąd je znał, kiedy ich się nauczył, było jego tajemnicą, podobnie jak znakomita orientacja w tajni-

kach polskiej kuchni, wraz z barszczem i zrazami. Nie była to bynajmniej orientacja oparta jedynie na znajomości literatury, w tym wypadku *Pana Tadeusza*, jako że wspominał z okazji zrazów jakieś oficjalne przyjęcie w Warszawie stawiając i tutaj Polaków za przykład.

Najwyżej jednak cenił polską poezję barokową, i to zarówno kunsztmistrzów formy, jak Morsztyna, Sępa i Naborowskiego, jak również — dość nieoczekiwanie — Wacława Potockiego, o którego formie polscy badacze, może nieco niesłusznie, nie wyrażają się zazwyczaj najlepiej. O Potockim zwykł był mawiać Czyżewski, z wrodzonym mu zapałem i niemal dziecinną radością: „Niech Pan patrzy (*Schauen Sie!*), przecież on potrafi pisać na każdy temat: za co tylko się weźmie, wychodzi mu znakomity wiersz!”. Ocena ta, na pierwszy rzut oka brzmiąca nieco ryczałtowo, oparta była jednak na dokładnej znajomości formy. Analizy kunsztownych rymów Potockiego znaleźć można we wspomnianej już historii porównawczej literatur słowiańskich.

Dymitr Czyżewski urodził się 23 marca 1894 w Aleksandrii, na prawobrzeżnej Ukrainie, nieopodal Czehrynia, znanego czytelnikom „Trylogii”, w inteligentnej rodzinie ukraińskiej, a więc w okresie, okolicy i kontekście społecznym, bliskim takim polskim pisarzom, jak Jerzy Stempowski i Jarosław Iwaszkiewicz. Z Polakami stykał się od dzieciństwa, wśród sąsiadów byli też Polacy, których wspominał życzliwie, w przeciwieństwie do Rosjan, którzy w jego wspomnieniach wychodzili groteskowo i gruboskórnie. W przystępach dobrego humoru podkreślał, że Czyżewscy są polską szlachtą, a więc czymś nieskończenie wyższym od rosyjskich *dworjan* (lecz w niemieckim *Who is Who* wspominał tylko o przodku na dworze Katarzyny II-giej czy Jelisawiety).

Studia rozpoczął w roku 1911 na uniwersytecie petersburskim, za granicę wyjechał dopiero w roku 1921, studiował potem w Niemczech, u Jaspersa w Heidelbergu i u Husserla we Fryburgu, następnie wiodł żywot emigranta w Czechosłowacji, od roku 1932 lektora na uniwersytecie w Halle, gdzie, mimo szykan i przykrości, przeżył wojnę zdrowo i cało. W roku 1945 udało mu się dostać w ostatniej chwili do Niemiec Zachodnich. Po krótkim okresie w Marburgu ściągnięto go w roku 1949 do Harvardu, gdzie zaczynał powstawać ważny ośrodek sławistyczny z M. Karpowiczem i Romanem Jakobsonem na czele. W roku 1956 opuścił Harvard dla Heidelbergu, obejmując tam stanowisko kierownika instytutu sławistyki, tam też spędził ostatnie dwadzieścia lat życia.

Instytut ów istniał wprawdzie nominalnie przedtem, lecz dopiero Czyżewski zrobił z niego poważny ośrodek naukowy,

zaopatrzony w znakomitą bibliotekę, która w rekordowym czasie osiągnęła imponującą ilość 30.000 tomów. W instytut wkladał całego siebie, był on jego domem, żoną i dzieckiem. Dla niego nie wahał się posunąć do granicy jeśli nie przestępstwa to wykroczenia (nieraz marzył zresztą głośno o napadzie na bank, by zdobyć pieniądze na książki dla instytutu). Kasa uniwersytecka otrzymywała ku swej rozpaczach rachunki przewyższające o wiele przyznany budżet. Najtrudniej było oczywiście o książki starsze, jeden z asystentów wysłany więc został — było to około roku 1960 — na targi książki do Warszawy, skąd przywiózł poloników za 10.000 marek (co odpowiada co najmniej dzisiejszym dziesięciu do piętnastu tysiącom dolarów). Książki zapłaciła na miejscu największa zachodnioniemiecka firma importowa — w Niemczech tytuł profesora jest gwarancją pewniejszą od konta bankowego. Kasa uniwersytecka nie miała więc wyboru: alternatywą było aresztowanie profesora pod zarzutem sprzeniewierzenia, a więc skandal na całe Niemcy.

Poza tym jednak do uniwersytetu szczęścia nie miał. Wyznażając znaną zasadę biurokratów, że nie ma ludzi niezastąpionych, uniwersytet zachował się wobec uczonego równie małostkowo jak, w odmiennych okolicznościach, wobec jego mistrza Jaspersa. Gdy go sprowadzono z Harvardu, ówczesne władze uniwersyteckie nie uznały za możliwe zaangażować go jako profesora zwyczajnego, z prawem do emerytury. Jeśli się znało Czyżewskiego, to można nawet przypuszczać, że z właściwym sobie optymizmem podpisał on po prostu kontrakt w zaufaniu, nie czytając. Sprawa wyszła na jaw dopiero dziesięć lat później i tylko staraniom jednego z asystentów zawdzięczał siedemdziesięcioletni uczonec, że otrzymał z łaski (dosłownie, tak bowiem brzmi ta nazwa: *gratiae*) skromną rentę, która pozwoliła mu na przeżycie, lecz zmusiła do wykładania na innych uniwersytetach. Podwładni i kole-dzy skarżyli się nieraz na niego, narzekali że jest nieznosny, nazywali go nie bez pozorów słuszności „primabaleriną”. W gruncie rzeczy był to jednak pod koniec życia przede wszystkim człowiek głęboko, w ostatnich latach nawet tragicznie samotny.

Przez całe swe życie był Dmytro Czyżewski postacią niezmiernie barwną i pełną sprzeczności, zapewne jednym z ostatnich profesorów, o którym przez długie lata jeszcze kursować będą opowiadania i anegdota. Legenda Czyżewskiego, podobnie jak Jakobsona, istniała już za jego życia. Wtajemniczeni twierdzą, że jest on bohaterem czy raczej prototypem bohatera powieści Nabokowa *Pnim* (choć być może drugim prototypem jest właśnie Jakobson). Zdarzyło mi się być świadkiem co najmniej jednej z anegdot opowiedzianej uprzednio przez Nabokowa. Słyszałem poza tym nieraz, jak Czyżewski opowiadał, że jest pokłócony

z Jakobsonem, gdyż ten ostatni oszukiwał w Harvardzie grając w golfa czy krykieta (jak to się robi?). I byłem przy tym, jak obaj starsi panowie spotkawszy się ponownie po latach rzucili się sobie w objęcia. Zapytany następnie jak to właściwie było z tym krykietem i od kiedy właściwie byli pokłóceni, Jakobson odpowiedział z najwyższym zdumieniem, że o jakiejś kłótni z Czyżewskim słyszy po raz pierwszy (lecz w *Pnimie* Nabokowa mowa jest o tym, że profesorowi Pnimowi zarzucają oszukiwanie w krykiecie...).

Napisałem poprzednio, że Czyżewski czuł się w roku 1937 równie dobrze jak w dniu dzisiejszym. Mogłoby się wydawać, zgodnie ze znanym stereotypem, że uczonemu żyjącemu wśród pisarzy Sredniowiecza i Baroku sprawy współczesne powinny być całkiem obce. Lecz Czyżewski nie tylko kupował sobie modne krawaty o potwornie jaskrawych kolorach, lecz także chodził na westerny i filmy kryminalne (intrygowiała go na przykład niezmiernie tajemnica sukcesów Jamesa Bonda) i był na pewno pierwszym a może i jedynym profesorem heidelberskim, który zaczął chodzić na filmy bitlesowskie. Obok zainteresowania muzyką pasjonował się też malarstwem współczesnym poczynając od Emila Nolde, Kaudynskiego i Jawlenskiego, jeździł regularnie do Monachium na wystawy malarskie i kupował nie tylko stare książki i ikony, ale też dzieła młodych malarzy, wśród nich i polskich.

Czyżewski należał do ostatniej generacji profesorów niemieckiego uniwersytetu, zniszczonego bezpowrotnie przez tak zwane reformy z roku 1968 i następnych. Był to uniwersytet elitarny, co zapewne było jedną z przyczyn jego zniszczenia (drugą przyczyną było być może, że nie był dość elitarny, w tym sensie, w jakim nimi są uniwersytety angielskie). Czyżewski nie był profesorem dla wszystkich i za takiego się nie uważał. Dla mienoty miał bezgraniczną pogardę, wyrażaną jednym zdaniem: „*Er hat keine Gedanken*”. Wynikało to z rzadkiego już dziś wyobrażenia o zadaniach uniwersytetu, które dzielił na przykład z Karlem Jaspersem. Wiadomo mi o co najmniej dwu habilitacjach i kilku doktoratach udaremnionych przez jego interwencję (choć z właściwą sobie niekonsekwencją zdarzyło mu się też dopomóc w karierze uniwersyteckiej osobom, które bynajmniej na to nie zasługiwały).

Wczesne fotografie z lat trzydziestych bieżącego stulecia pokazują młodego człowieka w okularach patrzącego nie w obiektyw, ale gdzieś w bok. Pewną nieśmiałość czy wstydliwość zachował do końca, mimo że starał się ją maskować (do czego służyły między innymi dowcipy). Za maską tą kryła się jednak

zarówno wielka wrażliwość, nie tylko literacka lecz i osobista, oraz jeszcze starannie ukrywane uczucia religijne. Z tymi ostatnimi łączyło się też — niezrozumiałe dla większości jego niemieckich kolegów — zainteresowanie sprawami nadprzyrodzonymi, wraz z czarownicami, demonologią i różnymi duchami. Wszyscy, którzy go znali (a szczególnie podwładni, dla których było to prawdziwą plagą) wiedzieli, że nie zawsze przychodzi, gdy go oczekują, lecz pojawia się na pewno tam, gdzie się go nikt nie spodziewa. Bez zdziwienia dowiedziałem się nieco później, że jest to typowa cecha czarowników, zarówno w Alpach jak i w Karpatach. Ile jednak w jego demonologii było żartu, a w żarcie ile znów maski, nikt chyba nie potrafi powiedzieć.

Wrażliwość była jednak nieudawana: wszelka brzydota fizyczna przyprawiała go o cierpienie i kto wie, czy te lub inne jego wybuchy nie były spowodowane zbytnią, estetyczną niemal wrażliwością na głupotę lub nieuctwo. Nieudawana też była agresywność wobec miernot, dla których był prawdziwym biczem Bożym. Ci, których traktował z ironią, mogli się uważać za szczęśliwych. Przeważnie bowiem trzymał się zasady, że czym głośniejszy i bardziej grubiańsko napadnie się na takiego „wroga nauki”, tym lepiej dla niej. Nie krępował się przy tym ani miejscem ani świadkami. Potrafił po prostu przerwać autorowi jakiegoś referatu na kongresie naukowym (lub gościowi na własnym uniwersytecie) i oświadczyć lub krzyknąć głośno: „Czy ma nas Pan za Hotentotów?! Z takimi głupstwami nie można do nas przyjeżdżać!”.

Ta forma wypowiedzi tłumaczy się zapewne bardzo wysokimi wymogami, które stawiał nauce, choć za „wrogów nauki” uważał też osoby wyznające odmienne poglądy naukowe, przede wszystkim przedstawiciele tak zwanej metody biograficznej w literaturze. Dla „wrogów” tych był nieubłagany, zresztą ocena „zbrodniarza” pojawiała się u niego bardzo łatwo, byli to przeważnie zbrodniarze w sensie pickwickowskim, a więc osoby nie umiejące myśleć naukowo albo też myślące inaczej niż on. Toteż Czyżewski dziwił się czasem, gdy napiętnowani tak publicznie lub też wyrzuceni (dosłownie!) za drzwi nie przechodzili nad tym do porządku dziennego, lecz powiększali szeregi jego, bynajmniej nie pickwickowskich, wrogów.

Najsłynniejszym chyba wyczynem tego rodzaju pozostanie wystąpienie na kongresie sławistów w Pradze, w sierpniu 1968. Atmosfera kongresu, podobnie jak całego roku 1967/68, była jak najbardziej odprężeniowa, zwłaszcza gospodarze wychodzili ze skóry, aby uniknąć najmniejszego incydentu. Czesi, w większości dawni koledzy lub uczniowie Czyżewskiego, żywili doń prawdziwy kult, Słowacy, jak wspominałem, uważali go wręcz za

rodaka *honoris causa*. Wyznaczono mu więc wykład w wielkiej sali, tematem miał być barok wschodniosłowiański. Cichą nadzieją gospodarzy było, że znakomity wykład Czyżewskiego (że będzie znakomity nikt nie wątpił) przyczyni się do zdjęcia tabu, jakim od chyba 30 lat obłożone były w ZSSR badania tej literatury. Sala była nabitą, atmosfera pełna naprężonego oczekiwania. Czyżewski wszedł na katedrę, przywitał zebranych i oświadczył po rosyjsku dość zdenerwowanym i niezbyt grzecznym tonem, że... wykładu nie wygłosi na znak protestu przeciw temu, że zarówno jego prace jak i samo nazwisko przemilcza się w Związku Sowieckim od dziesięcioleci. Zrobił się skandal międzynarodowy, gospodarze byli zrozpaczeni, Czyżewski stracił w ich oczach wiele punktów, a triumfował oczywiście główny przeciwnik ideologiczny, moskiewski profesor Berkow. No, ale — jak mawiał Czyżewski — trzeba mieć szczęście. W tydzień potem czołgi sowieckie były w Pradze i gdy odwiedziłem ją ponownie, wystąpienie Czyżewskiego wspomniano z najwyższym podziwem: „On jedyny wiedział, jak rozmawiać z Rosjanami!”.

Dmytro Czyżewski był Ukraińcem i nigdy z tym się nie krył (ze mną na przykład rozmawiał niemal zawsze po ukraińsku), choć od większości rodaków trzymał się z daleka. Dla historii literatury ukraińskiej uczynił zapewne więcej niż ktokolwiek inny w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Pozostanie przede wszystkim jego „Historia literatury ukraińskiej” od początków (to jest od chrztu Rusi) aż po drugą połowę XIX-go wieku, też taka, w której autor każde wspomniane dzieło przeczytał i do każdego miał stosunek. Jeszcze ważniejsze było odkrycie przezeń ukraińskiej poezji i w ogóle literatury barokowej. Niemal wszyscy ci poeci pisali też po polsku, byli zresztą obywatelami Rzeczypospolitej, a jeśli taki na przykład Iwan Wyszenskij (urodzony w Sądowej Wiszni pod Lwowem) wyjątkowo po polsku nie pisał, to polemizował w każdym razie z Piotrem Skargą i przejmował nieświadomie wpływy polskie i łacińskie (na ów paradoks u tego zwolennika powrotu do bizantyńskiego średniowiecza, tego „Savonaroli ukraińskiego renesansu” zwraca uwagę właśnie Czyżewski). Książka o barokowym filozofie-poezie H. Skoworodzie wyszła nawet w Warszawie, w roku 1934.

Jako przedrewolucyjny liberał rosyjski (bo chyba tak trzeba napisać, z tym że rosyjski odnosi się do ówczesnego państwa rosyjskiego, nie do narodu) obcy był wszelkiemu szowinizmowi, a więc i w tym sensie należał do starej inteligencji rosyjskiej. Po rosyjsku pisał równie dobrze jak po ukraińsku i ogłaszał swe prace w nowojorskim czasopiśmie *Nowyj żurnal*. Niektórzy rodacy mieli mu to zdaje się za złe. Jednakże w tym dziś już przedhistorycznym wprost kontekście carskiej Rosji był Czyżew-

ski Ukraińcem i nawet niechętnym Rosjanom, czy raczej Wielkorusom. Podobno gdy był w Harvardzie, gdzie nawiasem mówiąc wykładał jedynie po rosyjsku, podkreślał zawsze, że literatura staroruska jest właściwie literaturą kijowską, a więc ukraińską. Byłem też świadkiem, jak zrobił straszliwą scenę publiczną Bogu ducha winnej młodej i uroczej lektorce z Leningradu, a gdy awanturę udało się wreszcie załagodzić i gdy pytałem go, co mu ta pierwsza raz w życiu widziana osoba zawiniła, odpowiedział tylko: „*sie spricht so kazapisch*” (przymiotnik w niemieckim nie istniejący, ale oczywiście wywodzący się ze wspólnego ukraińskiego i polskiego słowa *kacap*).

Można by więc powiedzieć, że Rosjan uznawał, o ile mówili z akcentem charkowskim lub kijowskim (albo też jeśli byli jego starymi przyjaciółmi). Do Polaków miał natomiast sympatię, a może nawet słabość. Twierdził na przykład zawsze, że winę za obecną sytuację międzynarodową ponoszą Polacy, a mianowicie Zygmunt III-ci, bo gdyby Władysław IV-ty został był carem, to po upływie jednego pokolenia Moskwa sama obciąłaby brody i długie poły kaftanów i zaczęłaby tańczyć „mazurkę” (tak właśnie! choć niewątpliwie wiedział, że po polsku taniec ów nazywa się mazurem i że rozpowszechnił się dopiero w XVIII wieku). Aforyzm ten typowy jest dla manieri historiozoficznej Czyżewskiego (autora m.in. książki *Russische Geistesgeschichte* przełożonej na kilka języków). Trudno w krótszej formie wyrazić alternatywę do „ducha dziejów Rosji” ucieleśnionego w przymusowych reformach odgórnych Piotra, Aleksandra I-go i II-go, a wreszcie Lenina. Takich alternatyw było w dziejach Rosji bardzo niewiele — ale tę właśnie jedyną nie odgórną wspominają historie Rosji bodaj najrzadziej.

Ostatnim aktem nonkonformizmu, na który sobie pozwolił, było, że stanowczo wyprosił sobie pogrzeb prawosławny. Przemówienie nad trumną wygłosił więc jeden z przyjaciół, protestancki teolog. Nie zapomniał o tym, do czego zmarły najrzadziej się przyznawał: o trudnym losie uczonego-wygnajca. Uniwersytet nawet w obliczu śmierci pozostał wierny swej tradycji: rektor ani sam nie przybył ani żadnych kondolencji nie nadesłał. A jednak w kaplicy cmentarnej zebrało się spore grono uczniów i przyjaciół. Jedynym akcentem prawosławnym był stojący samotnie pośrodku kaplicy młody duchowny, z czarną brodą, w sutannie i wysokim czarnym kłobuku. Nie bez zdziwienia rozpoznałem w nim niedawnego doktoranta, potem doktora, rodowitego Niemca. Jeszcze chwila i Dmytro Czyżewski spoczął na „górskim cmentarzu” Bergfriedhof w Heidelbergu, wśród starych wiązów i brzoź.

Andrzej VINCENZ

Staszic nieznany - Humboldt czy Wolter

Stanisław Staszic, znany nam dzisiaj przeważnie tylko z nazwiska i cytowany w podręcznikach literatury głównie jako autor pism politycznych z okresu Sejmu Czteroletniego („Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego”, „Przestrogi dla Polski”), jest jednak chyba całkiem zapomniany jako autor poematu historyczno-filozoficznego pt. „Ród ludzki” (1819-20) i „Dziennika podróży z lat 1789-1805”.

W pierwszym z tych dzieł, dość mizernym pod względem poetyckiej formy ale za to wyjątkowo interesującym treściowo, dał się on poznać jako prekursor materializmu historycznego, przedstawiając proces rozwoju społecznego jako wynik postępu, dokonującego się w toku walk i konfliktów społecznych, spowodowanych podziałem dóbr (ziemi) i rodzajami własności. W drugim zaś — sam geolog, przyrodnik i etnograf — poszedł drogą współczesnego mu Alexandra von Humboldta, notując obserwacje ze swych licznych podróży po Polsce i Europie Zachodniej. Obydwa dzieła powstały niemal w tym samym czasie: Humboldta „Voyage aux régions équinoxiales du Nouveau Continent” w latach 1799-1804, „Dziennik” Staszica w latach 1789-1805. Objętościowo zapiski Staszica przedstawiają się w porównaniu z 30-tomowym dziełem Humboldta (około 16 tys. stron) dość skromnie (tylko 435 stron), spektrum zainteresowań „polskiego Humboldta” jest jednak znacznie rozleglejsze. W podróży po Polsce Staszic jest przede wszystkim — jak Humboldt — geologiem i geografem, notującym tylko sporadycznie informacje historyczne. Natomiast w podróży po Włoszech, odbytej w latach 1790/91, daje się nam poznać przede wszystkim jako ekonomista-fizjokrata i kulturoznawca.

Jako fizjokratę interesują go we Włoszech formy własności ziemi, jej dzierżawy i ocynszowania oraz sposoby jej uprawy; jako kulturoznawcę — zabytki antyku i renesansu, jako oświeceniowego filozofa — Rzym papieski i instytucja papieża.

W stosunku do papieża zajmuje Staszic na kartach swego „Dziennika” stanowisko bardzo krytyczne. Nie jest to co prawda nienawistnie-sarkastyczny wolterjanizm — nie należy zapominać, że Staszic, na życzenie swej matki, pani młynarzowej z poznajskiej Piły, która „chciała mieć księdza w rodzinie”, skończył

(*) „Dziennik podróży Stanisława Staszica 1789-1805”, z rękopisów wydał Czesław Leśniewski, Polska Akademia Umiejętności, Archiwum do Dziejów Literatury Polskiej, Seria II, Tom 2, Kraków, 1931.

seminarium duchowne i otrzymał święcenia kapłańskie. Był on jednak niezwykłym „produktem” epoki Oświecenia: księdzem-antyklerykałem. Podobnie jak autor „Monachomachii”, biskup Ignacy Krasicki, reaguje on alergicznie na pasożytnictwo społeczne zacofanych zakonów, w których nadmiarze widzi jedną z przyczyn hamujących postęp społeczny. Ten nadmiar „próżnujących” mnichów i „nieproduktywnego” kleru drażni go też na każdym kroku we Włoszech i w nim właśnie upatruje przyczynę upadku gospodarczego XVIII-wiecznego Rzymu. Staszic posuwa się jednak jeszcze dalej od wolnomyślicielskiego biskupa, nie wahając się przed piętnowaniem zabobonnych praktyk i sięgających wstecz do pogaństwa kultów, szerzenia wśród wiernych strachu przed piekłem i czyszcem i wykorzystywanie go dla celów zgoła materialnych:

(1) „Powracając z kościoła ś. Piotra, na dziedzińcu zastałem drewnianą budę. Zajrzałem. Zgroza mię przeszła. Zoczyłem figurę człowieka nagiego, okrutnie męczzonego, porozdzieranego(*), zgoła z takimi wyrazy(**), jakie tylko mogą razić oczy i czułość(***) człowieka. Przed tą figurą czyli straszylłem samego bólu postawiona taca dla pinieędzy i człowiek jęklwym głosem wrzeszczy, opowiadając katownie mąk czyszcowych, aby się miękcyli nad nimi ludzie, pamiętając na te rany Jezusa tu umęczonego etc.” — notuje Staszic. O zabobonach zaś, popieranych przez rzymski kler, pisze dalej:

(2) „Tam stąd poszedłem oglądać schody Piłata, po których zastałem mnóstwo ludu, idące na klęczkach w górę; więcej oszukani (podkr. E.C.) idą, całują, rozumiejąc, że idą po schodach, po których szedł Pan Jezus, a oni idą po schodach z desek robionych w Rzymie, bo przykryto schody marmorowe, które już bardzo widziałem wychodzone czyli wytarte kolany. W tym miejscu barzo wiele znalazłem zabobonu. Kamienie wycierane, drzewi, zamki, kłódki wylizane a wszędzie puszk i skarbonki etc.”.

Zwiedzając Zamek św. Anioła, który w tych latach służył państwu papieskiemu za więzienie, „grób Adryana umarłego, a dzisiaj grób żywych”, jak go określa, pamięta Staszic o więzionym tu w kazamatach Cagliostro (zmarłym tu w sierpniu 1795) i zastanawiając się nad jego losem, pisze niezwykle ostre — nawet dla antyklerykała — słowa:

(3) „O Kaliostroze słyszałem, że miał straszną nienawiść ku kardynałom. Czemu? Zawsze między osoby jednego rze-

(1) „Dziennik podróży”, str. 169; (*) chodzi o „figurę”, tj. kukłę; (**) tj. sprawiającego takie wrażenie; (***) tj. uczucia ludzkie.

(2) tamże, str. 173;

(3) tamże, str. 191; pisownia cytatów według wydania PAU, 1931.

miosła (podkr. E.C.) jest nienawiść. Szarlatan nie cierpi drugich”.

Już sam widok posągu anioła z mieczem na dawnym mauzoleum Hadriana nasuwa Staszicowi gorzkie myśli:

(4) „Rozżalony (refleksjami na temat papieży, którzy głosząc moralność opartą na miłości ludzi, postępują jak inni władcy, utrzymując „więzienia despotyzmu, gdzie bez sądu kara” — przyp. E.C.) postąpiłem kilka kroków dalej, a w tym ukazał mi się nad zamkiem Anioł, w ręku jego miecz potężny. Jakaż to myśl cielesna! Jak grube wyobrażenie Bóstwa: Duch, oręż, Bóg i wojna! Zrozumiałem dopiero, jak łatwo godzi się niesprawiedliwość i kara bez sądu z świątobliwością w tych głowach, w których jeszcze(*) duchy przypasują szable. A w tej myśli posunęła mi się ta: papież w Watykanie, Kaliostro w zamku ś. Anioła. Stanęły mi natychmiast sceny tych dwóch osób na tym świecie, Kaliostro jednych oszukiwał, a drugim ubogim elemożyny(**) dawał — widziałem to sam w Strasburgu; N.(***) nakłada podatki i daje elemożyny. Kaliostro leczył darmo wiele chorych na ciele, N. leczył darmo chorych na duszy. Kaliostro ukazywał czyszciec, piekło, rozmawiał z dyabły i sprowadzał na ziemię dusze z czyściska i z piekła; N. potępia i zbawia, uwalnia od mąk, wyprowadza z czyściska dusze do nieba etc.”. — Takich porównań nie powstydziłby się sam Wolter. Błędem byłoby jednak uważać Staszica za „polskiego Woltera”. Staszic nie jest ateuszem, zachowuje swą głęboką wiarę i dlatego też nie szydzi, tylko cierpi głęboko, gdy obserwuje kompromitację wielkich idei przez małość ludzką, w jej niezmiernej pysze i żądzy władzy.

Staszica razi przepych dworu papieskiego, złote trony, lektyki, pawie pióra. Jaskrawo-kolorowe mundury szwajcarskiej gwardii papieskiej nie waha się on porównać z kostiumami arlekinów. Gorszy go, gdy „papieżowi na tron przynoszą Najświętszy Sakrament” i gdy podczas nabożeństw Wielkiego Tygodnia „z kielicha rurką złotą pije krew Pańską!” (5).

Zwiedzając podziemia watykańskie Staszic oburza się na pychę możnych tego świata, sięgającą nawet poza grób:

(6) „Będąc w kościele, wszedłem do kościoła podziemnego. Nic tam nie zastałem, co by mnie zastanowiło, tylko ciemne kąty i ogromne groby do zamknięcia garści popiołów. Rozumieli ci papież i cesarze dumni, że ich popiołom po śmierci tyle trzeba miejsca, jak ich dumnym głowom za życia, lecz ta głupia myśl jest bardzo dawna”. (Staszic czyni tu aluzję do oglądanych przez niego w Rzymie mauzoleów cesarów Augusta i Hadriana).

(4) tamże, str. 175; (*) tj. nawet; (**) tj. jałmużny; (***) litera N. zastępuje imiona papieży.

(5) tamże, str. 203.

(6) tamże, str. 204.

Staszic poświęca w Rzymie niezwykle dużo czasu na zwiedzanie zabytków i kontemplację dzieł sztuki. Zaopatrzonego w wydane właśnie dopiero co w Genewie ówczesnego „baedekera” (La Lande, „Voyage en Italie”, Genève 1790) zwiedza Watykan i jego muzea, wszystkie znane pałace rzymskie i ruiny antycznego Rzymu, jak niespieszny i sumienny turysta z epoki dyliżansu.

Oglądając dzieła sztuki, patrzy on na nie nie tylko okiem historyka, analizującego ich formę, lecz stara się dotrzeć do ich treści. Tak więc freski w watykańskich „stanzach Rafaela” traktuje on nie tylko jako obiekt estetyczny, lecz także — a może nawet przede wszystkim — jako „komunikat” dla odbiorcy, jako „dokument epoki”. Do głębokich refleksji skłania go trzecia stanza, poświęcona Konstantynowi Wielkiemu. Freski tej komnaty, malowane przez uczniów Rafaela (Giulio Romano, Fr. Penni) według jego szkiców, przedstawiają legendarną scenę ukazania się Konstantynowi znaku krzyża na niebie („*in hoc signo vinces!*”), zwycięską bitwę u Mostu Mulwijskiego z cesarzem Maksencjuszem, chrzest Konstantyna i darowiznę Rzymu papieżowi Sylwestrowi I-szemu. Sceną bitwy czuje się Staszic wstrząśnięty:

(7) Oglądałem *les chambres de Raphaël*. Pierwsza izba niezmieźnie mnie zadziwiła, nie dla piękności malowania, bo to jest średnie, ale dla mnóstwa myśli, które we mnie rozbudziła. Widziałem najgłówniejszą epokę nędzy i oszukań rodzaju ludzkiego, tryumfujący z jego nieszczęść despotyzm i oszczerstwa łakomstwo (*). Pierwsza tablica okazuje w ten moment, kiedy wahała się opinia pogaństwa z opinią bóstwa Chrystusa; Konstantyn, dumą, kłócony, przemawia do ludu, którego duch pełen był Chrystusa, zapala w żołnierzu okrucieństwo, stawiając mu w oczach mękę Chrystusa. Widzi na powietrzu krzyż i słyszy z góry głos ogromny, że w tym znaku zwycięstwo. Natychmiast zrzuca orła, a krzyżem zdobi wojarzów chorągwie. Pod tym znakiem ruszać żołnierzowi każe, twierdząc, iż go tam Chrystus prowadzi. Zapalone wojsko przeciwko pogaństwu idzie, gdyby w zachwyceniu. Na drugiej ścianie widzi żołnierz oszukany, ale zapalony, anioły na powietrzu. Pełen bóstwa Boju, rzuca się z zapamiętałością na Maksencjusza. Jeży się ziemia trupem, napętnia się Tyber krwią ludzi, a aniołowie niebiescy, jeszcze nie syci tych okrucieństw, burzą coraz, srożą w imię Chrystusa żołnierstwo. Tu strącony w rzekę Maksencjusz mocuje się z wodą, a anioły ukazują go chrześcijanom, aby go ubili czym prędzej. Tu strapiiony ojciec dźwiga skłótego syna. Zgoła wszędzie rzeź, mordy, zamieszanie i zgroza. (Opisz okropną bitwę, gdyż nad wyrazy tego obrazu niema nic straszniejszego). Zapytałem się: naczóż ta wściekłość w ludziach, naczóż wojna, czemuż tak różną się ludzie, kiedy

(7) tamże, str. 162; (*) „oszczerstwa łakomstwo” należy rozumieć w tym kontekście jako ludzki popęd do zakłamywania prawdy.

tej srogości niema w bestyach? Naczóż tego chce niebo, czemuż ukazuje krzyż za znak zbudzenia okrucieństwa w ludziach, czemuż anioły, zamiast prowadzenia do miłości, jeszcze dopomagają ludziom do wspólnej rzezi?

Staszica najbardziej tu boli „manipulowanie idea”, wykorzystanie Krzyża — symbolu ofiary z miłości — do walki z konkurentem o władzę, oszustwo dokonane na ludziach, przekonanych, że walczą dla idei, podczas gdy w rzeczywistości ścielą oni trupami mordowanych „wrogów” — i własnymi — drogę dla przyszych despotów. Odpowiedź na pytanie: „czemuż to anioły, zamiast prowadzenia do miłości, jeszcze dopomagają ludziom do wspólnej rzezi?” — znajduje Staszic na następnym fresku:

(8) Wtym obróciłem moje oczy na drugie drzwi ściany i znalazłem odpowiedź. Na jednej despotyzm zawiera związek z duchowieństwem i sadowi swoją władzę na Bogu (*); na drugiej ścianie duchowieństwo dzieli łupy z despotyzmem, to jest, najpierw Konstantyn bierze chrzest i zostaje cesarzem chrześcijańskim, którego władza jest od Boga, a na drugiej papież bierze od Konstantyna donację ziemi zawojowanych. Taki to jest wszystkich wojen koniec: i wzrost despotyzmu i wzbogacenia się duchowieństwa. Te malowania, prócz bitwy Konstantyna, są średnie, ale wiele mówią.

Ciężkie to oskarżenie i wielka odwaga cywilna tego oświeconego księdza, nie wahającego się przed napiętnowaniem polityki papieżstwa, budującego potęgę kościoła na sojuszu z cezarami i cesarzami.

Podziwiając dzieła sztuki antyku, wszędzie widzi on apotezę wojen, to jest gwałtów i mordów, gloryfikowanych nie tylko w starożytności, lecz do dnia dzisiejszego:

(9) „Po obiedzie, przechodząc koło bramy tryumfalnej Konstantyna, a patrząc na uwielbione dzieła, w kamieniu wybite, między którymi widziałem czyli z bramy Trajana obdarte sztuki piękne*, czyli też nowo za Konstantyna czasów sztuki kute niezgrabnie, wszędzie widziałem uczczone zabójstwa, mordy, dumy i niesprawiedliwość wojarza**. Pomyślałem sobie i zasmuciłem się: Jakto, dwa tysiące lat dochodzi, jak ta brama robiona, i co wówczas najgorszego, uczynki najniesprawiedliwsze, rodzajowi ludzkiemu najszkodliwsze, które tym dziełem uwielbiono, to samo i dzisiaj ludzie jeszcze uwielbiają! Obyczajność więc ludzi ani obyczajność narodów nie stąpiła kroku w dwa lat tysiące”.

Od czasu napisania tych słów minie niedługo dwieście lat —

(8) tamże, str. 162-163; (*) w ten właśnie sposób interpretuje Staszic motywy przyjęcia chrztu przez Konstantyna.

9. Tamże, str. 168.

* tj. czy to z Łuku Trajana wydarte płaskorzeźby.

** tj. wojownika.

już nie krocącego, ale dosłownie galopującego postępu, w który tak bardzo wierzył wiek Oświecenia. Pytanie o ich dalszą aktualność byłoby zwykłym zwrotem retorycznym.

Eugeniusz CICHORSKI

Śmierć Prezydenta

Po „Człowieku z marmuru” i „Barwach ochronnych” film o Gabrielu Narutowiczu jest chyba najciekawszym wydarzeniem obecnej polskiej kinematografii. Z punktu widzenia technicznego jest on zrobiony niezwykle starannie. Jako świadectwo historyczne oddaje wiernie dramatyczne momenty wyboru Narutowicza i jego śmierć w Zachęcie. Główne postacie, a zwłaszcza Piłsudski, Witos, Rataj a wreszcie sam Narutowicz są dobrze ustawione i świetnie ucharakteryzowane. Film sprawia wrażenie i nasuwa różnorakie refleksje. Zanim przejdziemy do nich kilka uwag krytycznych dotyczących spraw drobnych.

Jakkolwiek rozmowa dwóch Szwajcarów na początku filmu ma służyć jako wprowadzenie i wytłumaczenie decyzji powrotu Narutowicza do kraju, odczuwa się brak choćby paru zdań mówiących o jego działalności patriotycznej podczas wojny. A przecież Narutowicz był prezesem Polskiego Komitetu Społecznego w Zurychu i uczestniczył w pracach tzw. Komisji z Vevey, w której pełnił funkcję członka dyrekcji. Jego powrót do Polski był więc bardziej logicznym następstwem jego postawy podczas wojny, niżby się to mogło wydawać po obejrzeniu filmu. Generał Haller, choć dobrze ucharakteryzowany, wygląda w filmie zanadto na „czarny charakter” — takich przerysowań postaci jest więcej, może w celu zasugerowania widzowi sympatii i antypatii. Na przykład postać poła Łańcuckiego wydaje się zanadto wyeksponowana. Dobry, ale trochę rażący, jest śpiew „Czerwonego sztandaru” przez chór Filharmonii warszawskiej — pochód robotniczy śpiewał to jednak trochę inaczej, może z mniejszym wyczuciem muzyki, ale bardziej autentycznie. Ks. Nowakowski, który po wyborze Narutowicza na Prezydenta stwierdził, że jednak wybór należy uszanować i został zakrzywany przez tłum — jak to odnotował *Robotnik* — jest przedstawiony jako fanatyczny wróg, nie cofający się w niczym w zwalczaniu elekta. Ale to wszystko są raczej drobne usterki.

Trochę ważniejsze jest położenie zbyt dużego nacisku na „szwajcarskość” Narutowicza, choć przecież to nie był powód dla którego prawica zwalczała jego kandydaturę. Oczywiście w filmie jest sporo na temat jego wyboru głosami mniejszości, ale reżyser nie postawił kropki nad i. „Jak Żydzi śmieli narzucić Polsce swego prezydenta” — oto było główne hasło mobilizujące prawicę do akcji. Anonimowe telefony „żydłujące” do Prezydenta, już po jego wyborze, o których pisze Piłsudski w swym „Wspomnieniu o Narutowiczu”, i szeroko rozprzestrzeniane plotki, że sam Narutowicz był Żydem, to też dość istotne elementy w całości obrazu, które nie zostały dostatecznie uwypuklone.

Widz, oglądając scenę w Sejmie 14 grudnia, ma w pierwszej chwili wrażenie, że Stroński został umyślnie potraktowany karykaturalnie. Lawina epitetów pod jego adresem: „chrześcijański Żyd”, „najgorszy interes robimy na przechrzztach” wydaje się przesadzona. Ale lektura „Sprawozdania stenograficznego” z posiedzenia 14 grudnia 1922 (IV/1 - VI/15) pokazuje, że scenariusz filmu trzyma się wiernie autentycznych tekstów.

Pozostaje sprawa najbardziej może ciekawa i kontrowersyjna: stosunek Piłsudskiego do Narutowicza. Film pokazuje ich razem jedynie w chwili przekazania władzy przez Naczelnika Państwa nowow wybranemu Prezydentowi. Scena w Belwederze wygląda zresztą przekonywująco. Wiadomo jednak — choćby ze „Wspomnień o Gabrielu Narutowiczu” (*Pisma zbiorowe*, t. VI, str. 36-39) oraz z „Wywiadu z redaktorem *Kuriera Polskiego* 31 grudnia 1922” (*Pisma zbiorowe*, t. VII, str. 5-9) — że Piłsudski widział się szereg razy z Narutowiczem przed wyborami i dwukrotnie w Belwederze po jego wyborze. Narutowicz początkowo myślał o kandydaturze Maurycego Zamoyckiego na prezydenta, potem namawiał Piłsudskiego, gotów był też poprzeć Wojciechowskiego. Ani historia ani film nie dają nam stuprocentowo przekonującej motywacji ostatecznej decyzji Narutowicza, aby prezydenturę przyjąć.

Piłsudski twierdził — chyba nie bez ubocznych racji politycznych — że tragedią Narutowicza było starcie się jego zachodniej europejskości, wyobcowanej z polskiej rzeczywistości, z „brudem Wschodu”. Z tą Polską obciążoną skazą „Wschodu” Narutowicz walczyć nie umiał i nie chciał — przynajmniej nie tymi metodami, których używano. W tym co Piłsudski pisze o Narutowiczu, widzi się pewną mieszaninę uczuć. Z jednej strony sympatię i szacunek dla Narutowicza — Piłsudski podkreśla jego „rys specjalnej delikatności” i wyjątkową lojalność, a w wywiadzie dwukrotnie używa określenia „przyjaciół”. Z drugiej wyczuwa się pewną dozę ironii i jak gdyby wyższości człowieka twardej ręki, zahartowanego w walce, wobec idealisty i liberała.

Trudno mieć pretensję do autorów filmu „Śmierć Prezydenta”, że nie starali się włączyć tych rozmów Piłsudskiego z Narutowiczem (o których wiemy tak mało) do scenariusza. Nie dysponując materiałem historycznym musieliby improwizować i to mogło dać fatalne skutki. Ale wychodząc z kina widz jest raczej pod wrażeniem chłodnego stosunku Piłsudskiego do Narutowicza, co nie wydaje się słuszne. W przejmującej scenie pogrzebu zamordowanego Prezydenta widzimy samotnego Piłsudskiego, kładącego pasjansa; film kończy się suchą wzmianką o wyborze Wojciechowskiego, kandydata Marszałka. Można więc wyciągnąć wniosek, że jedyną realną siłą był Piłsudski, a reszta to marionetki poruszające się po scenie, nie zdające sobie sprawy z tego, że sznurki ciągnie kto inny za kulisami.

Czy więc morałem filmu jest podkreślenie słabości parlamentarnej demokracji, czy też istotnym jego celem jest napiętnowanie nietolerancji politycznej, a częściowo i szowinizmu? Zapewne odpowiedzi na to pytanie będą różne, tak jak zapewne pozostanie dyskusyjną i niejasną sprawa czy i na jakie „zapotrzebowanie społeczne” ten film został zrobiony. Jednoznacznej odpowiedzi nie widzę, ale fakt pozostanie faktem, że „Śmierć Prezydenta” jest dużym osiągnięciem polskiego filmu. Pozostawia silne wrażenie i nasuwa szereg refleksji — a to już dużo.

P. W.

Fundusz im.K.F. Vincenza

kontynuując Jego inicjatywę ogłasza konkurs z nagrodami dla polskiej młodzieży na emigracji

SZUKAMY POLONIKÓW (Polskie ślady w świecie)

W rachubę wchodzi: pomniki, cmentarze, nagrobki, tablice pamiątkowe, studnie, budynki, pomieszczenia, drzewa, meble, place i ulice, księgi, dzieła sztuki w cudzoziemskich zbiorach publicznych lub prywatnych itd.

Do wzięcia udziału w konkursie upoważnia opis obiektu po polsku (nie więcej niż 3 strony) z rysunkiem, obrazkiem lub fotografią, z dokładnym podaniem kraju, miejscowości, ulicy i numeru domu, ewentualnie nazwiska posiadacza obiektu.

Wiek uczestników konkursu w grupie I nie może przekraczać lat 18.

Wiek uczestników konkursu w grupie II od lat 18 do 25.

Za najlepsze prace nigdzie nie publikowane, przewidziane są następujące nagrody:

Grupa I:

1-sza nagroda — fr.szw. 200; 2-ga nagroda — fr.szw. 100; 3-cia nagroda — fr.szw. 50.

Grupa II:

1-sza nagroda — fr.szw. 300; 2-ga nagroda — fr. szw. 200; 3-cia nagroda — fr.szw. 100.

Dwie nagrody dodatkowe za fotografie lub rysunek po fr.szw. 50.

Nagroda specjalna za najoryginalniejszy obiekt fr.szw. 200.

10 nagród pocieszenia po fr.szw. 20.

Praca oznaczona godłem ma być przysłana do dnia 11 listopada 1978 na adres sekretarza jury:

KRZYSZTOF ROWIŃSKI, 68, NORMANDY AVE., BARNET,
HERTS EN5 2JA, ENGLAND.

W osobnej zaklejonej kopercie należy podać nazwisko i adres autora oraz wiek.

Wszystkie nadesłane prace stanowią własność Naczelnictwa ZHP w Londynie.

Wyniki konkursu z podaniem nazwisk nagrodzonych zostaną ogłoszone w polskiej prasie emigracyjnej w dniu św. Kazimierza, 4 marca 1979.

FUNDUSZ KAZIMIERZA F. VINCENZA

ogłasza konkurs na wspomnienie

MOJE ZDERZENIE Z BOLSZEVIKAMI 17 WRZEŚNIA 1939

Nagrody w wysokości:

1-sza — fr.szw. 500; 2-ga — fr.szw. 400; 3-cia — fr.szw. 300 oraz przewidziane nagrody pocieszenia.

Prosimy o nasyłanie prac nieopublikowanych, oznaczonych godłem, do dnia 11 listopada 1978 na adres:

HALSZKA VINCENZ-PONIAŁOWSKA, WINTERTHURERSTRASSE 312,
8057 ZÜRICH, SZWAJCARIA - SWITZERLAND.

W osobnej zaklejonej kopercie należy podać nazwisko i adres autora.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w prasie emigracyjnej w dzień św. Kazimierza, 4 marca 1979.

Nadesłane prace będą w miarę możliwości opublikowane i wszystkie zostaną złożone w Bibliotece Polskiej w Londynie.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00



TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

LITERATURA

Str. 180.

Cena F.45,00.

Wołanie na puszczy

O humor krajowy

W marcowym numerze *Kultury* w rubryce „Obserwatorium” zacytowany jest list do Redakcji młodego człowieka z Kraju. Młody ów człowiek pisze, że czytanie *Kultury* nadmiernie go przygnębia, uświadamiając dobitnie wszelkie nieszczęścia, jakie spadły na Ojczyznę, podczas gdy ludzie w Polsce, choć często narzekają, to jednak nie odczuwają na co dzień tak bezgranicznego przygnęбления — gdyby je wciąż odczuwali, życie byłoby nie do zniesienia. Komentator z *Kultury* odnosi się do tych wywodów krytycznie i ironicznie, stwierdzając że młody korespondent najwidoczniej jest już ofiarą systemu, który skutecznie wywołuje u obywateli zobojętnienie i przytępienie wrażliwości, oraz że dla człowieka normalnego, nie zatrutego totalizmem i świadomego np. wszechniwelującego psychicznie oddziaływania cenzury, życie w Polsce na pewno bardziej jest przygnębiające, niż lektura zagęszczonych w swym stężalym krytycyzmie stronic miesięcznika *Kultura*.

Hm, pospierałbym się na ten temat z niepodpisany przedstawić Redakcji. Nie ma zgody, Mopanku, a raczej nie całkowita zgoda, bo na temat złego lub dobrego humoru Polaków w Kraju można rozmaicie. Sam mam na ten temat sporo do powiedzenia, w końcu przecież tam żyję i — moralnie rzecz biorąc — należę do najbardziej uderzonych, gdyż uniemożliwiono mi wykonywanie mojego zawodu publicysty, teksty moje ukazują się zafałszowane przez cenzurę, a że nie mogę tego prostoować, więc staję się współfałszerzem, współnikiem superblagierów. Jest się zatem czym przygnębić wpaść w nieustającą tragiczność. Mimo to nie wpadam w nią w Warszawie, staję się to natomiast częstokroć moim udziałem — rzecz ciekawa — podczas pobytów za zachodnią granicą. Nie jestem w tym żadnym zboczeńcem czy masochistą: po prostu nad Wisłą jest trzeźwo i rzeźwo, mimo otaczających bzdur i nonsensów, na „normalnym” za to Zachodzie czuję dopiero absurdalność własnej sytuacji, pogłębioną jeszcze dookólnym biadaniem moich przyjaciół-równolatków z Emigracji.

Rzeczywiście — w Polsce nie ma publicznego przygnęбления, czy nieustającej świadomości narodowego nieszczęścia. Ludzie bywają wściekli czy krytyczni, lecz tragiczni na co dzień nie są. Dlaczego? Ciekawy to fenomem i w swoich źródłach wcale nie prosty. Może dlatego, że to nowi Polacy, nowe warstwy społeczne, częstokroć na nowych miejscach, odcięci od przeszłości i wiedzy o niej, od tradycji, od starej inteligencji, która zniknęła w straszliwym, lecz już zapomnianym krwawym kataklizmie wojny, martyrologii, przesiedleń, migracji i emigracji, a jak nie zniknęła doszczętnie, to znika i rozplywa się teraz. Nie ma dawnych ośrodków duchowo-obyczajowych, nie ma organicznych elit społecznych, nie ma w starym miasteczku doktora, proboszcza, aptekarza i nauczyciela, od pokoleń grywających sobie wieczorkiem w wista, nie ma w ogóle starych miasteczek; każdy — co pomniejszy — przewodniczący Rady Narodowej hoduje ambicję, aby wyburzyć co rychlej resztki starzyny, ku rozpacz konsekwentów zabytków. Wszędzie się roją nowi Polacy, o nowych obyczajach tudzież gustach (ja nie wartościuję, tylko opowiadam), każdy żyje na nowo, nie mając sposobu porównania teraźniejszości z przeszłością, chce i musi wyrobić sobie pogląd samemu, od początku. Trudno mieć do niego pretensję, tak się w Polsce stało, przeżyliśmy swoją bitwę pod Białą Górą, odcięto ludzi od tradycji i namacalnej przeszłości. Czy trzeba im jeszcze do tego odbierać humor, prawo do humoru?! Wszak humor decyduje o prężności i przetrwaniu, ciągłe uświadamianie sobie upokorzenia, bezsilności i cierpienia bynajmniej duchowo nie upiększa, lecz degeneruje: człowiek rozpaczający, że codziennie „duchowi jego dają w pysk” stałby się w końcu histerycznym kłębkim kompleksów i masochizmów, broni się przed tym skutecznie, lecz naskórek mu grubieje — niestety nad Wisłą nie miejsce dziś i nie czas na wydolikacenie, a pięknoduchów za wielu nie mamy. Tak działa instynkt psychiczny samoobrony, a tu komentator z *Kultury* chciałby go zniweczyć, proponując codzienne narodowe samobiczowanie. Czy to nie nadmierny egocentryzm człowieka patrzącego z oddalenia, a więc skłonnego do widzenia wszystkiego w schemacie czarno-białym?

Nie ma w Polsce dzisiaj zbiorowego poczucia rozpacz, ani — tym mniej — winy. Uważa się po prostu, że dzielimy „z łaski głupich Szkopów” los całej wschodniej połowy Europy, która na skutek wojny wpadła jak śliwka w piasek w ręce sowieckie, w sowiecki ustrój. Naszej winy nie ma, toć wpadli i sami Niemcy, tacy mocni, szumni i dumni, nie papierowy przecież tygrys, a stracili pół kraju i stolicę. Nie ma więc co biadać, ani sentymalizować, skoro wszyscy wpadli po społu. „Sytuacja jest groźna ale nie poważna” — jak miał powiedzieć wielki rabin Wiednia na wieść o wkraczaniu Hitlera. Istotnie, wiadomość, że wariaci obejmują rządy na pewno nie może być poważna. „Śmiej się pan z tego” — jak mówi Wiech.

Komizm totalizmu, poczucie komizmu ustroju — to ważna odtrutka, kto wie czy nie ważniejsza od patosu i tragiczności,

a na pewno w krajowych warunkach łatwiej dostępna. Totalizm gdy mordował, nie był śmieszny, hitlerizm czy stalinizm nie był śmieszny, bo potworny; natomiast totalizm jako „normalny” prawodawca i moralizator bywa nieodparcie komiczny. Komiczna jest rytualnie na co dzień wymagana obłuda, przemilczanie przeszłości, wymazywanie z dnia na dzień nazwisk wczorajszych wodzów, komiczna jest cenzura ukrywająca pilnie swe istnienie, komiczna jest prasa, gęgająca absurdalnym żargonem i w kółko rzeczy nic wspólnego nie mające ze znaną wszystkim rzeczywistością, komiczne są wybory, w których wybiera się już wybranych, komiczne są zebrania, gdzie ludzie jednogłośnie uchwalają wnioski i rezolucje, w które absolutnie nie wierzą, komiczne są dyskusje o naprawianiu błędów gospodarczych, w których to dyskusjach usiłuje się leczyć zewnętrzne objawy choroby, pomijając ściśle znane powszechnie jej przyczyny, tkwiące w samych założeniach systemu, komiczne jest rygorystyczne stosowanie ekonomicznego rachunku zysków i strat w skali przedsiębiorstwa a zupełne ignorowanie tegoż rachunku w skali państwa, komiczne jest wymaganie wyższych studiów od każdego inżyniera lecz stawianie na czele życia tak politycznego, jak i techniczno-inwestycyjnego ludzi bez żadnych studiów — i tak dalej i dalej. Wszystko to staje się światem upiornego nieco komizmu z Mrożka, Mrozek to nie fantasta, lecz wielki realista a „mrożkizm”, to u nas jeden z najpopularniejszych terminów i zaczyn wszelkich poczyniń satyrycznych. Bo autosatiry w skali masowego odbiorcy jest u nas dużo, choć z daleka tego nie widać. Nie tylko oficjalne teatrzyki satyryczne jak „Pod egidą” czy „Bristol”, lecz mnóstwo codziennych wręcz audycji radia i telewizji przepełnionych jest mrożkowskim śmiechem z samych siebie, wystarczy wskazać „Podwieczorki przy mikrofonie”, telewizyjne rewie, serial „Czterdziestolatek”, sołtysa Kierdziołka, niezliczone piosenki, a choćby niezauważony za granicą, bo za głęboko osadzony w naszej specyfice, aluzyjny film Wajdy „Polowanie na muchy”. Nie ulega wątpliwości, że Polacy często śmieją się z samych siebie, czemu bardzo się dziwią przybywający do nas Czesi lub Rumuni, zdumieni panującą nad Wisłą atmosferą autożartów, bo u nich się z samych siebie nie żartuje, uznano by to za nihilizm czy masochizm. Czech czy Węgier nie siedziałby za to bez protestu w natłoczonej i śmierdzącej knajpie, Polak siedzi, ale się śmieje — tam sowietyzacja duchowa, tu materialna. To, że się śmiejemy dowodzi, że nie ugodzili nas skutecznie w samo serce, że nie zmienili nam hierarchii pojęć, że bzdura nie przestała być dla ludzi bzdurą. A jakże celne są dowcipy — sentencje. Dowcip „managerski”: w socjalizmie z poświęceniem i skutecznością przezwyciężamy trudności, których nie ma w innym ustroju. Góralski: zniszczyć to oni nas nie zniszczą, ale co nas zanudzą to nas zanudzą! Partyjni: w partii to przeciwnie niż w Kościele — więcej jest praktykujących niż wierzących. Nawet kontestatorzy polscy, ci, co mają w zasadzie przypominać narodowi o upokarzających, nieraz tragicznych poniżeniach bywają

weseli i żonglujący dowcipem, przykładem Adam Michnik (zapytany na Zachodzie, czy polscy kontestatorzy są lewicowi, odpowiedział: w każdym razie bardziej od Breżniewa!).

Oczywiście — obraz ten ma swoje cienie, swoje „przegięcia”, każda przesada jest szkodliwa a ja mogę wtedy być sklasyfikowany jako *advocatus diaboli*. Nieustający „humorek” może irytować i brzydzić, śmiech z siebie wyrodniej, przewartawiając się nieraz w zubożenią, rechoczącą wieprzowatość, w „czerep rubaszny”, w apologię cynizmu. Mówię znanemu dziennikarzowi, że pisze nieprawdę, on mi na to: „A co pan myślał?!” Tenże dziennikarz, gdy mu wskazuję, jak doskonale napisał coś w *Kulturze* Leopold Unger, replikuje: „Panie, a kto by nie pisał dobrze, gdyby uciekł?! Nie sztuka pisać, kiedy pozwalają”. Lecz cwaniactwo i cynizm to też forma duchowej samoobrony i trudno kogoś sądzić, nie siedząc w jego dalekiej skórze. W każdym razie wydaje mi się, że dla higieny narodowego życia psychicznego od tego, co mówią odcięci od masowych środków przekazu kontestatorzy nie mniej ważne, czy zgoła ważniejsze, jest to co się przemyci w oficjalnych „publikatorach”. Sprawa zresztą jest złożona, czego nie chcą uznać niektórzy nieugięci moralisci na emigracji, stąd objawiana częstokroć niechęć do wypadków nie prostych, perfidnie zamaskowanych, zaszyfrowanych czy hamletycznych, do „podwójnego myślenia” jak u Bratnego, Brylla lub Machejka. A przecież takim właśnie wypadkom poświęcił kiedyś z gustem swój „Zniewolony umysł” Czesław Miłosz. Ale emigracja w zasadzie tego nie lubi, chce mieć obraz czarno-biały i być nosicielem wymagowanej polskiej czystości. Myślę, że pozaempiryczny pryncypializm, stawiający psychice krajowej postulaty z zewnątrz jest groźną bzdurą, skoro wszakże nie sposób przebieść Polski za granicę. Jeśli przyjmijemy, że nad Wisłą jest samo gówno a dobre mamy tylko nad Sekwaną czy Tamizą, to po cóż by było walczyć o Polskę? I właściwie na jakiej „bazie”?!

Tak się złożyło, że „sprawie polskiej” poświęciłem swe całe psychiczne życie i dlatego lepiej się czuję tam niż tu. Bo tam, w Kraju, są miliony, które wyczuwają na własnej skórze ową aktualną „sprawę polską”, a co najmniej tysiące, z którymi dogadać się mogę dokładnie na temat totalizmu, jego komizmów, paradoksów i absurdów. Tu natomiast, na Zachodzie, mam miliony Anglików, Francuzów, Amerykanów etc., którzy nic z tamtego nie rozumieją, których kiwali i nabierali jak chcieli kolejno Stalin, Chruszczow i Breżniew, każąc im wierzyć, że czarne jest białe a goły król jest wspaniale ubrany. I mam też, prawda, małe grupki przyjaciół z dawnej emigracji i dawnej inteligencji, z którymi na zasadzie przyzwyczajenia, wspomnień i sentymentów zachowaliśmy jeszcze trochę wspólnego języka. Gdzież jednak jest mądrzej, poważniej, inteligentniej: czy tu, wśród milionów doświadczonych (i to ciężko) cwaniaków, co to jadali z Drzewa Wiadoomości Złego i Dobrego i doskonale wiedzą jaka jest moda psychiczna w każdym z dwóch światów — żonglować nią potrafią na co dzień. Tylko aby nie kaźcie im, żeby byli pate-

tyczni, nie kaźcie przelewać łez i ciągle biadać nad rozlanym (nie przez nich) mlekiem, bo wtedy, gdy wezmą rzecz na serio, dopiero staną się śmieszni. Chwałę ich, takich jacy są — inaczej, gdybym dla nich nie miał żadnego uznania, to bym nie widział powodu o nich walczyć i straciłbym cel w życiu. Chwałę więc Polskę Ludową, bo tam jest mój cel: na pochwałę zasługuje ten, co dostaje w kość, co borykając się z absurdem chce żyć normalnie i nie traci humoru, a nie ten, co rozpoczyna tragiczne jeremiady gdy mu spadnie waluta lub zdrożeje ropa. W Polsce od roku 1939 zmieniono walutę z dnia na dzień co najmniej 5 razy i wszyscy kolejno zostawali żebrakami — a żyją i nie dają się. O taryfę ulgową dla nich, nie dla zachodnich wygodników wnosi

KISIEL

Cyrulik Warszawski

Wołanie? Na puszczy? Raczej okrzyk Beaumarchais „Śmiejmy się, kto wie czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie!”, który przed wojną zdobił stronicę tytułową *Cyrulika Warszawskiego*. Z dopiskiem w nawiasie, o ile nas pamięć nie myli, pod nazwą pisma: „Goli i strzyże co tydzień”.

„Mydli i goli” nowego Cyrulika Warszawskiego odbywa się z takim fajerem, że klient, na fotelu (w tym wypadku *Kultura*) musi przerażonym okiem wodzić za błyskawicznymi wywiasami brzytwy. Ciachnie podgardle, czy pozwoli jeszcze trochę pożyć? Nie ciachnął, zaciął tylko lekko z kisielową gracją i natychmiast pomazał piekącym ałunem. Tak mu się przynajmniej zdaje, że piekącym. Przypuszczalnie zdaje mu się również, że w ogóle zaciął. Bo w gruncie rzeczy namydlł, namydlł, obłożył twarz górą mydła i wywija brzytwą w próżni. He, he, hi, hi.

W felietonie naszego warszawskiego golibrody padają zarzuty straszne. Że wzywamy rodaków w kraju do „narodowego samobiczowania”. Że zżera nas „egocentryzm ludzi patrzących z oddalenia i skłonnych do widzenia wszystkiego w schemacie czarno-białym”. Że chcemy być „nosicielami wyimaginowanej polskiej czystości”. Że uprawiamy „pozaempiryczny pryncypializm”. A tymczasem prawdziwa krajowa „empiria” to jedna olbrzymia beczka śmiechu. „Śmiej się pan z tego”, jak mówi Wiech. „Sytuacja jest groźna, ale niepoważna”, jak powiedział wielki rabin Wiednia na wieść o *Anschluss*’ie. Polacy w kraju pokładają się ze śmiechu. Śmieją się z głupich rządów. Śmieją się z samych siebie. Śmieją się z Rosji. Śmieją się z Zachodu. Śmieją się

z całego świata. I w prawdziwej „empirii”, której tu nie znamy i nigdy nie zrozumiemy, jest to śmiech ożywczy, uzdrawiający, niepodległy — coś w rodzaju prywatnego lekarstwa i zarazem tajnej, niezawodnej i ogólnonarodowej rakiety śmiechonośnej. Kiedyś wyprowadzono od Pana Jowialskiego rodowód śmiechu szlacheckiego. Teraz mamy kisielową wersję ludowego śmiechu poszlacheckiego.

Dajmy spokój „empirii”, którą literaci zgłębiają dość często na kawiarnianych seansach spirytystyczno-humorystycznych, w półmroku „zaklętych rewirów”, podczas domowych wizyt i rewizyt, w każdym razie w obrębie „środowiska”: może jednak nie wszyscy Polacy w kraju śmieją się ze wszystkiego i z samych siebie; może jednak są i tacy, którym wcale nie do śmiechu; może jednak pogromcy „pozaempirycznego pryncypializmu” wystawiają sobie nie najlepsze świadectwo wiarygodności, szafując tak hojnie słówkami „wszyscy” i „cały”. Dajmy skromnie „empirii” spokój dlatego po prostu, że zbyt wielu powołuje się na nią w zbyt różny sposób; i że dopóki nie może ona być swobodnie zbadana i wysłuchana, zdrowy rozsądek doradza ostrożność. Więc o co nowemu Cyrylikowi Warszawskiemu poszło, co poderwało go na nogi i wprawiło w golarską pasję? Czytelnikowi krajowemu, przygnębionemu lekturą jednego numeru *Kultury*, odpowiedzieliśmy że przygnębiający jest sam przedmiot a nie gorsze czy lepsze lustro. Tytułem przykładu wymieniliśmy *Czarną księgę cenzury PRL*. Dlaczego czarną? — mógłby tu zapytać Kisiel. Przecież boki zrywać, turlać się ze śmiechu! I miałby częściową rację. Można istotnie śmiać się do rozpuku, oglądając ten monument reżymowego kretynizmu. Lecz śmiech zamiera na ustach, gdy się pomyśli nie o gwoździach w mózgu „operatorów” cenzury, lecz o umysłach poddawanych codziennie od trzydziestu lat jej operacjom; nie o głupich nieuleczalnie „chirurgach społecznych” (żeby powiedzieć tylko tyle), lecz o systematycznie ogłupianych i amputowanych pacjentach. Znamy ludzi w kraju, i to obytych z praktykami reżymu, dla których lektura *Czarnej księgi* była wstrząsem i śmiechem przez łzy. Wolno zatem chyba zwrócić uwagę, że jad przygnębiaenia przenika ciurkiem do kisielowej beczki śmiechu nad Wisłą ze źródeł, które *Kultura* stara się jedynie w miarę swych możliwości uczciwie opisywać i analizować, i w miarę swych sił zwalczać.

Lojalność nakazuje przyznać, że Kisiel dostrzega niebezpieczeństwo „przegięcia” roześmianej od ucha do ucha Polski, zwyrodnienia zdrowego śmiechu poszlacheckiego w „rechoczącą wie-przewatność”, w „apologię cynizmu”. I znajduje na to niebezpieczeństwo oryginalną odtrutkę. Okazuje się mianowicie, że w tragiczność nieobecna nad Wisłą wpada się natychmiast nad Sekwaną czy Tamizą, zarówno dzięki Zachodowi w ogólności jak dzięki emigrantom polskim w szczególności. Wystarczy tedy wyskoczyć co jakiś czas za granicę, zaszczepić się przeciw niebezpieczeństwu „przegięcia” i wrócić do pękającej ze śmiechu ojczyzny. Recepta jest bardzo dobra, a dla emigracji polskiej ma tę

dodatkową i wzniosłą zaletę, że wytycza jej jasny i zbożny cel w pomocniczej służbie krajowi. Ma jednak również dwie wady. Po pierwsze, nie każdy zanadto rozrechetany Polak w kraju może sobie pozwolić na tak utrudnioną przez władze i kosztowną kurację elektroszokową. Po drugie, nie da się z góry wykluczyć że przy dłuższych pobytach za granicą „przejęcie” okaże się już nie do odgięcia. O tych dwóch wadach Kisiel powinien pamiętać.

Nowości wydawnicze

TOM 285 — KAZIMIERZ BRANDYS

SERIA « BEZ CENZURY »

NIERZECZYWISTOŚĆ

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PISARZA.

Str. 128.

Cena F. 25,00.



TOM 286 — WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

SATYRA WIERSZEM NA APARAT PARTYJNY I UB.

Str. 72.

Cena F. 20,00.



TOM 287 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI

Zawiera m.in. prace: Kazimierza Okulicza — *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcika — *Na trzydziestolecie wyborów*; Pamiętniki: T. Katelbacha i A. Mühlsteina; W. W. Kułskiego — *Pamiętnik b. polskiego dyplomaty (dok.)*; W. Krzyżanowskiego — *Lata bukareszteńskie (3)*; P. Korca — *Przyczynę do dziejów Powstania Warszawskiego 1944*; M. Malinowskiej — *Cztery listy Gomułki*; POLEMIKI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

Książki

Czy istnieje literatura „dysydencka”?

Pytanie może wydawać się zbędne: w listopadzie i grudniu 1977 roku Biennale w Wenecji poświęcone było kulturze dysydenckiej, tzn. odmiennej, nieoficjalnej kulturze — literaturze, plastyce, kinematografii — Europy Wschodniej. Biennale weneckie było jakby oficjalnym uznaniem i zjawiska i terminu. Jednak także w Wenecji główna sprawa nie została wyjaśniona. Alberto Moravia mówił: w Związku Sowieckim są trzy literatury — oficjalna, podziemna i — na wygnaniu. W publicystyce ostatnich lat mówi się o „dwóch literaturach sowieckich”, o „wolnej” i „oficjalnej”; *samizdat* przeciwstawia się *gosizdatom*. Brak jasnego sformułowania istoty literatury „dysydenckiej” jest przyczyną braku nazwy, a ściślej — ich nadmiaru. Nazwa przyjęta w Wenecji i rozprzestrzeniająca się coraz bardziej nie została nadana przez pisarzy sowieckich, czyli samych „dysydentów”. Słowo to gdy pojawiło się na Zachodzie, zostało podchwyczone przez władze sowieckie, przypuszczalnie z uwagi na jego cudzoziemskie brzmienie. Obcość słowa miała zwiększać hańbę piętna, które winno brzmieć jak przezwisko. Historia zna wypadki, kiedy to buntownicy zgadzali się na przezwiska nadane przez wrogów — *sansculottes*, *guez'owie* — i zmieniali je w zaszczytne przydomki.

W danym wypadku jednak brak nazwy świadczy o braku ogólnego kryterium, które pozwalałoby określić czym jest literatura „dysydencka”.

Dla zrozumienia tego jednego z najbardziej charakterystycznych zjawisk społeczeństwa sowieckiego konieczny jest krótki ekskurs historyczny.

Przedrewolucyjna Rosja nie znała tego, co dziś nazywa się literaturą „dysydencką”. Istniały polityczne wydawnictwa emigrantów, istniały zakazane utwory literackie. Jeśli wierzyć Heglowi, który twierdzi, że ilość przechodzi w jakość nie bez znaczenia jest fakt, że po rewolucji 1905 roku i zelżeniu cenzury

wszystkie poprzednio zabronione utwory rosyjskich pisarzy zostały opublikowane i zmieściły się w jednym tomie. Dziś trzeba by biblioteki.

Rewolucja październikowa dokonała się w państwie, które według świadectwa Lenina w kwietniu 1917 roku miało największą wolność na świecie. I od pierwszych dni rewolucji partia, która doszła do władzy, zaczęła politykę likwidowania swobód we wszystkich dziedzinach życia. Nie na ostatnim też miejscu w dziedzinie literatury. Dekret o wprowadzeniu cenzury — chwilowo, ma się rozumieć, do chwili wzmocnienia władzy sowieckiej — zostaje wprowadzony w 10 dni po przewrocie październikowym. Jeszcze bardziej złowieszczym znakiem było wmieszanie się wodza rewolucji w sprawy literackie.

Historycy nie doszli jeszcze do formuły, wykazującej bezpośrednią zależność pomiędzy stopniem zainteresowania głowy państwa literaturą, a stopniem wolności jakim dysponują pisarze. Formuła taka byłaby w najwyższym stopniu pouczająca.

Zachowały się dokumenty, będące śladami kierowniczej roli Mikołaja I w dziedzinie literatury. Jednak Mikołaj Pawłowicz był amatorem, interesującym się raczej pojedynczymi pisarzami, niż literaturą w ogóle, choć pewne idee na temat sztuki miał i on. Następcy Mikołaja I tracą zainteresowanie poezją i prozą całkowicie. Do tradycji mikołajowskich wracają dopiero wodzowie partii bolszewickiej, którzy sporo napracowali się piórem i uważali się za znawców — jak wszyscy marksiści — także w dziedzinie literatury. Borys Zajcew wspomina w swych pamiętnikach, jak zwróciwszy się do przewodniczącego Mossowietu L. Kamieniewa z prośbą o uwolnienie aresztowanego pisarza usłyszał: jak nazwisko? Zajcew odparł: Andrej Sobol. — A — powiedział znawca literatury u władzy — Sobol. Kiepski pisarz, niech posiedzi. Łatwo odnaleźć echo żandarmskich wrzasków w niedawno wydanych listach Lenina do Łunaczarskiego i Pokrowskiego w związku z ukazaniem się poematu Majakowskiego „150 milionów”. Rozgniewany futurystyczną wizją światowej rewolucji Lenin zapytuje: „Czy nie należy wypłenić?” — i sam odpowiada sobie „Należy wypłenić!”.

Od razu okazało się, że plewić nie trudno. A. W. Łunaczarski uzasadnia teoretycznie potrzebę — i konieczność — plewienia w 1921 roku: „Idea rewolucji w większości umysłów jest trwale związana z ideą wolności... Tymczasem żadna rewolucja nie stwarza rządów wolności i nie może ich stwarzać... Nawet rewolucja socjalistyczna... zmuszona jest wzmocnić ducha swoistego militarysty, wzmocnić dyktaturę władzy państwowej i nawet, by tak się wyrazić, jej charakter policyjny” (*Piecząt i rewolucja*, Nr 1, 1921).

Artykuł Łunaczarskiego nazywał się „Wolność książki a państwo” i głosił konieczność niewoli książki w państwie proletariackim. Nowa niewola nie zamierzała ograniczyć się do zakazów — a właśnie w tym czasie ukazał się już pierwszy indeks

książek zakazanych, do którego wszedł i Platon i Lew Tołstoj — pragnęła też zarządzać pisarzami. Były tu jednak pewne trudności.

Główna trudność polegała na tym, że działał jeszcze rozpęd wolności literatury rosyjskiej. Pierwsze dziesięciolecie XX-go wieku odznaczało się największą wolnością w całej historii tej literatury. W tym też leży wyjaśnienie jej niesłychanego rozkwitu, tu było źródło „srebrnego wieku”. Zmiana literatury wolnej w podporządkowaną nie była rzeczą prostą. Nie istniał jeszcze aparat podporządkowywania, dopiero zaczynała się technika kierowania sztuką. Wiktor Szklowski z charakterystycznym dlań w początku lat 20-tych darem lakonicznych sformułowań — zanikłym później bezpowrotnie — pisał w 1923 roku: „Największym nieszczęściem sztuki rosyjskiej jest to, że nie dają jej poruszać się w sposób naturalny, tak jak porusza się serce w ludzkiej pierś: regulują ją, jak ruch pojazdów” („Ruch konia”).

Jewgienij Zamiatin, którego znaczenie dla literatury rosyjskiej nie zostało jeszcze w pełni docenione, stwierdził jako pierwszy, że literatura może być tylko — mówiąc językiem dzisiejszym — „dysydencka”. Zamiatin nazywa ją heretycką. „Prawdziwa literatura może istnieć tylko tam, gdzie tworzą ją nie posłuszni i przykładni urzędnicy, a szaleńcy, odszczepieńcy, heretycy, marzyciele, buntownicy”. Napisany w 1921 roku artykuł „Obawiam się” będzie stanowił prorocze ostrzeżenie. Ostrzegał on po pierwsze przed tym, że „posłuszna, przykładna” literatura zamienia się w papier gazetowy, który „dzisiaj czytają, a jutro zawijają weń mydło”. Po drugie ostrzega przed tym, że państwo porewolucyjne nie zmienia w istocie niczego, skoro żąda od literatury „służby” w interesie klasy panującej. O tym niebezpieczeństwie, grozącym „z lewa” ze strony rewolucjonistów, którzy doszli do władzy, mówi w swym ostatnim publicznym wystąpieniu Aleksander Błok: „U łoża śmierci Puszkina rozlega się dziecięcy szczebiot Bielińskiego. Szczebiot ten zdawał się nam całkowicie odmiennym i zabójczym dla grzecznego głosu hrabiego Benkendorfa... Byłoby zbyt bolesne dla nas wszystkich, gdyby się okazało, że — jest inaczej” (*Dzieła zebrane* w 8 tomach, t. 6, str. 166).

Dziecinny szczebiot Bielińskiego zmienia się w okrzyk, komendę, w obowiązującą dyrektywę — jak pisać. Szczególną cechą lat 20-tych w historii literatury sowieckiej jest to, że coraz czynniejszy udział w walce z wolnością zaczynają brać pisarze. Ochotnicy w armii Atylli. „Daliśmy Bułgakowowi przez niedopatrzność możność zakwilić pod smak burżuazji — i zakwilił. Ale więcej nie damy”. To Majakowski potępia inscenizację „Białej gwardii” w MChATie, w październiku 1926 roku. Przyjaciel i mistrz Majakowskiego Osip Brik, recenzując powieść Ju. Oleszy „Zazdrość” kończy artykuł słowami: „Nie czas ubolewać. Trzeba od razu dobić” (*Nowyj LEF*, Nr 7, 1928).

Inny krytyk oświadcza, że przedstawicielom szkoły formalistycznej za „systematyczną wrogą robotę ideologiczną... należy się

kara ideologicznego rozstrzelania" (M. Helfand, *Piecząt i rewolucja*, Nr 2, 1930). Krytyk i cenzor w jednej osobie, S. Ingułow, precyzuje: „Krytyka winna mieć konsekwencje: aresztowania, procesy sądowe, surowe wyroki, fizyczne i moralne egzekucje” (*Krasnaja niwa*, Nr 19, 1928).

Procesowi nasilania się pogroźek — które bardzo prędko przestają być tylko pogroźkami — towarzyszy proces dobrowolnego oddawania się pisarzy w niewolę. Śpieszą się, nie czekając aż zostaną zmuszeni siłą, by wykorzenić w sobie wszelkie przejawy wolności, nagiąć się i podporządkować. „Ale ja korzystałem się, przydeptując gardło własnej pieśni” — obwieszcza z dumą Majakowski. Pisarze śpieszą się by paść na kolana, by pokajać się za prawdziwe i nieprawdziwe grzechy, by się ukorzyć. Niegdyś rosyjska inteligencja ze zgorszeniem przyjęła wezwanie Dostojewskiego — „ukorz się, dumny człowieku!” wzywające do ukorzenia się przed Bogiem. Teraz sowiecka inteligencja pilnie korzy się sama i uczy korzyć się drugich. „Wiem — stwierdza Ju. Olesza — że pisarz winien być wyrazicielem ideologii wschodzącej klasy”. Borys Pasternak bardzo subtelnie nazwał ten proces „radosnym”: „Idealista-inteligent drukował i rysował plakaty, by wyrazić radość z racji swego zmierzchu”. Inteligencja radośnie przyspiesza swój zmierzch. Jej marzeniem jest — według słów N. Tichonowa — stać się „łagodnym i zwinym, prostym jak gwoździe żelazne”.

W drodze do zostania „gwoździami” należało koniecznie wyswobodzić się z licznych burżuazyjnych „przesądów”. Inżynier Szpektorow, bohater powieści W. Kawierina „Artysta nieznan”, formułuje nową etykę: „Moralność? Nie mam czasu, by zastanawiać się nad tym słowem. Jestem zajęty. Buduję socjalizm. Ale gdybym musiał wybierać pomiędzy moralnością i spodniami, wybrałbym spodnie”. Wybrawszy „spodnie”, należało iść dalej. M. Gorki oświadcza w liście do E. Kuskowej: „...Szczerze i niewzruszenie nienawidzę prawdy, która w 99 procentach stanowi świństwo i kłamstwo”. Gorki kategorycznie protestuje „przeciw ośłupianiu i zaślepianiu ludzi wstrętnym, trującym kurzem pospolitej prawdy” (*Nowyj żurnał*, Nr XXXVIII). W liście tym, datowanym 22 stycznia 1929 roku, położone zostają podstawy realizmu socjalistycznego: potępienie prawdy, jako „pospolitej”, „trującej”, „obskurnej” i apologia „prawdy”, której jeszcze nie ma, „którą człowiek tworzy sam”.

Pod koniec lat 20-tych literatura sowiecka w swej większości odżegnuje się od „starej” moralności, od „pospolitej” prawdy i pod egidą autorytetów Gorkiego i Majakowskiego przechodzi całkowicie do obozu zwycięzców. Garstka pisarzy — M. Bułgakov, A. Płatonow, M. Zoszczenko, O. Mandelsztam — nadal poszukuje prawdy swego czasu, pozostając heretykami. Ponadto część pisarzy szuka możliwości przejścia do obozu zwycięzców przy wyproszeniu sobie pewnych praw. „Dajcie nam... choćby pozór wolności, możliwość wyboru... I my spróbujemy dostosować

się, wejść w życie” — prosi Marietta Szaginian (*Pisarz jest chory*, 1927). Zdaje się jej, że prosi o bardzo niewiele, o bardzo małe wynagrodzenie za obietnicę wiernej służby i przystosowania się. Prosi o danie sztuce „możności oglądania proroczych snów” i by nie stano nad nią „dzień i noc ze świecą w rękę”.

Najlepsze sformułowanie uczuć tej grupy pisarzy znajdujemy w sztuce N. Erdmana *Samobójca*, nigdy nie wystawionej i nie opublikowanej w Związku Sowieckim. „Odwiedzamy się wzajemnie — zwraca się do zwycięzców bohater sztuki Podsekalnikow — i powiadamy, że trudno nam żyć. Dlatego, że łatwiej nam żyć, gdy mówimy, że nam trudno żyć. Na miłość Boską, nie odbierajcie nam ostatniego środka do życia, pozwólcie nam mówić, że nam trudno żyć. No, choćby szeptem: nam trudno żyć. Towarzysze! Proszę was w imieniu miliona ludzi, dajcie nam prawo do szeptu”.

Ale lata 20-te, kiedy jeszcze ten i ów miał prawo do szeptu kończyły się. Pobiedonosnikow w *Pluskwie* Majakowskiego głosi dewizę nowej sowieckiej sztuki: „Nie drażnić”. Pieścić ucho i oko. Ale nie drażnić. Każda próba, by choć w minimalnym stopniu odzwierciedlić rzeczywistość — drażni. Każdy szept drażni. Zupełnie oczywiste też, że od początku lat 30-tych nie wolno było mówić nawet szeptem, nawet do siebie: źle nam się żyje. Od powieści, nazwanej niegdyś przez Stendhala lustrem przy gościńcu żądano — jak od całej literatury, jak od sztuki w ogóle — by była lustrem przy autostradzie, którą planowano zbudować za dziesięć lat.

Rok 1934, stworzenie Związku Pisarzy Sowieckich, to ważna data w historii literatury. Na I-szym zjeździe pisarzy sowieckich zostaje proklamowane oficjalne upaństwowienie literatury. Partia odbiera prawo kierowania literaturą pośrednikom i bierze to zadanie bezpośrednio na siebie. Znaczenie tego przewrotu polegało nie tylko na oficjalnym ogłoszeniu socrealizmu metodą obowiązującą. Przewrót ten oznaczał zmianę stosunku do literatury.

W 1934 roku I. Ilf i Je. Pietrow ogłosili w *Prawdzie* felieton „Miłość winna być obustronna”. Pisarze stwierdzali: „Należy nie tylko kochać sowiecką władzę, należy też czynić tak, by i ona was pokochała”. Rodziła się formuła, określająca stosunki pomiędzy literaturą i sowieckim państwem. Po rewolucji żądano „uznania władzy sowieckiej”. Następnie, do końca lat 20-tych było konieczne — i wystarczające — kochać władzę sowiecką. Od początku lat 30-tych to już nie wystarczało. Należało ubiegać się o miłość władzy sowieckiej. A to okazało się sprawą trudną. Tak bezgranicznie kochający władzę sowiecką poeta, jak Demian Biednyj, skarży się gdy zażądano od niego błyskawicznej zmiany poglądów: „W końcu nie jestem harmonistą, by od razu zagrać inną melodię”.

Jeśli nawet Demianowi Biednemu, który całe życie śpiewał pod muzykę partii, trudno było „zagrać od razu inną melodię”, to łatwo sobie wyobrazić trudności tych pisarzy, którzy nie mieli

praktyki Demiana. Ubiegając się o miłość „władzy sowieckiej” konieczne było nie tylko „zmienianie poglądów”, ale też robienie tego błyskawicznie.

„Władza sowiecka”, tzn. partia, jest kochanką nie tylko wymagającą, ale i bardzo kapryśną. Jak Kleopatry. Literatura, pisarze winni zgadywać jej zachcianki. „Sztuka, mówi jedna z postaci *Samobójcy*, jest piękną niewolnicą w haremie proletariatu”. Jeśli zmienić tu słowo „proletariat” na „partia”, stanowi to najlepsze określenie stosunków, jakie wytworzyły się na początku lat 30-tych, a przygotowane zostały jeszcze w latach 20-tych. Stosunków między władzą a literaturą. Formułę ich daje *Zawieść* Ju. Oleszy: przedstawiciel władzy, członek rządu i przewodniczący trestu żywnościowego Andriej Babiczew zabiera z ulicy pijaniutkiego poetę Nikołaja Kawalerowa i układa na swoim tapczanie; rozgniewawszy się, Andriej Babiczew separuje Kawalerowa od łoża, przeganiając go z tapczanu.

Forma tych stosunków i konieczność zdobywania względów władzy sowieckiej doprowadziły do tego, że zakres literatury zabronionej i potępionej rozszerzył się znacznie. W latach 20-tych literatura — jak to określił Je. Zamiatin — dzieli się na oficjalną i heretycką. Ale w latach 30-tych, gdy kryterium staje się „miłość władzy sowieckiej”, zdolność do błyskawicznej „zmiany melodii” i kajanie się bez namysłu za odchylenia od linii generalnej — wszystkie utwory, które straciły miłość partii lub jej nie pozyskały, stają się tym samym heretyckimi, zabronionymi i prześladowanymi.

Powstaje sytuacja w której zamiar pisarza przestaje grać rolę. Pisarz może stać się, i często staje się, heretykiem mimo woli.

Zachowanie się bardzo wielu spośród sowieckich pisarzy w latach „wielkiego terroru” — aktywny udział w prześladowaniach, gromkie przyklaskiwanie rozstrzeliwaniom i aresztom — nie uratowało setek z nich od śmierci, ani tysięcy książek od zakazu.

Po śmierci Stalina rodzi się nadzieja. Pierwszym krzykiem noworodka był artykuł Władimira Pomerancewa „O szczerości w literaturze” (*Nowyj Mir*, Nr 12, 1953). Pomerancew radził powrócić w literaturze do dawnych pojęć: szczerości i wyznania. Radził traktować prawdę jako najważniejsze kryterium literatury. Żądanie to było nie tylko herezją, ale buntem, podważającym fundamenty całej budowy. Dlatego też odrzucono je zdecydowanie, a autora — nie mniej zdecydowanie — potępiono.

Literatura odpowiada na załamanie się nadziei „samizdatem”. Te utwory, których nie przyjmują wydawnictwa państwowe, są przepisywane ręcznie i rozpowszechniane nielegalnie. W latach 70-tych „samizdat” zaczyna nazywać się literaturą „dysydencką”.

Nie ma wątpliwości, że pojawienie się „samizdatu” — swoistej alternatywy — szczególnie po sukcesach niektórych jego pozycji

na Zachodzie, oddziaływało na oficjalną politykę wydawniczą. Władze zaczęły — do czasu — przymykać oko i przepuszczać do literatury cenzurowanej pewne szczegóły i pewne aluzje. Nie ma też wątpliwości, że „samizdat” oddziaływał na wszystkich pisarzy sowieckich, stając się miarą tego co możliwe i dopuszczalne. Lecz „samizdat” mógł trochę tylko skorygować jedyne kryterium, którym kierują się władze sowieckie w dziedzinie druku — względy polityczne, dzisiejszą linię generalną. Kryterium pozostaje „woluntarystyczne”, jak lubi to określać *Prawda*. Czyli — brak go.

Dlatego to, ze względów politycznych, w gorączce rozprawy na szczytach, stał się możliwy cud publikacji „Jednego dnia Iwana Denisowicza”. Względami politycznymi wyjaśnić można przekształcenie Siergieja Jesienina — indywidualisty i buntownika — w jednego z prekursorów socrealizmu. Równocześnie „W okopach Stalingradu”, książka będąca do dziś najlepszą sowiecką powieścią wojenną i przez dziesiątki lat należąca do programów szkolnych jest obecnie zabroniona, ponieważ zachowanie się Wiktoru Niekrasowa przestało podobać się „władzy sowieckiej”.

Arkady Bielinkow określił socrealizm jako „literaturę, która podoba się kierownictwu w przerwach między jednym a drugim plenum”. Parafrazując autora „Jurija Oleszy” można by powiedzieć, że „literatura dysydencka” to literatura, która nie podoba się sowieckim przywódcom w przerwach między jednym plenum a drugim.

„Literatura dysydencka” jest przede wszystkim określeniem negatywnym, przez zaprzeczenie: to książki, których nie lubi władza sowiecka, albo — pisarze, których nie lubi władza sowiecka lub lubić przestaje.

Brak kryterium, woluntaryzm, polityczne kombinacje przywódców — wszystko to doprowadziło do tego, że w skład „literatury dysydenckiej” weszły książki, napisane z nadzieją na oficjalną publikację. Borys Pasternak przekazał *Doktora Żiwago* redakcji *Nowego Mira*. W wyniku zadziwiającego zbiegu okoliczności momentu politycznego z istnieniem rękopisu opublikowane zostały książki: *Kustosz* Ju. Dombrowskiego, *Na Irtyszu* S. Załygina, a nawet *Mistrz i Małgorzata* M. Bułgakowa. Do „literatury dysydenckiej” mogą być zaliczone też książki, w których — jak np. w opowiadaniach W. Szukszina — cenzura, powodowana chęcią „upuszczenia pary”, pozwala powiedzieć szeptem „trudno nam się żyje”, najczęściej w czasie przeszłym: „trudno nam się żyło”. Ale do „dysydenckiej literatury” należą też — nieliczne — książki, napisane bez myśli o cenzorze zewnętrznym i wewnętrznym, zaplanowane jako heretyckie. To przede wszystkim „Archipelag GULag”, to wspomnienia Nadieжды Mandelsztam i utwory Andrieja Siniawskiego.

Wielość elementów literatury nieakceptowanej przez „władzę sowiecką”, zmienność jej składu, spowodowały powstanie literatury „pseudodysydenckiej”.

Niegdyś mówiono, że łyżką dziegciu można zepsuć beczkę miodu. Obecnie próbuje się niekiedy poprawić beczkę dziegciu łyżką miodu. Ponadto pojawiają się teorie, twierdzące, że właśnie taka proporcja dziegciu i miodu jest korzystna dla organizmu. Teoria głosząca, że 50 % prawdy jest lepsze, niż 100 % kłamstwa. Teoria głosząca, że można, a nawet należy pisać w proporcji: 50 % dla KGB, a 50 % dla narodu. Tzw. *fifty-fifty*. Zdarza się, że produkcja literacka wykonywana według tej recepty wzbudza gniew sowieckich władz literackich, zostaje potępiona lub nawet zakazana i przechodzi w dziedzinę „literatury dysydenckiej”.

Łatwo obalić twierdzenie zwolenników teorii, głoszącej, że 50 % prawdy jest lepsze od 100 % kłamstwa, tzn. że 50 % kłamstwa jest lepsze niż 100 % kłamstwa. Sztuka, stanowiąc jeden ze środków poznania życia nie może zgodzić się nawet na 1 % kłamstwa. Wystarczy wyobrazić sobie matematykę — godzącą się na to, by 2×2 ze względów politycznych, dla dobra narodu, w pewnych okolicznościach równało się 5. Albo wyobrazić sobie pisarza, tworzącego w proporcji: 50 % dla Gestapo, 50 % dla narodu.

Niedawno przestępcy, fałszujący dzieła sztuki, stworzyli problem dla ekspertów. Jedyne w swoim rodzaju dzieło starej sztuki chińskiej — brązowy koń — zostało pocięte na sześć części. Do każdego autentycznego kawałka oryginalnego konia fałszerze dorobili resztę: powstało sześć koni. Czy stanowią one zabytek starej sztuki chińskiej? Odpowiedź na to retoryczne pytanie żywo zajmuje kolekcjonerów. Znacznie trudniejsza jeszcze jest odpowiedź na temat zalet i szkodliwości „literatury pseudodysydenckiej”.

Czytelnicy sowieccy, odcięci od prawdy, szukają jej wszędzie, nawet w drobinach miodu rozpuszczonych w beczce dziegciu, tak jak chorzy na skorbut szukają witaminy C nawet tam, gdzie być jej nie może.

Problem można jednak sformułować inaczej: czy trucizna kłamstwa nie działa tu na czytelnika znacznie silniej niż normalnie z racji tego, że drobiny prawdy powlekając kłamstwo warstwą ochronną czynią je mniej dostrzegalnym?

Badanie literatury sowieckiej, jej zawartości i istoty, podobnie jak badanie społeczeństwa sowieckiego w ogóle, jest dziś znacznie ułatwione dzięki istnieniu tzw. krajów socjalistycznych (co nie znaczy, że samym tym krajom przez to jest łatwiej!). Jak embrion człowieka, powtarzający w swym 9-miesięcznym rozwoju całą ewolucję rodzaju ludzkiego, literatura — i historia — „krajów socjalistycznych” powtórzyły historię sowieckiego państwa. Wykazały ogólny charakter praw, działających w systemie typu sowieckiego. Wykazały rolę słowa kłamliwego lub półprawdziwego w zniewalaniu człowieka. I rolę prawdziwego słowa w walce o ludzką wolność.

M. Gorki, który zrobił więcej niż ktokolwiek inny — wyłaczając Stalina — dla przekształcenia literatury rosyjskiej w sowiecką twierdził, że narodowi potrzebna jest literatura, która mówi „Tak!”.

Autentyczna literatura dysydencka, ta którą najlepiej nazywać po prostu: literaturą, to literatura która mówi „Nie!”.

Michał HELLER

Szkice do fizjologii współczesnego despotyzmu *

W recenzji z książki *Stalinizm* (ed. R. C. Tucker; wśród autorów znajdujemy tu również nazwisko Leszka Kołakowskiego), ogłoszonej w ostatnim numerze *The Times Literary Supplement* z 1977 roku, Geoffrey Hosking zastanawia się nad pytaniem w jakim stopniu dzisiejszy system sowiecki odpowiada socjologicznej definicji państwa totalitarnego. Charakterystyka, jaką nadal jej teoretycy zakłada: 1) panowanie jednego i wszechwładnego dyktatora; 2) istnienie jednej masowej partii, która ma scalać i mobilizować społeczeństwo do realizacji jakiegoś celu; 3) uznanie jednej ideologii za oficjalną i w związku z tym rozciągnięcie sztywnej kontroli państwa nad szkolnictwem oraz wszystkimi środkami informacji; 4) wreszcie terror w postaci ustawicznych czystek¹, którym podlegają wszyscy począwszy od najwyższych postawionych funkcjonariuszy, znajdujących się w bezpośrednim otoczeniu dyktatora, a skończywszy na najbardziej „potulnym chłopku”. G. Hosking przykłada ten schemat do sytuacji współczesnej i powątpiewa czy odpowiada on rzeczywistości: nie ma już wszechwładnego dyktatora, terror złagodniał (*though not disappeared*, dodaje skwapliwie autor), czystki zastąpione zostały względną stabilizacją aparatu urzędniczego, kontrolowa-

* Efim Etkind, *Zapiski niezagoworszczyka*. London: Overseas Publications Interchange, 1977, str. 486.

1. Nawiaseć mówiąc gdy chodzi o te czystki, to zarysowują się wyraźnie dwie odmienne interpretacje. Jedni skłonni są uważać je za przejaw stalinowskiego dążenia do zapobieżenia skostnieniu czy biurokratyzowaniu aparatu partyjnego, a więc za prototyp „rewolucji kulturalnej” znanej nam z Chin, inni natomiast tłumaczą je chęcią pozbycia się leninowskich kadr partyjnych, które mogłyby ewentualnie sprzeciwić się Stalinowi w stworzeniu własnej koncepcji socjalizmu.

nym i jednokierunkowym środkiem informacji rzucone zostało wyzwanie literatury podziemnej — „samizdatu” i „tamizdatu”. A więc jakże z tym totalitaryzmem? Istnieje czy nie istnieje? Czyżbyśmy naprawdę opuścili już przekłete „królestwo konieczności” i wkroczyli do zapowiedzianego przez marksistów raj u wolności?

Przytaczam te wątpliwości G. Hoskinga — dość typowe zresztą dla wielu intelektualistów zachodnich — gdyż pozostają one w dwojakim związku ze znakomitą pracą Jefima Etkinda *Notatki niespiskowca*. Po pierwsze, spostrzeżenia i uwagi Etkinda kierowane są często do czytelnika zachodniego i są jak gdyby odpowiedzią na jego wątpliwości wynikające przeważnie z braku rozeznania i naiwności. Po drugie, abstrakcyjnemu teoretyzowaniu i tworzeniu spekulatywnych schematów przeciwstawia Etkind rzecz w tym wypadku najcenniejszą: wypływającą z własnego doświadczenia konkretność. Rozpoznajemy w tym zresztą rys znany z prac literackich tego wybitnego krytyka; jego analizy utworów poetyckich zmuszają właśnie często do rewizji utartych sądów teoretycznych, prowadzą do nowych przemyśleń i uogólnień. To dobrze, że ta cecha staje się podstawą, wspólnym mianownikiem całej aktywności literackiej Etkinda. „Niestety, — pisze autor — nie znamy naszego społeczeństwa: socjologowie nie mają możliwości jego badania, pisarze — jego przedstawiania w powieściach, historycy i filozofowie — uogólniania jego prawidłowości. Punktem wyjścia jest dla nich nie realność, która pozostaje im obca, lecz jakiś z góry wypracowany idealny schemat. Dopóki nie zbadaliśmy społeczeństwa dopóty nie potrafimy mu niczego zaproponować; wychodząc zaś od schematu (bądź to idealnie pięknego, bądź też idealnie odpychającego), będziemy wysuwać mniej lub bardziej nęcące rozwiązania, które w równej mierze okażą się utopijnymi” (str. 22-23). Uwaga ta, choć dotyczy inteligencji rosyjskiej zachowuje swą moc także w odniesieniu do sporego odłamu intelektualistów na Zachodzie. Skomplikowane, wielostopniowe schematy teoretyczne budowane przez tych ostatnich przeważnie zaciemniają istotę problemu zamiast ją wyjaśniać. A tymczasem prawda — i nie kto inny jak marksiści tak twierdzą — jest konkretna i nie ma na to rady. Każdy pocho-
dzący ze Wschodu doświadczył tego w sposób mniej lub więcej bolesny na własnej skórze; i może nie od rzeczy będzie tu odwołać się do pewnego konkretnego i przypomnieć na zasadzie przypowieści znaną i powszechnie praktykowaną w demoludach operację zmiany etykiety czy opakowania jakiegoś towaru. Towar staje się rzadkością, z biegiem czasu znika z półek sklepowych doszczętnie, aby po pewnym okresie znowu się pojawić pod inną nazwą lub w nieco schludniejszym opakowaniu, no i oczywiście z podwyższoną ceną. Ludzie się oburzają, narzekają, ale w końcu nie mając wyboru — akceptują. Państwo sprzedaje — jego obywatela *muszą kupić*. Otóż mamy tu do czynienia z przymusem ukrytym. W innym planie i w innym nieco znaczeniu, książka Etkinda opisuje na czym polega owa operacja zmiany etykiety,

albo ściślej — co się za tą operacją kryje na wyższym szczeblu maszyny państwowej i trybów jej działania, jakich kosmetyków użyto, aby uczynić ją atrakcyjniejszą. Krótko mówiąc Etkind opisuje nie to, co się kiedyś nazywało „dyktaturą proletariatu”, ale to, co się dziś tak pięknie określa mianem „praworządności socjalistycznej” czy „demokracji socjalistycznej”. Tu nie chodzi o łagierników, o otwarty terror i bezprawie czasów stalinowskich, kiedy zabijano „po ciemku i po cichu” bez sądu, lecz o precyzyjnie zorganizowany i pozornie logiczny aparat sądownictwa i samosądów, zorientowany na szarą codzienność obywatela po to, aby go szykanować, zastraszyć i tym samym utrzymać w niewolniczym posłuszeństwie. Oskarżonemu przysługuje np. prawo powołania świadków, którzy by świadczyli na jego korzyść, ale jednocześnie ci świadkowie narażeni są na sankcje ze strony organizacji zawodowych, partyjnych i pracodawcy (wypadek taki opisuje Etkind w związku z procesem I. Brodskiego: kiedy wystąpił on w obronie tego ostatniego jako świadek, udzielono mu reparymenty w Związku Pisarzy). Ale mimo wszystko w porównaniu z przeszłością zachodzi tu różnica formy — teraz załatwia się ofiary w rękawiczkach, „zgodnie z...” itd. Co jest jednak wspólne przeszłości i teraźniejszości? Unosząca się nad świadomością ludzką atmosfera wszechwładnego STRACHU.

Praca Etkinda daje trzeźwą analizę stosunków społecznych w Związku Sowieckim w warunkach że tak powiem „pokoju” i stabilnego istnienia ustroju. Minęły czasy „nervowych” zrywów podczas których ginęły setki tysięcy, miliony niewinnych ludzi; teraz już nie chodzi o masowe deportacje i likwidację urojonych i nieurojonych wrogów, lecz o załatwienie „szkodników” na miejscu, w ich, że tak powiem, własnym środowisku. Koszmar przeszłości tkwi jednak żywo w pamięci zbiorowości i ułatwia funkcjonowanie „nowej praworządności”, która zdołała już wypracować własne, bardziej wysubtelnione metody zastraszania: szantaż, fałszerstwo, demoralizacja, podstęp, demagogia, organizowanie „opinii publicznej”, posługiwanie się szumowinami społecznymi i bojówkarzami w tępieniu co wartościowszego elementu społecznego. Repertuar tych środków jest już dziś znany i szeroko stosowany przez aparat bezpieczeństwa.

W tym punkcie książka Etkinda dotyka spraw szerszych, jej aktualność wykracza poza granice Związku Sowieckiego i rozciąga się na cały obszar geograficzny skrótowno i dla wygody zwany Europą Wschodnią. Może dlatego czyta się tę książkę z takim zainteresowaniem, jednym tchem od deski do deski. Jeśli istotnie ktoś ma wątpliwości czy można mówić o stopniowej sowietyzacji Polski, niech sięgnie po tę książkę i porówna. Czy jest sowietyzacja? Sowietyzacja to przede wszystkim stosunek władzy do własnego społeczeństwa, stosunek nacechowany pogardą wobec jednostki, narodu, jego historii i tradycji. Upokorzenie na każdym kroku — to dewiza naczelna; jej praktycznym wyrazem jest odgórne narzucanie decyzji bez liczenia się z nastro-

jami zbiorowości (typowy przykład: wprowadzenie klauzuli do nowej konstytucji PRL'u o konieczności prowadzenia przyjaznej polityki wobec ZSSR). Ale istnieje i drugi aspekt tego procesu — instynktowna samoobrona, która najczęściej sprowadza się do akceptacji pół-prawd, do życia w zakłamaniu, wymaga ustawicznych kompromisów po to, aby utrzymać się jakoś na powierzchni, aby zdobyć prawo do życia i działania wśród swoich, własnej kultury. Często płaci się za to wysoką cenę, cenę własnej godności. Jakkolwiek gorzko o tym pisać, Etkind nie ukrywa tej prawdy, pisze o niej otwarcie i sam nie próbuje usprawiedliwiać się, nie umywa rąk, lecz pisze z pozycji współuczestnika takiego właśnie życia. Jest to niezwykle sympatyczny rys jego zwierzeń.

Główną postacią tej relacji jest sam autor, historia jego zwolnienia ze stanowiska profesora połączona z pozbawieniem tytułów naukowych i usunięciem ze Związku Pisarzy. Opisy fantastycznej wręcz głupoty i kabotyństwa przeplatają się tu z niewymyślonym absurdem. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: autorowi zarzuca się wrogą działalność, a więc fabrykuje się „sprawę” Etkinda. Początkowo autor sam jeszcze nie dowierza, wzbrania się przed określoną interpretacją jego czynów, nie rozumie z czego taka „sprawa” może być utkana, słowem nie poczuwa się do winy. Ale trwa to krótko, bo już w liście do sekretariatu leningradzkiej organizacji pisarzy sam oskarżony używa zwrotu „moja sprawa”. Oprawca i jego ofiara posługują się tą samą terminologią, nie ma o czym dyskutować: jest „sprawa” i trzeba się nią zająć. Czyż to nie Kafka w realnym wydaniu?!

Etkind narzeka, że współczesna literatura rosyjska pozbawiona jest możliwości szkicowania współczesnych „feudałów” (tzn. postaci zajmujących kierownicze stanowiska w hierarchii sowieckiej, np. rektor, dyrektor wydawnictwa), „aparatchyków”. Istotnie przydałoby się tutaj odświeżenie tradycji rosyjskiej „szkoły naturalnej” i jej szkiców fizjologicznych. Częściowo czyni to właśnie sam Etkind. Jego książka zawiera opisy różnych postaci z najrozmaitszych instytucji państwowych. Zaiste barwny to obraz, szczególnie celny tam, gdzie daje charakterystykę służalców, zwykłych pionków, którzy powodowani głupotą, cynizmem, zazdrością, a niekiedy koniecznością życiową wykonują brudną robotę wykańczania upatrzonych delikwentów. Autor wykazuje dużą ostrożność w ocenie postawy moralnej tych ludzi, próbuje wniknąć w motywy ich postępowania, zindywidualizować sylwetki. Okazuje się, że uległość czy służalczość nie zawsze podyktowane były chęcią robienia kariery, niekiedy kryły się za tym raczej bardzo osobiste. Przewija się tu cała galeria sowieckich krytyków i profesorów humanistyki. Oficjalny obraz krytyki sowieckiej ściągnięty zostaje na ziemię, rozsupłane zostają wewnętrzne powiązania tego środowiska przez co staje się ono bliższe i zrozumialsze.

Etkind nie przestrzega porządku chronologicznego. Przemieszczają się tu ze sobą rozmaite plany czasowe. Daje to okazję do

przedstawienia innych ważnych wydarzeń w łańcuchu ustawicznego niszczenia kultury przez aparat władzy i partii. A więc mamy tu historię prześladowań J. Brodskiego i stenogram jego procesu; opis wandalskiego zniszczenia przygotowanej przez samego autora dwutomowej antologii (nakład: 25 tysięcy egzemplarzy) *Mistrzowie rosyjskiego przekładu poetyckiego*, li-tylko z powodu końcowego zdania wstępu stwierdzającego, że „w wiadomym okresie poeci rosyjscy, pozbawieni możliwości wyrażania się do końca w twórczości oryginalnej rozmawiali z czytelnikiem językiem Goethego, Shakespeare'a, Hugo...”; przebieg daremnej walki o wydanie sześciusetstronicowego maszynopisu Etkinda *Materia wiersza* (*Matierija sticha* ukaże się ostatecznie na Zachodzie) i kilka innych epizodów. Stałym komponentem rozważań Etkinda jest także motyw antysemityzmu. W repertuarze środków zastraszania i dyskryminacji, antysemityzm odgrywa dosyć pokązną rolę.

Na zakończenie chciałbym jeszcze parę słów dorzucić na temat polemiki Etkinda z Sołżenicynem. Autor *Notatek niespiskowca* przestrzega przed lekceważeniem siły przyciągającej marksizmu. Niewątpliwie straciła ona swą siłę jako teoria budująca, konstruktywna, ale wciąż zachowuje pewną atrakcyjność i posłuch wśród tych, którzy chcą niszczyć. Niedocenianie tej groźby jest teoretycznie nierealistyczne a praktycznie może się okazać szkodziące. Etkind, mimo całego szacunku dla autora *GUŁagu*, nie wierzy w skuteczność jego moralnych imperatywów jako środka walki przeciw tyranii. Argumentuje: minęło trzy lata od chwili ogłoszenia Sołżenicynowskiego programu ale wśród dwustu pięćdziesięciu sześciu milionów ludzi nie znalazło się dotychczas kilkudziesięciu tysięcy, ani nawet setek, którzy by przyjęli jego proste i bezkompromisowe postulaty. Zdaniem Etkinda, marksizm jest teorią naukową i trzeba mu przeciwstawić konsekwentny, też na naukowych podstawach oparty program. Cóż więc proponuje? Szansę widzi w oświacie, w roli, jaką mogą odegrać w wychowaniu kolejnych pokoleń nauczyciele. A więc jakiś długofalowy program pozytywistyczny, współczesna praca od podstaw i na co dzień, żmudna i wytrwała. Wyczuwa się tu wyraźnie wpływ racjonalistycznej tradycji francuskiej. Nie negując słuszności takiego stanowiska, trudno przecież pogodzić się z tym, że Etkind tak lekką ręką przekreśla proponowaną przez Sołżenicyna bezkompromisowość moralną. Po pierwsze, w dzisiejszej sytuacji pewną skrajność sformułowanych programów uznać trzeba za rzecz naturalną i zrozumiałą. Po drugie, formułowanie nowych propozycji nie powinno się odbywać kosztem negacji już istniejących. Chodzi nie o to, aby programy nawzajem się wykluczały, lecz raczej o to, aby się uzupełniały i koordynowały. Przyszłość pokaże, która z proponowanych dróg jest najskuteczniejsza, a zatem i słusza. Przecież proponowana przez Etkinda akcja oświeceniowa też jest nie do pomyślenia bez odwagi cywilnej i pewnego idealizmu zamierzeń moralnych.

Książka Etkinda napisana jest barwnie i z werwą. Przepla-

tają się w niej narracja artystyczna z dziennikarską sprawozdawczością, monolog wewnętrzny z dokumentem, rzeczywistość z artyzmem. Wszystkie te środki podporządkowane są jednemu celowi — ukazaniu mechanizmu działania despotyzmu w „pierwszym kraju rad”, ujawnieniu pewnego sposobu egzystencji, stylu istnienia opartego na niepewności.

Edward MOŻEJKO

Prasa polska poza Krajem

Studium Andrzeja Paczkowskiego pt. „Prasa polonijna w latach 1870-1939”¹ podejmuje we wstępie próbę periodyzacji czasopism ukazujących się poza Krajem od czasów, gdy zjawisko to stało się częścią piśmiennictwa polskiego. Rozdział pierwszy opiera się o dorobek Wielkiej Emigracji i głównym jego adresem jest Francja. Jako datę końcową widzi Paczkowski rok 1870 — początkowej nie precyzuje, ale domyślać się należy, że idąc za Stanisławem Zielińskim² odnosi ją do roku 1832. Najistotniejszą cechą prasy tego okresu jest charakter polityczny; emigranci polistopadowi marginesowo traktowali własne sprawy „bytowe”, koncentrując uwagę na wielkich problemach polityki europejskiej i ich wpływie na stan „Sprawy”; różnorodność programów i stanowisk tłumaczy mnogość czasopism i ich zawite powiązania wzajemne. W oparciu o istniejące opracowania bibliograficzne Paczkowski doliczył się 120 czasopism ukazujących się w owym pierwszym okresie³.

Wybór roku 1870 jako daty otwierającej drugi rozdział historii prasy polskiej poza Krajem uzasadnia, w ujęciu Paczkowskiego, pojawienie się pierwszego pisma obsługującego emigrację zarobkową. Był nim dwutygodnik *Orzeł Polski* wydawany z inicjatywy ks. Aleksandra Matuszka w osadzie Washington w stanie Missouri. Odtąd, aż po wrzesień 1939 roku, datuje się stały wzrost ilości pism polskich poza Krajem a znaczna ich większość adresowana jest do odbiorców rekrutujących się spośród emigracji zarobkowej. Paczkowski sądzi, że w roku 1870 (ściślej w okresie Komuny Paryskiej) zakończyły żywot lub dogorywały przedsię-

wzięcia prasowe Wielkiej Emigracji — i otwierał się nowy rozdział w egzystencji Polaków, szukających chleba na obu półkulach. W latach 1870-1939 doliczyć się mógł ok. 1.700 tytułów czasopism, wśród których nie brak ukazujących się przez dłuższe okresy.

Paczkowski nie charakteryzuje bliżej trzeciego rozdziału, rozpoczynającego się w 1939 roku a trwającego do dziś i nie podaje cyfr ilustrujących dalszy wzrost owego osobliwego zjawiska, jakim jest prasa polska poza Krajem. Wyręcza go Jan Kowalik, który w „Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku”⁴ podaje opisy 3.902 tytułów. Oznacza to więcej niż podwojenie ilości pism, idące w parze ze zmianą charakteru produkcji wydawniczej, której cele uległy ewolucji w kierunku obsługi „starej” i „nowej” („nowych”) emigracji. W stosunku do dwu poprzednich rozdziałów jest to skrzyżowanie celów poprzednio wymienionych, rozszerzenie zadań i tematyki.

Wstęp do studium Paczkowskiego, określonego zresztą w podtytule jako „zarys problematyki”, otwiera dyskusja na temat definicji Polonii. Paczkowski ma pewne zastrzeżenia w stosunku do „popularnej i obiegowej definicji”, utrwalonej w odpowiednim artykule „Wielkiej Encyklopedii PWN”, głoszącym, iż jest to „ta część wspólnoty narodowej, której członkowie żyjąc stale poza granicami państwa polskiego, zachowują — niezależnie od miejsca urodzenia i posiadanego obywatelstwa — poczucie łączności duchowej i kulturalnej z rodakami i Polską”. Paczkowskiemu nie podoba się mgliste określenie „poczucia łączności”, zwłaszcza w odniesieniu do lat 1870-1939, będących przedmiotem jego badań, gdy aż do roku 1918 państwo polskie nie istniało. W jego ujęciu na Polonię składają się 1^o wychodźcy z okresu wielkich migracji przed 1918 rokiem i 2^o „Polacy imigrujący z Kraju oraz mieszkający poza granicami Rzeczypospolitej w latach 1918-1939, tzn. łącznie z autochtonicznymi społecznościami w krajach ościennych”. Po opanowaniu zdziwienia na widok terminu „skupiska autochtoniczne”, gdy się z nim oswoimy, przeważa sąd, że jest to termin rozsądny i użyteczny. Paczkowski określa nim polskich „autochtonów”, pozostałych po roku 1918 poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej w Niemczech (ponad milion), w Związku Sowieckim (ponad 800.000), w Czechosłowacji (ok. 100.000-120.000), na Litwie (ok. 200.000), na Łotwie (kilka tysięcy?) i na terenie W.M. Gdańska („kilkadziesiąt tysięcy”). W ujęciu Paczkowskiego było więc owych „autochtonów” ponad dwa miliony, co wydaje się obliczeniem *in minus*, zwłaszcza w odniesieniu do Rosji.

1. Andrzej Paczkowski, *Prasa polonijna w latach 1870-1939*. Zarys problematyki. Warszawa, 1977, Biblioteka Narodowa, 80, str. 162, 1, 1 tabl.

2. Stanisław Zieliński, *Bibliografia czasopism polskich za granicą, 1832-1934*, Warszawa, 1935.

3. Najnowszym opracowaniem tego tematu jest *Katalog emigracyjnych wydawnictw periodycznych w Bibliotece Kórnickiej* Janiny Kurdelskiej („Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej”, R. VII: 1959).

4. Jan Kowalik, *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku*. T. I-IV. Lublin, 1976, Katolicki Uniwersytet Lubelski, 80, t. I: A-J, str. 299, port., 16 pl. (faks. nagłówków pism); t. II: K-O, str. 245, 9 pl. (j.w.); t. III: P-S, str. 264, 1, 8 pl. (j.w.); t. IV: T-Ż, str. 224, 1, 6 pl. (j.w.), indeksy na końcach poszczególnych tomów opracował Stanisław Draganowski.

O ile w zastosowaniu do okresu objętego opracowaniem definicja Polonii jest bliska Światopolowi, o tyle zawodzi w odniesieniu do chwili obecnej, gdy poza Krajem znaleźli się „emigranci z musu” czy nawet „przypadku”, ale nie własnej woli, która stoi u podstaw emigracji zarobkowej nawet w klasycznych wypadkach opuszczania Kraju w poszukiwaniu chleba i pracy. W oficjalnej definicji zaszyfrowana jest akceptacja państwa polskiego w jego obecnym kształcie i ustroju, a to zdecydowanie nie przystaje do ogółu emigracji politycznej, członków Polskich Sił Zbrojnych, deportowanych i wywiezionych do obozów pracy przymusowej, więźniów itd. Pismem polonijnym był międzywojenny *Dziennik Berliński* czy *Wiarus Polski* — nie jest nim obecny londyński *Dziennik Polski* czy *Orzeł Biały* — są to pisma polskie wydawane poza Krajem.

Interesująco omawia Paczkowski wewnętrzną sprzeczność założeń prasy „polonijnej”. Były nimi: podtrzymanie polskości a równocześnie „asymilacja”. To ostatnie określenie nie wydaje się trafne — raczej należałoby użyć terminu „adaptacja”. Pisma dla emigrantów zarobkowych nie proklamowały z zasady osadnictwa „bezterminowego”. Dawały raczej do zrozumienia, wprost lub pośrednio, że celem ostatecznym jest powrót do Kraju i tym tłumaczyły konieczność trwania przy polskości i przekazywania tego posłania dalszym pokoleniom. Celem doraźnym, zwłaszcza we wczesnych latach masowego napływu emigrantów do obu Ameryk było ułatwienie egzystencji w obcym językowo i obyczajowo środowisku i to co da się określić jako „bratnia pomoc” we wszystkich jej przejawach. Ani grające wielką rolę parafie ani związki Polaków nie propagowały „asymilacji” ale właśnie „adaptację” tj. dostosowanie się do nowej sytuacji. „Amerykanie polskiego pochodzenia” są formacją znacznie późniejszą i jako grupa społeczna ukształtowali się raczej *wbrew* niż pod wpływem prasy „polonijnej”. Przytoczony przez Paczkowskiego głos Jana Barzyńskiego z wczesnego okresu detroitkiego (ok. 1874) jest wyjątkiem, który nie potwierdza reguły⁵.

Inny aspekt zagadnienia dotyczy warunków, w których rozwijała się działalność prasowa w różnych krajach. Tam, gdzie nie hamowano swobody wypowiedzi — a więc przede wszystkim w Ameryce Północnej — naciski „asymilacyjne” nie przybierały form drastycznych i nie przeszkadzały jawnym manifestacjom łączności z Krajem. Prasą „walczącą” była natomiast przeznaczona dla półmilionowej Polonii niemieckiej prasa reprezentowana przez np. *Gazetę Robotniczą* czy *Polaka na Obczyźnie*. (Nie pozbawiony pikanterii jest szczegół, że jednym z redaktorów *Gazety Robotniczej* był Stanisław Grabski, określony przez Paczkowskiego mianem „lidera PPS”; na dalszych kartach spo-

5. „Chcemy stworzyć nowy typ Polaka: Polaka-Amerykanina, który nie będzie tym samym czym Polak Europejski; chcemy, aby był katolikiem, mówił po polsku, chcemy go zapoznać z tradycjami i historią Polski — co do reszty to powinien być Jankesem”.

tykamy go w roli członka komitetu redakcyjnego endeckiego *Przeglądu Polskiego* w Kijowie). Naciski germanizacyjne wyrażały się dwojako: cenzurą pism wydawanych na terenie Niemiec i zakazami debitu prasy dopływającej z Kraju (zwłaszcza ze Śląska).

Paczkowski opiera się w swym opracowaniu na swych poprzednikach i we wstępie charakteryzuje wnikliwie stan badań nad prasą „polonijną”. Na pierwsze miejsce wysuwa pionierskie opracowanie Stanisława Ziełińskiego (*„Czasopisma polskie za granicą, 1832-1934”*, Warszawa, 1935), będące jedyną „bibliografią całościową”. Z uznaniem i wielokrotnie cytuje wydane poza Krajem prace Jana Wepięcia⁶, Wiktora Turka⁷ i Benedykta Heydenkorna⁸ oraz wytyczne badań sformułowane przez prof. Jerzego Zubrzyckiego⁹. W rozdziałach monograficznych, poświęconych poszczególnym krajom opiera się na badaniach poprzedników; wyraźnym odstępstwem od tej reguły jest Francja, której dotyczy kilka własnych jego opracowań¹⁰. (Z przykrością stwierdzam, że kilkakrotnie wymieniany Mieczysław Haiman, historyk Polonii amerykańskiej, zarówno w tekście jak i indeksie występuje jako Heiman).

Trzy rozdziały („Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (1870-1939)”; „Inne kraje zaoceaniczne: Kanada, Brazylia, Argentyna i Urugwaj, Australia”; „Państwa zaborcze (do 1918 roku): Niemcy, Austro-Węgry, Rosja, Mandżuria”) ukazują stan prasy w poszczególnych państwach i główne fazy działalności prasowej związanej z napływem emigrantów i precyzowaniem się ich potrzeb.

W rozdziale czwartym omówione jest „Wychodźstwo europejskie (1918-1939)”, częściowo tylko uwzględnione w rozdziale o „Państwach zaborczych”. Na plan pierwszy wysuwa się tu Francja, która po roku 1918 przejęła znaczny procent emigrantów z terenu Niemiec (wraz z pismami np. *Wiarusem Polskim* i *Narodowcem*) a nadto była głównym adresem emigracji zarobkowej z Kraju (po zahamowaniu emigracji do Stanów Zjednoczonych).

6. Jan Wepięć: *Polish-American Serial Publication 1842-1966. An annotated bibliography*. Chicago, 1968. Na opracowaniu tym oparta jest umieszczona po str. 36 tablica: „Liczba pism polonijnych w USA (1870-1939)”. Z wykresu wynika, że w roku 1934 ukazała się maksymalna ilość tytułów: 171, w tym 147 w języku polskim. Maksymalna ilość polskich 154-157 przypada na lata 1919-1930.

7. Wiktor Turek, *The Polish-language Press in Canada*. Toronto, 1962.

8. Benedykt Heydenkorn, *Związkowiec*. Monografia pisma polonijnego. Toronto, 1963.

9. Jerzy Zubrzycki, *The role of the foreign-language press in migrant integration*. (Art. w „Population Studies”, 1958/59, nr 1).

10. Andrzej Paczkowski, *Prasa polska na obczyźnie (1870-1918)* — rozdział „Historii prasy polskiej 1864-1918”, Warszawa, 1976; tenże: *Prasa polska we Francji (1918-1940)*, art. w „Roczniku Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”, 1969, nr 4; tenże: *Początki prasy dla polskiej emigracji zarobkowej we Francji (1920-1924)*. Art. w „Roczniku Biblioteki Narodowej”, R. XI: 1975.

Omówiona jest tu prasa „polonijna” z terenu Francji, Belgii, Holandii, Danii, Austrii, Węgier a także Rumunii (w trzech ostatnich państwach działalność prasowa miała charakter szczątkowy; mimo pomocy ze strony konsulatów zanikały kolejno datujące się z wcześniejszych okresów pisma).

Rozdział piąty, najciekawszy, daje pionierskie omówienie prasy „Skupisk autochtonicznych”. Wcześniej już wspomniałam o „prasie walczącej” z obszaru Niemiec; warto dodać, że autor charakteryzuje po kolei prasę z terenu Śląska Górnego, Warmii-Mazur i Berlina, gdzie organem Związku Polaków w Niemczech był wykupiony przez MSZ *Dziennik Berliński*, którego redaktorami byli m.in. Stefan Litauer, Tadeusz Katelbach, Stanisław Paprocki i Tadeusz Święcicki. Po roku 1930 łączny nakład pism polskich w Niemczech spadł do 25.000-30.000 a każdy rok „przynosił pogorszenie tego stanu”, co wiązało się „z uchwyceniem władzy przez nazistów”.

Paczkowski podaje, że po ukończeniu repatriacji i reemigracji w roku 1924 na terenie ZSSR pozostało ok. 800.000 Polaków, w tym większe skupiska miejskie w Moskwie, Leningradzie i przede wszystkim w Kijowie, Mińsku i Charkowie. O ile w czasie pierwszej wojny światowej rozwinęła się „wielka przygoda prasy polskiej w Rosji” a w jednym tylko Kijowie ukazywało się naraz 30 pism polskich, w tym tak specjalne jak *Wiadomości Bibliograficzne* redagowane przez Aurelego Drogoszewskiego, o tyle po rewolucji w szybkim tempie „zakończyły działalność dzienniki i czasopisma polskich ugrupowań i kierunków niekomunistycznych”. Na ich miejsce pojawiły się pisma będące właściwie polskimi mutacjami sowieckich „urzędówek”, przeróżne *Trybuny* i *Głosy Radzieckie*. Ale w okresie wielkiej czystki zlikwidowano nawet ukazujące się w 5.000-nym nakładzie pismo o efektywnym tytule *Szturmowiec Dzierżyńszczyzny*, „zniknął moskiewski ośrodek wydawniczy i w roku 1939 jedynym pismem stał się kijowski *Głos Radziecki*, który „posiadał potężne zaplecze czytelnicze” (str. 129). Paczkowski sądzi, że „poważną przeszkodą w rozwoju prasy polonijnej w ZSRR była społeczna struktura tego środowiska: główną masę Polaków stanowili chłopci zacofanych lub słabo rozwiniętych gospodarczo rejonów i według niektórych szacunków analfabeci stanowili około połowy dorosłej ludności polskiej mieszkającej na wsi”. „Można także sądzić — dodaje — że sprzeciw części Polonii, zwłaszcza starszych generacji, wobec przemian społeczno-politycznych zaszłych na ziemiach, które zamieszkiwała, powodował nieufność lub wręcz wrogość wobec wydawnictw. Tak czy inaczej czytelnictwo pism polskich nie było nazbyt rozwinięte. Łączny nakład jednorazowy wszystkich pism nie przekraczał bodaj nigdy 30.000-40.000 egzemplarzy. Importu prasy krajowej nie było”.

Z poważnymi trudnościami natury politycznej spotykała się prasa polska w Czechosłowacji. Po okresie plebiscytów powstało tam jednak kilkadziesiąt pism a nadto szeroko była kolportowana prasa krajowa, a katowicka „Polonia” drukowała dla Zaolzia

„Polską 30-halerzówkę”. W okresie dążeń rewindykacyjnych sytuacja uległa zdecydowanemu pogorszeniu, gdyż — jak ujmuje to Paczkowski — „władze czechosłowackie dążyły do czechizacji, tłumienia w zarodku wszelkich działań, które uważały za antypaństwowe i w porównaniu z innymi ziemiami Republiki Czechosłowackiej nadzór administracyjny nad prasą był tu daleko posunięty”. „Największa fala represji, jeśli nie liczyć lat 1918-1920, przypadła na maj 1935 roku, gdy zawieszono 5 pism polskich w tym zarówno *Dziennik Polski* (wznowiony wiosną 1936 roku) jak i oba oficjalne organy Związku Śląskich Katolików i Stronnictwa Ludowego”.

Żałośnię przedstawiał się również los prasy polskiej na Litwie, choć nieliczne pisemka (tygodnik *Chata Rodzinna*, dwutygodnik religijny *Dzwon Świąteczny*, *Wiadomości Rolnicze* itp.) o łącznym nakładzie 10.000-12.000 ukazywały się do roku 1939. „Kolportaż prasy krajowej był praktycznie uniemożliwiony zarządzeniami władz”.

W rozdziale szóstym pt. „Emigracja polityczna (1879-1939)” Paczkowski omawia działalność wydawniczą grup socjalistycznych w Europie Zachodniej i nieliczne pisma emigracji postycyńskiej. Jedno z nich, dwutygodnik *Kurier Paryski* (później *Kurier Polski w Paryżu*), „nastawione było na utrzymywanie kontaktu ze wszystkimi skupiskami polskimi rozrzuconymi po świecie, choć gros informacji dotyczyło spraw krajowych”. Było ono ekspozyturą Ligi Narodowej, lansowało ideę Skarbu Narodowego i przekształciło się po śmierci Agatona Gillera w *Wolne Polskie Słowo*, redagowane przez kilka lat przez T.T. Jeża. Wybuch Pierwszej Wojny Światowej powołał do życia szereg pism o charakterze informacyjno-propagandowym w językach francuskim, angielskim i włoskim oraz ożywił polską działalność wydawniczą na Zachodzie Europy. Innym efektem wojny były pisma jenieckie, które wydawano we Francji, we Włoszech i w Niemczech. W okresie międzywojennym prasa polityczna skurczyła się do pisemek komunistycznych przeznaczonych do kolportażu w Kraju oraz *Dąbrowszczaka* wydawanego w Hiszpanii podczas wojny domowej i pisemek powielanych dla internowanych we Francji Polaków z Brygad Międzynarodowych.

W 1938-39 Herman Lieberman wydawał w Paryżu opozycyjny tygodnik *Świat i Polska*, reprezentujący punkt widzenia emigracji tzw. brzeskiej.

„Zakończenie” opracowania Paczkowskiego przynosi ciekawe konkluzje i dane statystyczne. Tak więc w porównaniu z produkcją krajową ocenioną na ok. 15.000 tytułów (w latach 1870-1937) prasa polonijna (ok. 1.700 tytułów) stanowi ok. 10 % „krajowego ruchu prasowo-wydawniczego”. „Jeżeli nawet — wnioskuje Paczkowski — nie był to odsetek znaczny, z całą pewnością można stwierdzić, że był znaczący: co dziesiąte pismo polskie ukazywało się na emigracji lub (w okresie istnienia suwerennej państwowości) poza granicami kraju”. Przed rokiem 1918 pro-

cent ten był jeszcze wyższy: „na około 2,5 tys. tytułów czasopism krajowych wydawanych w latach 1870-1918 przypada około 900 tytułów czasopism polonijnych (tj. w tym przypadku wydawanych poza ziemiami etnicznie i historycznie polskimi)”. Daje to ok. 30 % produkcji ogólnej! Pisma owe obsługiwały emigrację zarobkową obliczoną na 4-4,5 mln. osób. Cyfry te świadczą — dowodzi Paczkowski — „że dla życia i żywotności narodu jako całości prasa wychodziła stanowiąca czynnik, który nie może być pomijany ani zapoznawany”.

Ze stwierdzeniem tym wiąże się postulat dalszych bardziej szczegółowych badań. Tu jednak rysują się poważne przeszkody w postaci ubóstwa i niekompletności kolekcji prasy polonijnej. W gromadzeniu jej specjalizował się Rapperswil i Ossolineum. Przewiezione ze Szwajcarii zbiory rapperswilskie były podstawą wspomnianego już poprzednio opracowania bibliograficznego Stanisława Ziełińskiego a wkrótce po jego wydaniu przepadły. Zbiory lwowskie są, jak przyświadcza Paczkowski, „trudno dostępne”. Nasuwa się przeto jako postulat opracowanie katalogu topograficznego umiejscawiającego *łisiećta membra* poszczególnych tytułów. Paczkowski uważa, że jest to trud godny podjęcia, gdyż „aktywność prasowa (emigrantów) wydaje się nie tylko interesującym, autonomicznym przedmiotem badawczym, ale także jednym z istotnych elementów pozwalających zarejestrować zmiany zachodzące w tej społeczności”.

„Prasa polonijna” Paczkowskiego wyróżnia się wśród książek krajowych zwięzłością i jasnością ujęcia. Wydana została oszczędnie i starannie przez Bibliotekę Narodową w Warszawie we własnym jej Zakładzie Graficznym w nakładzie zaledwie 1.250 egzemplarzy.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Książki z Londynu

TRZY KOBIETY

Są ich trzy: Wanda, Róża, Monika. Książka Danuty Mostwin¹ kończy się dobrze dla Moniki, która oddaje się we władanie impulsywnej Róży. Wanda — trzeźwe, kalkulujące super-ego Moniki cichnie, wydaje się że na zawsze. Ale w rzeczywistości powieść kończy się zwycięstwem swistego rozsądku nad impulsem. Impulsem który przebrany za intuicję szepcze, że trzeba uciekać, bo w tym miejscu w którym się jest, przegrało się na całego. I tego, który — tym razem przebrany w podszept serca — mówi że lepiej uciec do kogoś i znowu się w coś uwikłać, aniżeli uciec naprawdę.

1. Danuta Mostwin, *Odchodzą moi synowie*, PFK, Londyn, 1977, str. 148.

Monika, bohaterka tej książki, jest naprawdę trójdzielna. Jak szafa, albo raczej jak tryptyk, którego poszczególne skrzydła dopowiadają tę samą historię. Jeszcze nigdy nie zetknęłam się z książką, w której prosta prawda o sprzecznościach ludzkiej natury, o sprzecznościach między intuicją a doświadczeniem, między ślepą zachłannością a chłodną obserwacją została potraktowana tak dosłownie. Danuta Mostwin podzieliła Monikę na trzy, a raczej dwie zupełnie różne osoby, żeby nie było niejasności nadała im różne imiona, a walkę między nimi wyróżniła kursywą. Robi to trochę wrażenie podręcznika dla początkujących w ćwiczeniach psychiatrycznych. Ale obraz jest jasny, osłepiająco jasny, i wyłania się z niego przerażająca polskość i kobiecość.

Oczywiście, wiele zależy od punktu widzenia, od osobistych obserwacji i zetknięć, i moja — też potężnie rozdwojona emigracyjna osoba — mówi mi, że najsympatyczniejszą postacią tej książki jest Ernest Rowells, mąż Moniki, starszy Amerykanin, specjalista od *animal behaviour*, który zajmuje się badaniem bodźców seksualnych u ludzi po osiemdziesiątce. Biedny ten człowiek, naciągany przez wszystkich i przez wszystkich nielubiany, zakochany w żonie, dobry dla niej (o czym Wanda w Monice wie), anielsko cierpliwy, chociaż domagający się wzajemności (co w innej książce byłoby tak zwaną cechą pozytywną) przedstawiony jest tutaj jako niemili — w dzień kastykny, w nocy lubieżny — starzec, o nieprzyjemnym zapachu i wszędobylskich — w nocy szczególnie — rękach. Niestety Rowells — kochając Monikę, której histeryczna atrakcyjność niebagatelnie wpłynęła na wyniki jego badań — nie jest w stanie zrozumieć jej zwierzęcej zaborczości w stosunku do dwóch synów, jej złej kapryśnej woli, jej uporu i absolutnej niemożności komunikowania siebie i wysłuchania innych. Zakończenie książki, które pisarka i Monika zdają się traktować jako rezultat zwycięskiej walki z nadiągającą schizofrenią — polega chyba na nieporozumieniu. Zwycięstwo Róży nad Wandą powoduje, że Monika zabiera z domu parę ciuchów, zdjęcie nieżyjącego brata i otłuszczonego jamnika, z zamiarem przeprowadzenia się w pobliże szpitala psychiatrycznego, w którym pracuje, i w pobliże Zygmunta Korabickiego, który tam już mieszka i pracuje z nią na jednym oddziale. Przed tą ostateczną decyzją Wanda i Róża — ten jeden jedyny raz zgodnie — ustaliły w Monice, że potrzebny jest jej człowiek, z którym może się porozumieć, z którym lubi rozmawiać. Drugi Polak o podobnej co ona historii, a ani trochę mniej rozgoryczony. Ale ta kobieta — chyba wbrew intencji pisarki — nie zdaje sobie sprawy z tego, że rozmowa, komunikowanie są jej najsłabszą stroną. Na dalszych kartach książki — tych których nie ma — Monika zatrzuje do reszty życie spokojnemu dziwakowi, doktorowi Korabickiemu. Chyba że na chwilę połączą ich rozmowy o wspólnych rozczarowaniach cudzoziemskimi (w obydwu wypadkach) współmałżonkami i uznanie się nad dziećmi.

W życiu Moniki kropłą przepełniającą miarę — wypełnioną już w zariu okupacyjnej młodości przez odejście ukochanego Zbyszka — staje się to, co tak starannie zaplanowała jako swoje zwycięstwo. Jej starszemu synowi Przemkowi, którego właśnie co ściągnęła z żoną z Polski (z młodszym Stefanem wyjechała przed laty na stypendium, zostawiając w Warszawie niekochanego męża) — rodzi się syn. Monika spędza — nieproszona — pół nocy w klinice położniczej. Właśnie w trakcie tej nocy toczy się akcja powieści; reszta to retrospekcja, zresztą nieorganiczna, wplatana na siłę w czas teraźniejszy książki. Monika wymusza na synu, aby dziecku nadał imię jej ukochanego brata, i spotyka ją zaszokowane rozczarowanie, kiedy młodzi decydują się nazwać je Jeffrey Tom. Tej samej nocy powraca do domu jej młodszy syn, Stefan i, histeryczny jak matka, choć w przebraniu obojętnego hippisa, decyduje się na wyjazd (powrót?) do Polski.

Monika, ta blejsza replika Barbary „wieczne zmartwienie” Dąbrowskiej,

i Róży z „Cudzoziemki” Kuncewiczowej, nie może zaakceptować ani woli do prędkiej asymilacji starszego syna, ani chęci powrotu do kraju — młodszego. Niespełniona w każdej minucie życia, jest przy tym potworem solidności, pracowitości, silnej woli i samozaparcia. Potworem egoizmu, obdarzonym sporą samowiedzą, która do niczego nie prowadzi, i analityczną — jak u wszystkich historycznych natur — inteligencją.

Powrót z kliniki do Ernesta, z którym pozwoliła się wyswatać, kiedy samotność wzięła górę nad rozdwojeniem jaźni, jest zarazem powrotem do obydwu synów, których nagle, tej jednej nocy, ma razem, ale którzy rano odejdą, uciekną spod jej wściekle bijących, opiekuńczych skrzydeł. Reszta nocy u boku Ernesta, który właśnie wybulił 250 dolarów na bilet samolotowy Stefana, decyduje o zasadniczym przełomie. Tłamszona Róża — zresztą tłamszona znacznie łagodniej niż to sugeruje pisarka i niż się to zdaje Monice — dochodzi niepodzielnie do głosu:

„— Nie pozwól mu zbliżyć się do mnie! — wołała Róża. — Odsuń go! — To co mam zrobić? — mówiła Wanda. — Jest przecież moim mężem. Był dużo lepszy od Wiktora. Ale Róża, ta odsuwana i spychana zaczęła nagle wybić się i wysuwać i podnosić głos i rozpychać się w przystępie ostatecznej rozpaczy, zdecydowana na wszystko: Zamorduję go jeśli się teraz zbliży do mnie! Pozwalałam ci zbyt długo na ten stosunek. Przepowiadałam, że to małżeństwo długo nie potrwa. Nie chciałaś mnie słuchać. Lekceważyłaś mnie.

Jego ramię zagarnęło ją nagle i poczuła zapach i dotyk jego skóry przylegający i natrętny, duszący, tamujący, jak położona na otwartych do krzyku ustach czyjaś ręka...” (str. 135).

Histeria Moniki wydaje się trochę także histerią autorki. To ona — za pomocą Moniki — tak ostro i bezwzględnie przeciwstawia wartości polskie wszystkiemu co niepolskie. To ona sugeruje, że tylko natury płaskie i dorobkiewiczowskie decydują się na asymilację. Nie jestem dobrym odbiorcą takich książek, bo nie uznaję żadnej formy obrażania się na miejsca za to, że nie są innymi miejscami. Nie uznaję, to łatwo powiedzieć. Walczę z tym w sobie. Wiem także z własnych doświadczeń — zresztą znacznie skromniejszych — że istnieją drogi pośrednie, w sumie najbogatsze w widoki. Asymilacja nie zawsze jest zdradą pamięci, zaprzeczeniem wierności, komercjalizacją duszy.

Mocną stroną literacką tej książki jest właśnie — jakby konsekwentnie do nastawienia pisarki — wszystko to, co dotyczy, co zdarzyło się w pierwszej, jedynej ojczyźnie. To co jest opowieścią o rodzinach, pierwszej miłości, okupacji. To co co jest opowiedziane po prostu, bez Freuda i bez technik współczesnej prozy. W tej książce, której akcja toczy się w Ameryce, nie ma ani cienia, ani skrawka Ameryki, poza paroma „puszczonymi”, stereotypowymi próbami karykatury.

GROBY NAPOLEONA

Historia² niecałej doby. Od momentu zbliżania się wieczorem do furki własnego domu, do następnego, ostrożnego podchodzenia do tej samej furki — w południe:

„Oderwała się wreszcie od tego węgla, tej furki i niosąc przed sobą magiczne kółko z kciuka i serdecznego palca, które już się chyba zrosły,

2. Zofia Romanowiczowa, *Groby Napoleona*, PFK, Londyn, 1972, s. 174.

ruszyła ulicą, zadzierając starym zwyczajem głowę do góry, ku oknu Mony. Szła, wlokąc się krok za krokiem, patrząc w to okno, odbite w nim słońce i słysząc w sobie, pragnąc wierzyć, że naprawdę słyszy spoza zaciągniętej firanki upragniony, jedyny na świecie głos fletu” (str. 174).

Historia Wandy odwija się do tyłu. Jest to opowieść intymna, wsłuchana w własny rytm. Świat oglądany przez jedną parę oczu, dopuszczający spojrzenie innych tylko w poczuciu winy. Trochę jak w opowiadaniach Katherine Mansfield i powieściach Wirginii Woolf. Książka Romanowiczowej — mała, rozpięta w krótkim czasie — nosi wszelkie pozory dramatu. Psychologicznego „suspensu” z dwoma niespodziankami: jedną w środku nocy, drugą o poranku. Ale te niespodzianki niczego nie naruszają. Donoszą tylko, że poza wewnętrznym, istnieje zewnętrzny rytm. Jest coś antycznego w tej małej, wypełnionej po brzegi losem — opowieści, gdzie sama bohaterka spełnia rolę chóru, który komentuje teraźniejszość i osądza przeszłość.

Jest stary dom na francuskiej wsi i samotna kobieta o arcywłoskim imieniu. Nie wiemy skąd Wanda wzięła się we Francji, w jakim lesie leżał ten rów, w którym pod koniec wojny zgwałcono młodą dziewczynę, i skąd wziął się tam Raymond, ów Francuz, który ją z rowu wyciągnął, a potem wbrew starej ciotce poślubił. W tej gdzieś we Francji leżącej wiosce, Wanda czeka na Monę, swoją dorastającą córkę, która wyjechała do Polski. My wiemy, że do Polski. Dla czytelnika obcoplemiennego mogłoby to być na dobrą sprawę każdy inny kraj. W tym innym kraju jest wioska, sad, i staw, nad którym Wanda spędziła dzieciństwo, a może także młodość.

Jest to opowieść o prostej fabule i konstrukcji: wspomnianie własnego życia, sążnienie siebie, sprowokowane intensywnością czekania. Jedną część przeszłości Wandy wtargnie tej nocy w czekanie, ową jedyną teraźniejszość, jedyną akcję książki. Jeden z trzech mężczyzn jej życia, Stefan, który nie chciał Mony, ale który chciał Wandę — odwiedza czekającą nie na niego, a na to przez niego niegdyś niechciane — i zresztą nie jego — dziecko. Mona, wtedy jeszcze nieurodzona, spowodowała że Wanda nie pojechała za ocean, za Stefanem. Dorosła i nieobecna Mona, o którą Stefan podczas nocnej wizyty nie pyta — staje się przyczyną ich drugiego rozstania.

Kim jest ta kobieta, ta Wanda? Nikim specjalnym. Jest miłością do Mony i sposobem w jakim opowiada o sobie. W tym się cała zamyka. Jest wrażliwością, histerią, nieporządkiem myśli i uczuć. Intensywnością przeżywania i umiejętnością układania swych przeżyć w obrazy tak misterne, że przestają należeć do prozy. Groby Napoleona nie są książką o kłopotach polskiej emigrantki we Francji, ani nawet o miłości matki do dziecka — tego jedynego osiągnięcia w życiu Wandy. Nie jest to powieść o trzech mężczyznach, z których pierwszy umarł na ślepą kizkę, drugi zrobił świetną karierę jako ginekolog, a trzeci — ten naprawdę kochany — chorował długo i ciężko, by potem także umrzeć. Ta niepracująca kobieta, żyjąca w domu po ciotce Raymonda, z upływem lat wspomaganą coraz większymi czekami od Stefana, spędzająca wieczory w kawiarence na rogu, by nie drażnić czekaniem Mony, ta kobieta, której jedynym zajęciem jest uprawianie ogrodu i smażenie córce naleśników — ma zawód, o którym nie wie, ale który z pasją uprawia. Wanda jest poetką. Spisującą pośpiesznie, w myślach, obrazy swojego życia, które rozwinięte starczyłyby na sporą powieść epicką.

Nieobecna Mona jest okiem i uchem tej prozy, tej poezji. Jej osąd, którego Wanda jest ciągle niepewna, ustawiczne przetrząsanie pamięci w poszukiwaniu pierwszej winy, pierwszego potknięcia — zaważyły na stylu, na antypetyckości tej książki. Nawet tytuł, pozornie z heroicznej elegii, odnosi się do momentu, kiedy to po śmierci trzeciego mężczyzny Wanda

pozwołała sobie na luksus rozpacz, i kiedy Mona ją na tej rozpacz, układającą pasjansa, przyłapała. Groby Napoleona to jakaś figura w kartach.

Przesadna, zabobonna, chimeryczna. Z natury niezbyt wierna i pozbawiona materialnych pragnień. Traktująca trwanie jako łaskawy los. Zdziwiona że ją kiedyś kochano. Słaba i uparta. Stworzona do bycia w cudzym życiu, w cudzym istnieniu — bez żadnych z tego powodu kompleksów. Istniejąca samodzielnie tylko przez swój zmysł obserwacji. Ofiara miłości do dziecka, przy którego istnieniu kiedyś się uparła. Natura bez pryncypiów. Dziedziczka na impresjach, wcale nie gardząca tandetą, drugorzędnym detailem, często dosadna, czasem sentymentalna. Obdarzona słowem, darem kojarzeń, umiejętnością doboru:

„To chyba największy z sekretów, jaki stał pomiędzy nią a Moną, nigdy nie wspominała jej jak żyło się pomiędzy wilkami. A cóż dopiero o rowie. Ale cenzura matczynej biografii nie pomogła, w Monie był lęk przekazany zapewne przez krew. Musiała mieć we krwi ciatka strachu. Taką zepsutą kwią nie powinno się z nikim dzielić. Zmartwychwstańcy nie powinni płodzić. Albo to Łazarz miał dzieci?” (str. 53).

Ale szkoda wrywać te zdania z kontekstu. Żyją pełniej, prawdziwie, nieoddzielone od siebie. W sposób najbardziej naturalny biegną w tył lub w przód, skracając czas czekania. Ich wdzięk jest trochę kruchy, jak wdzięk wszelkiej prozy impresyjnej, poetyckiej, zawsze trochę idealizującej tego, który ją układa. Są to zdania świadome swojej urody i jej uwarunkowań. Nie żyją, nie przyciągają poza swoim tłem, poza własnym kontekstem. Ale przyjemność w trakcie lektury jest autentyczna i prawie niesłabnąca.

Janina KATZ HEWETSON

Krajowe nowości wydawnicze

ESEJE

Paweł HERTZ: *Świat i dom*. Szkice i uwagi wybrane. Warszawa, 1977, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8^o, str. 346.

Zainteresowania Herta skupiają się na dwu tematach: zwalczaniu polskiego kompleksu niższości w stosunku do Zachodu i znaczeniu tzw. „poetów mniejszych” w ogólnym dorobku piśmiennictwa narodowego. Ten drugi temat ma w nim najkompetentniejszego obrońcę: bez przesady powiedzieć można, że Hertz przywrócił literaturze setki zapomnianych pisarzy i uczy patrzeć łącznie na ich dorobek literacki i działalność społeczną i polityczną. Badaniom dzieła literackiego, traktowanego jako samoistna i oderwana od życiorysu twórcy całość, przeciwstawia pojęcie literatury „sprzężonej”, organicznie związanej z sytuacją kraju i twórcy. „Dziady”, „Kordian”, „Wesele” są znakomitymi przykładami arcydzieł, których pełne zrozumienie wymaga znajomości realiów pozaliterackich. (Tu dodam, popierając jego punkt widzenia, że w marcu 1978 portugalscy

widzowie „Wesela” Wajdy wychodzili z seansu przeświadczeni, że jest to film o pijaństwie polskim i że chochoły w sadzie są krzakami winorośli).

Nie negując roli wielkości uznanych i wykazując wyraźną predylekcję dla Słowackiego, stara się Hertz o podwyższenie lokaty twórców ongiś bliskich ogółowi a dziś lekceważonych z Konopnicką („czarną ziemią poezji”) i Lenartowiczem na czele. Inwentarz XIX-towiecznych tradycji jest nie do pomyslenia bez Zaleskiego, Goszczyńskiego, Pola, Syrokomi, Lenartowicza, Asnyka i Konopnickiej, przesadnie pomniejszanej, jak to już wcześniej dowiodła Maria Dłuska. „Sznujemy stare instrumenty muzyczne, nawet jeśli są katarynką, bez nich bowiem nie byłoby muzyki — pisze Hertz *à propos* Konopnickiej. — Jak powiada książę Orsini w „Wieczorze Trzech Króli”:

*Chciałbym raz jeszcze pieśń usłyszeć starą,
Którą ostatniej śpiewano mi nocy,
Bo większą ulgę przyniosła mej duszy
Niż skoczne arie w wielkiej teraz modzie.
Choć jedną zwrotkę”.*

(II, 4, przekł. L. Ulricha)."

Hertz przypomina słusznie, że w dawnych czasach „Poezja była rzemiosłem i tylko u bardzo wielkich twórców owo rzemiosło służyło rzeczy ważniejszej, głębszej, a mianowicie wypowiedzianiu siebie, krytyce widomego świata, przekazywaniu własnych o tym świecie myśli”. Łączy się z tym przypomnienie wielokrotnych przekładów tych samych tekstów, swoistych konkursów biegłości w sztuce rymotwórczej, a była to niewątpliwie szermierka poetycka wysokiej klasy. Twierdzi przy tym, że nawet przy doskonałej wierności przekładów „datują się” one z latami i dlatego podpisuje się pod opinią T. S. Eliota iż „Każde pokolenie musi tłumaczyć dla siebie”. Stąd wnikliwe uwagi o przekładzie „Odysei” Wittlina i ciepła wzmianka o „nowej Iliadzie” Wieniewskiego. (Dwie ostatnio wymienione książki są dotąd konfiskowane w przesyłkach do PRL'u).

Przy lekturze szkiców Herta bije w oczy jasność wypowiedzi. Pewien młody IBL'owiec biadał rzekomo: „O ileż zawilej i uczeniej można by to samo ująć!”. Ale właśnie ten sposób wypowiedzi bardzo się Hertzowi chwali. „Retro?” — „O.K.”.

POWIEŚCI

Marek SKWARNICKI: *Spotkanie w Lozannie*. Warszawa, 1977, Czytelnik, 8^o, str. 196.

Oczywiście i tak bywa. Piękna Magdalena, opuściwszy Kraj (ze złamanym sercem), ułożyła sobie dostatnie i spokojne życie w małżeństwie ze Szwajcarem zatrudnionym w Lozannie w biurach wytwórni produkującej „Nescafé”. A teraz cierpi i obija się bezradnie po luksusowym mieszkaniu z widokiem na Leman. Idąc utartym szlakiem Skwarnicki ukazał owego Bogu ducha winnego męża jako groszoroza zadawalającego się (w przeciwieństwie do Polaków???) pięknym mieszkaniem, kosztownym samochodem i swobodą poruszania się po świecie. Monotonie życia neo-Szwajcarki (z własnego wyboru), odcinającej się od polskości, przerywa „spotkanie w Lozannie” z niecnym Dominikiem, który przed kilkunastu laty przestał ją kochać i porzucił, na szczęście samotną. Spotkanie jest niemal w 100 % przypadkowe, choć pomogła do jego realizacji kartka z życzeniami świątecznymi przesłana Dominikowi po wielu latach milczenia. Zbiegiem okoliczności w Lozannie toczyły się obrady Kongresu „Serca świata” zwołane przez Międzynarodowy Komitet Ludzi Dobrej Woli, i całkiem przypadkiem wysłano

na tę nieprawdopodobnie pomyslaną imprezę właśnie Dominika w roli dziennikarza-sprawozdawcy. Stąd okazja odświeżenia odsuniętych na boczne tory wspomnień — próba nieudana, bo autorowi, jako wybitnemu działaczowi katolickich organizacji międzynarodowych nie wypada nawet w imaginacji opisywać praktyk cudzołóstwa. Bohaterka powieści cierpieliwie przyhamowuje zapędy Dominika i szwajcarski *brief encounter* kończy się dramatycznym pożegnaniem na dworcu w Lozannie. Magdalena, płacząc, wycofuje się z obietnicy przyjazdu do Polski, a obolały Dominik uwozi plastikową torebkę z sandwiczami i dzinsy marki Wrangler dla syna z rozbitego krajowego małżeństwa.

Kongres „Serca świata”, stanowiący tło powieści i wyznaczający ramy czasowe niespełnionego romansu, daje okazję do wielu spostrzeżeń, odnoszących się nie tylko do tej fikcyjnej imprezy. W „Spotkaniu w Lozannie” bierze udział grono przypadkowo dobranych delegatów z całego świata, skwapliwie korzystających z możliwości przyjazdu do Szwajcarii na koszt organizacji, opierającej swe istnienie na zapisie milionera szwajcarskiego-utopisty, który pod godłem „serca świata” chciał skupić przedstawicieli wszystkich nacji i wszystkich części świata w imię hasła braterstwa i miłości bliźniego. Bo i tak może się zachować szwajcarski groszorb... W praktyce okazało się, że intencje ofiarodawcy ujęte były tak mgliście i tak ogólnikowo, że w owo „serce świata” trudno było wpisać jakąś konkretną akcję. Tym tłumaczy się, że i temat obrad lozańskich: „Konflikty we współczesnym świecie” znaczy wszystko i nie a w praktyce prowokuje do paplaniny na temat zwalczania analfabetyzmu, krzewienia uszlachetniających sztuk pięknych i współpracy z organizacjami o podobnych celach. I tu Skwarniki zabłysnął — mechanizm takich spotkań z nieprawdziwego zdarzenia pokazany został bezbłędnie. Okazuje się, że doświadczony przewodniczący prowadzić może obrady dowolnego kongresu a „zawodowi” delegaci wypełniają swymi przemówieniami czas przewidziany na obrady. Będą i konflikty i to nie na dalekim świecie ale na sali obrad, gdy szlachetny radykał z Zairy ścierać się będzie z Anglosasami pełnymi dobrej woli ale niezdołnymi do wczucia się w subtelne racje przeciwnika domagającego się od zgromadzonych na kongresie, „miłośników bliźnich” aby wyrzucili na zbity łeb delegatów podejmujących „próby stępienia ostrza walki ze światowym *establishment'em*”.

„Właściwie o co w tym wszystkim chodzi?” — pyta bohater powieści po dwu dniach obrad. „Powstawała z tego wszystkiego swoista wieża Babel, która dzięki systemowi symultanicznych tłumaczeń zapewniała kontakt językowy między poszczególnymi piętrami, co jednak nie zmieniało faktu, że nikt z nikim nie mógł się tak naprawdę porozumieć. Jedno było pewne, że mimo woli kongres „Serca świata” odzwierciedlał początny obraz biednej ziemi, na której wszyscy mają co prawda takie same serca, ale fakt ów jest wyłącznie zjawiskiem fizycznym. Biją bowiem owe serca dla innych idei, trwożą się innymi sprawami, tęsknią za odmiennymi obiektami miłości”. I jeśli nawet ujawniały się w toku obrad konflikty „głodu z dostatkiem, uciemięczenia z przemocą, pragnienia sprawiedliwości z pragnieniem gwałtu” — było to „bezzadne komentowanie akcji wulkanu. Każdy zgadzał się co do tego, że wulkan dymi. Czuć dym, więc trzeba zbadać jego składniki. Ale co może wyniknąć z tego rodzaju badań?”.

Trzecim wątkiem powieści są rozmowy Dominika z jednym z uczestników imprezy, Niemcem, Gruberem, psychiatrą, rodem ze Szczecina, garnącym się wyraźnie do Polaka. Rozmowy te obracają się uparcie dokoła konsekwencji psychicznych wojny, której rezultatem było m.in. to, że Gruber nie mógł ukończyć gimnazjum w rodzinnym Szczecinie a Polak zdawał maturę w murach jego dawnej szkoły. Obaj konstatują fiasko Kongresu. Niemiec wraca jednak do domu „przekonany, że świat jednak zmienia się na lepsze,

ponieważ spotkał w Szwajcarii Polaka, którego polubił”. Może o takie właśnie sukcesy chodziło twórcy „Serca świata”?

Mimo aktualności realiów powieściowych „Spotkanie w Lozannie” ma wydźwięk nieco staromodny, co w praktyce wyraża się tym, że czyta się gładko i z zainteresowaniem.

KUSNIEWICZ, Andrzej: *Lekcja martwego języka*. Kraków, 1977, Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 185.

„Lekcja martwego języka” wysuwa się na plan pierwszy w cyklu c.k. powieści Kuśniewicza. Jest, co mu się szczególnie chwali, doskonale skonstruowana, pozbawiona dłużyzn i niemal wolna od dygresji. Wątpliwość budzi jedynie włączenie do jej tekstu wykładu o ikonach; *coulour locale* jest i tak wyraźnie pokazany. Dla odkrywających Kuśniewicza powieść ta jest znakomitą wprowadzeniem do jego twórczości.

Rzecz zamknięta jest w klasycznych ramach jedności miejsca, akcji i czasu. Dzieje się w Turcie, na trasie kolejowej wiodącej ze Lwowa na Węgry, między Samborem a Siankami, to znaczy w stronach rodzinnych autora. Akcja toczy się w ostatnich dniach Pierwszej Wojny Światowej i dotyczy ostatnich dni życia gruzlika, porucznika austriackich ułanów, Alfreda Kiekeritza, zmienzonego Słoweńca, pełniącego skromne funkcje kierownika etapu przy wielkich barakach, w których stoczono rosyjskich jeńców zatrudnianych w miejscowym tartaku i porastających zbocza górskie lasach.

Jeśli „Sól ziemi” Wittlina uznamy za otwarcie nawiasu, ta powieść jest jego zamknięciem. Piotr Niewiadomski wyrusza na wojnę z budki na torze kolejowym; por. Kiekeritz wypływa resztki płuc i życia na nasypie naprzeciw budki droźnika Nr 2 obsługiwanej przez niejaką Lizę Kut, zastępującą zmobilizowanego kolejarza. Tam, u Wittlina, rozpoczynał się rozdział historii tu, w zawstydzającej atmosferze kłęski, kończy się Austria Franciszka Józefa.

Por. Kiekeritz jest wychowankiem szkoły oficerskiej w Wiener Neustadt a oficjalna jego biografia nie wygląda źle. Jest melomanem, swobodnie cytuje Mallarmé'go, kolekcjonuje porcelanę miśnieńską i stare ikony. Jest niewątpliwie dobrym synem matki mieszkającej w Grazu. I tu stop — i potrzeba komentarza. Kochający syn wysyła na adres matki skrzynię po skrzyni naładowaną porcelaną, sztychami, ikonami i wszelkimi „starociami” stanowiącymi w naszym pojęciu łup wojenny. Porucznik zaprotestowałby przeciw takiemu określeniu wyników jego akcji zbierackiej, gdyż cechowało go swoiste poczucie praworządności. Opowiedziałby zapewne o zasobnym w antyki dworze czy pałacu, w którym — w toku działań wojennych w tarnopolszczyźnie — oglądał kolekcję starej porcelany. W kilka dni później na pogorzelisku owej wiejskiej siedziby wyszukał w zgłiszczach fragment figurki „ptaka-nieptaka” i rokokową „twarzyczkę markiza w białej peruce niby ptaśi czub”. I właśnie wtedy zrodziło się w jego umyśle pytanie, czy zabierając zawczasu zagrożone dzieła sztuki „nie ratuje się ich przed pogrochotaniem przez tuszecę”? Raz się rozgrzeszywszy, nie omijał już później okazji i zawsze miał na podorędziu zapas waty, bo nieraz wypadało „ścierać ostrożnie ślady krwi z jakiegoś sztychu, z talerza Alt-Wien albo i Sèvres czy też Limoges”. Nie ulega wątpliwości, że owe kolekcjonerskie zatrudnienia odwracały jego uwagę od okropności wojny i sprawiały, że gdy trzeba było oderwać się od artystycznych poszukiwań, by na rozkaz zwierzchnika zastąpić kolegę w dowodzeniu plutonem egzekucyjnym, taka dystrakcja przychodziła mu bez większych skrupułów, gdyż była to po prostu jedna z egzekucji „przykładowych”, bez sądu, stosowanych dla oczyszczania terenu z wrogich elementów buntowniczych. Kuśniewicz w sposób bardzo precy-

zyjny demonstruje, jak w umyśle wyrafinowanego intelektualisty odbywa się podział czynności na „służbę” i życie prywatne.

Zasada „od łyżeczki do remyczki” pozwoliła por. Kiekeritzowi na szybkie rozszerzanie akcji zabezpieczania antyków. Jedną z jej form było wyszukiwanie ikon w starych cerkiewkach i kapliczkach. Płacił za nie „co łaska”, wyzyskując ciemnotę i chciwość ich przygodnych opiekunów, wiejskich parochów. Kiedy indziej wydłubywał talerz z saskiej porcelany z kurzych odchodów pod schodami ganku. I tak zapełniała się skrzynia po skrzyni.

W sposób bardziej skomplikowany oswajał się bohater „Lekcji martwego języka” z zabijaniem istot żywych. Sam, gruzlik na wykończeniu, szedł na spotkanie własnej śmierci. Z tym było inaczej. Przed laty, idąc z przyjacielem (przyjaciółek w jego życiu nie było) aleją cmentarza Montparnasse w Paryżu trafił na posąg, na którym „uskrzydłony młodzieniec, podobny nieco do Erosa, w geście wyraźnego omdlewania jakby miał się za chwilę osunąć na dziewczęce kolana (patrzyli na nie przez chwilę z nieukrywaniem zachwytem), trzymał w ręce bukiet nachylony ku dołowi”. Źle odczytany napis (*souvenir*) pojął jako *avenir* „obietnicę dalszego ciągu, następnego, bardziej istotnego istnienia”, „wyraźną zapowiedź wieczności”, wobec której życie doczesne jest czymś „prowizorycznym, mało istotnym, bo nietrwałym”. Ta interpretacja posągu załatwiała jego własny problem. Aplikowana do innych, osłabiała poczucie grozy wobec śmierci wojennych.

Nieocenioną lekcją zabijania, wprowadzeniem do tej swoistej „sztuki” było dla Kiekeritza myślistwo. I tu, w roli inicjatora, pojawia się kapitalna postać nadleśniczego Aloisa Szwandy, rozkochanego w broni myśliwskiej, specjalisty od przygotowywania upolowanych okazów do wypchania. Lekcji właściwego odpływania rogów od czaszki jelenia nie da się zapomnieć, Porucznik dzieli z leśniczym uniesienia jakie łączą się u rasowego myśliwego z celnym strzałem do „wspaniałego szesnastaka”: „Serce zamiera z zachwytem, niemal miłości, urzeczenia! I już luneta przy oku, jej koło przekreślone cieniutkim krzyżem sporządzonym z dwu metalowych nitek obejmuje miłośnicie cel, a palec już na cynglu”. Lekcja ta odezwie się na końcowych kartach powieści, gdy por. Kiekeritz wyrusza na stok w pobliżu potoku ze sztucerem marki Mannlicher uzupełnionym pożyczoną od Szwandy lunetą. Używał go dotąd dwa razy — do ustrzelenia w locie jastrzębia koło Kamieńca Podolskiego i, gdzieś za Fastowem, do uciekającego żołnierza rosyjskiego. Chybił. Trzeci raz strzelał na wiwat. A teraz, usłyszawszy szelest, wypatrzył w jesiennej czerwieni liści jeńca, Mychajła, zatrudnionego na wyregbie. Nie miał wątpliwości, że ucieka. Przyłapał go myjącego się w potoku i przed długą chwilę delectował się widokiem obnażonego torsu. Uciekinier obejrzał się i dostrzegłszy Kiekeritza znieruchomiał. „Wtedy padł strzał i porucznik Kiekeritz natychmiast doznał ulgi”. Wracając „pomyslał sobie, przypominając jakiś czytany czy zasłyszany werset: „*L'assassinat est, e'est connu, l'un des beaux-arts*” — i przez chwilę zastanawiał się nad problemem, „co w czasie działań wojennych można uznawać za zbrojstwo nieodłączne od każdej walki zbrojnej, a co już za morderstwem?”. W chwilę potem, dostrzegłszy na niebie „dużą zieloną gwiazdę” dostrzegł w niej symbol bogini śmierci, Diany, „poczuł pustkę w głowie” i osunął się na ziemię. Tak znalazła go na nasypie drożniczka, Liza Kut, „służebnica bożka Seta”.

Cytata francuska o morderstwie jako sztuce pięknej wiązała się w umyśle Kiekeritza z dwoma ulubionymi jego obrazami. Jeden — to „Salome” Gustawa Moreau — z oczekującą krwią głową św. Jana. Drugi — to Felicjana Ropsa „Kochanka Chrystusa”, Maria Magdalena, przykładająca do ran Chrystusa realistycznie splamioną płachtę. Swoistą maskotą był dla niego fragment figurki przedstawiającej Dianę z Efezu, w której widział boginię nie tylko łowów, ale i śmierci.

Przejęcie od zabijania zwierząt do egzekucji na ludziach dokonuje

się u Kiekeritza stopniowo, w drodze przewrotnych przemyśleń, w wyniku których rządy portretów rodzinnych i rogów jelenich przeobrażają się w świadectwo przechodzenia upodobań z pokolenia w pokolenie. „Lekcja” ilustruje ten proces w przyspieszonym tempie, na przykładzie sposobu rozumowania nijakiego w gruncie rzeczy austriackiego oficera, pozostawionego sobie na marginesowym posterunku.

Powieść Kuśniewicza zbudowana jest wokół osoby Kiekeritza. W tle rysuje się jednak wyraźnie kilka postaci: wspomnianego już leśniczego; landsturmisty Moszka Kapłana — „posta” w barakach jenieckich; właściciela hoteliku Wasserzuga; Cyganki; siostry Iriny Parafińczuk z punktu sanitarnego na dworcu; i wreszcie drożniczki z zakończenia powieści, która szesnastego listopada 1918 załadowuje się do wagonu towarowego z trumną Kiekeritza, by dostarczyć ją matce w Grazu. Ktoś poradził jej, by skrzynię trumnę opatrzyć napisem. Analfabetka, jedno tylko umiała reprodukcować: „I.N.R.I.”, „tak jak gdzieś widziała”. Że zaś nie było farby ani smoły napis wykonała palcem „umazanym własną krwią miesięczną, którą zesała jej księżyc, a może Diana, bogini śmierci”. Do teje skrzyni załadowano ostatnie nabytki Kiekeritza: oleodruki, ikony i kopię „Salome”.

Jak w poprzednich powieściach tak i w „Lekcji martwego języka” Kuśniewicz kreśli znakomite obrazy środowiska, w którym toczy się akcja. W sumie otrzymujemy niezmiernie plastycznie odmalowany obraz Podkarpacia sprzed sześćdziesięciu lat, nasuwający analogie z ewokacjami Stanisława Vincenza, Józefa Wittlina czy Zygmunta Haupta. Jest to już dzisiaj obraz świata, z którego znikł ówczesny element ludzki, owa barwna mieszanina narodowości i języków, a pozostała tylko uroda krajobrazu i świadectwa pisarzy. Ten świat rysuje się ostro na kartach powieści a także — pachnie. Kuśniewicz potrafi przekazać słowami zapach leku z kreozotem, którym ratuje się dogorywający gruzlik, zapachy przedziałów kolejowych różnych klas, a wreszcie różnice w swędzie pogorzeli. Inaczej pachnie palący się skład mundurów, inaczej magazyn z workami cukru czy maki...

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

5. II. 1978

Nadesłane nowości wydawnicze

Herbert Hoover and Poland. A Documentary History of a Friendship. Opracowanie i wprowadzenie George J. Lerski. Przedmowa senatora U.S. Marka O. Hatfielda. Str. 124 i 4 nlb. (Wyd. Hoover Institution Press, seria Hoover Archival Documentaries; Stanford University, Stanford, Calif., 1977; cena Dol. 10,95).

RANNIT (Aleksis). *Donum Estonicum*. Poems in translation. Str. 67 i 9 nlb. (Wyd. The Elisabeth Press, New Rochelle, N.Y., 1976).

RAUCH (Hans-Georg), LAUB (Gabriel). *Double-Barreled Attack*. Translated by Charles Scribner, Jr. Str. 94 i 4 nlb. (Wyd. Charles Scribner's Sons, New York, N.Y., 1977; cena Dol. 6,95).

Ingardeniana. A Spectrum of Specialised Studies Establishing the Field of Research. *Analecta Husserliana* — The Yearbook of Phenomenological Research, volume IV. Edited by Anna-Teresa Tymieniecka. Str. 438 i 6 nlb. (Wyd. D. Riedl Publishing Co., Dordrecht - Holland/Boston, USA, 1976).

- Australia as a Multicultural Society.* Submission to the Australian Population and Immigration Council on the Green Paper, Immigration Policies and Australia's Population — August 1977. Str. 19 i 3 nlb. (Wyd. The Australian Ethnic Affairs Council; Australian Government Publishing Service, Canberra, 1977).
- MOSTWIN (Danuta). *Uprootment and Anxiety.* (Nadbitka z *Int. J. Ment. Health*, vol. 5, No. 2, str. 103-116; International Arts and Sciences Press, 1976).
- Golden Jubilee.* Golden Anniversary Polish Canadian Society Edmonton-Alberta. Str. 41 (w języku angielskim i polskim). (Wyd. Towarzystwo Polsko-Kanadyjskie, Edmonton, 1977).
- GASIŃSKI (T. Z.). *Captain John Dominis and his Son Governor John Owen Dominis.* Hawaii's Croatian Connection. (Odbitka z *Journal of Croatian Studies*, Vol. XVII, 1976, str. 32).
- GASIŃSKI (Tadeusz Z.). *A Note on Count Strzelecki's Visit to Hawaii.* (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XX, Nos 2-3, 1975, str. 8).
- GÓRSKI (Bohdan J.). *Die Investitionsprojekte im Verkehrswesen und die Regionalpolitik in den Entwicklungsländern.* Eine empirische Untersuchung-Beispiel Zaire. Str. 220 i 6 nlb. (Wyd. Peter Lang, Bern-Frankfurt am Main-Las Vegas, 1977; seria Europäische Hochschulschriften, Reihe V Volks- und Betriebswirtschaft, Bd. Vol. 139).
- GÓRSKI (Bohdan J.). *Internationale Arbeitsteilung und Entwicklungspolitik.* (Fotokopia z *Mittelstandsmagazin*, Nr 12/77, str. 23-26).
- Polnische Literatur in deutscher Übersetzung 1945-1977.* Str. 80 (wyd. II). (Wyd. Stadbücherei Dortmund, 1977).
- ZEROW (Mykoła). *Lekciji z istoriji ukraińskoj literatury (1798-1870).* Pod redakcją Doreen W. Gorsline i Oksany Solovey. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. The Canadian Institute of Ukrainian Studies, Mosaic Press, Oakville, Ont., 1977; cena Dol. 3,95).
- SHANKOWSKY (Lew). *Ukraińska hałycka armia.* Wojenno-istoryczna studija. Str. 396 i 4 nlb. (Wyd. D. Mykytiuk, second lieutenant of Ukrainian Army, Winnipeg, Canada, 1974).
- FILIPPOW (Boris). *Szkatulka s dwójnym dnem.* Str. 233 i 1 nlb.
- Liepszyja dumki człowieka.* Tom I. Wybór i opracowanie Jan Piatrouski. Str. 205 i 1 nlb. (vary-tiper). (Wyd. Byelorussian Charitable Educational Fund, Inc., Gainesville, Fla, 1977; cena Dol. 7).
- Bajawaja uskałoś.* No 16. Byelorussian Literary Magazine. Str. 32. (Wyd. Bielaruski Golas, Toronto, Ont., 1977).
- Anagrafy.* No 1, november 1977. Str. 20. Redaktor dr George Piotrowski. (Wyd. Byelorussian Charitable Educational Fund, Inc., Gainesville, Fla; cena numeru Dol. 1,50).
- STAWAR (Andrzej). *Libres sayons marxistas.* Tłumaczenie z wydania francuskiego José de la Colina. Str. 223 i 1 nlb. (Ediciones Era, Mexico, 1977).
- De CERVANTES SAAVEDRA (Miguel). *El Rufian Dichoso.* Redakcja, wprowadzenie i noty dr. Floriana Śmieji. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Editorial Ebro, Zaragoza-España, 1977).
- VIDOVIĆ (Mirko). *Sakrivena strana mjeseca. Zapiši o Titovim tamičama.* Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Knjižnica Hrvatske Revije, Monachium-Barcelona, 1977).
- SUBOTKIN (Wacław). *Skrzydła polskie we wrześniu 1939 roku.* Str. 65 i 3 nlb. (maszynopis). Szczecin, 1972 r.
- SUBOTKIN (Wacław). *Fakty.* Część VI — str. 149 (maszynopis); uzupełnienie cz. VI — str. 84 (maszynopis); ciąg dalszy uzupełnienia cz. VI str. 11 + odpisy dokumentów i wycinki prasowe. Szczecin, czerwiec 75 - czerwiec-lipiec 77.

Polemiki

Konspiracja czy zabawa w Indian?

Tylko co przeczytałem w *Kulturze* — „*Salus*” i konspiracja Klimkowskiego — Zdzisław Baua.

To pierwsza tak pełna i autentyczna opowieść o konspiracji w Armii Polskiej w Turkiestanie i Iraku, którą dla uproszczenia nazywać będę Armią generała Andersa (1942-1943). Odczytałem również mój tekst „O paszkwiliu” (*Kultura* Nr 6/140 z 1959 r.), którego tematem są te same — przeze mnie widziane — wydarzenia. Wspomnienia Baua (świetne) zdały mi się prawie dalszym ciągiem moich wspomnień o tamtych wypadkach.

Chciałbym tu jedynie wnieść kilka faktycznych poprawek i zastrzeżeń istotnych.

Myli się Bau zaliczając mnie do członków przysiężenia. Nigdy do organizacji Klimkowskiego nie należałem i nigdy, ani przez chwilę, nie zamierzałem się do niej włączyć. Moją rolą, jako szefa Propagandy, była w tamtym okresie konieczność zorientowania się w sytuacji i nie dopuszczenie do wybuchu, do krwawego puczu, który co raz to wydawał mi się możliwy i groźny. Adolf Bocheński, którego Bau wspomina, był rzeczywiście w pewnej chwili zainteresowany tym ruchem, skierowanym przeciwko ówczesnemu Londynowi. Sam go zetknąłem z Klimkowskim, który przyznał się jemu i mnie do organizowania przysiężenia. W okresie bliskim powstania „mapy Jagiellońskiej” Bocheński już się był odciął kategorycznie od Klimkowskiego, ale o tym potem.

Mój osobisty stosunek do Jerzego Klimkowskiego i jego akcji dokładnie opisałem we wspomnianym numerze *Kultury*. Bau i Raciński, moi bliscy współpracownicy, tkwili w jego organizacji entuzjastycznie. Sam Bau to stwierdza — zaś Klimkowski był uważany przez nas przez długi czas za najbliższego człowieka Andersa: kursował nieustannie między Generałem, oddziałami i „Propagandą”, w której co raz to drukował parę złotych myśli pod hasłem „*Salus Reipublicae*”. Kursował również jako namiętny agitator własnych pomysłów zbawienia Polski.

Moja ocena Klimkowskiego: prymityw, o dziwnej energii, wierzący że on jeden Polskę ocali przed Stalinem i Anglikami albo ze Stalinem i Anglią, gotów się z diabłem sprzymierzyć, jeżeli będzie mu pomocny, na pewno nie świadomy agent sowiecki, ale niewątpliwie postać dla NKWD do wykorzystania.

Dlaczego jednak przez szereg miesięcy byłem z nim w kontakcie, prawie w przyjaźni? Zawdzięczałem mu, jako prawej ręce Generała, bardzo wiele w mojej walce o zespół Propagandy z prawdziwego zdarzenia. Chodziło mi nieustannie o wciągnięcie do zespołu ludzi zdolnych, prawdziwych inteligentów, a trzeba ich było wyłuskiwać z oddziałów. Proces ten był zwykle niezmiernie powolny, udawało mi się uzyskać udzieloną na piśmie zgodę Generała, ale było to jeszcze dalekie do realizacji, bo dowódcy wszystkich oddziałów bronili się jak lwy przed odbieraniem im ludzi potrzebnych. Każdy profesor uniwersytetu mógł przecież spełniać pożyteczne role np. telefonisty czy kancelisty. I to załatwiał dla nas „Jurek”. Walił do oddziałów autem Generała i żądał natychmiastowego wykonania rozkazów. I tak udało mi się ściągnąć do Propagandy wielu. Sam byłem usposobiony bardzo nieufnie do tajnych posunięć Klimkowskiego, który był gotów głosić z dnia na dzień co innego dla pozyskania stronnika czy wyznawcy w imię zbawienia Rzeczypospolitej. Bocheńskiemu Klimkowski imponował (zresztą i mnie) dziką energią, gotowością błyskawicznych decyzji i darem zyskiwania sobie młodych oficerów i podchorążych. Klimkowski grał na narastających tarcach między Londynem i Sztabem Andersa, między Andersem i Sikorskim, które się już w Rosji zarysowywały. Miały one tło głębsze niż jedynie walka o realną władzę nad wojskiem, była to zasadnicza rozbieżność stosunku do Rosji Sowieckiej. Sikorski wraz z ambasadorem Kotem liczyli, że przecie dogadać się będzie można z Sowietami, ze Stalinem, że wskutek tego armia polska *per fas et nefas* tam powinna się organizować, tam przetrwać i z armią Czerwoną wejść do Polski. Anders ani chwili nie wierzył w lojalność sowiecką, w dotrzymanie elementarnych zobowiązań, koniecznych do stworzenia armii polskiej na terenie Rosji i ostatecznie, wiedziony własnym instynktem, wbrew polityce Sikorskiego wyprowadził armię polską z Sowietów wraz z tysiącami kobiet i dzieci zesłanych w głąb Rosji.

Na Bliskim Wschodzie już prawie nie pamiętano o fakcie że Sikorski, wbrew opozycji niezłomnych, zdecydował się na nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami i spowodował przez to uwolnienie wielu tysięcy Polaków z obozów, za to fakt, że Andersowi zawdzięczaliśmy wyprowadzenie z Rosji — pamiętaliśmy wszyscy. Nikt kto tam nie był nie potrafił sobie wyobrazić temperatury obsesji antysowieckiej, tłumionej i przemilczanej gdy żołnierze byli w Rosji — żołnierze których kolegów i rodziny mordowano w Gułagach i głodzono w kołchozach. Kiedy po przyjeździe Sikorskiego na Bliski Wschód rozszła się wieść o planach zastąpienia Andersa gen. Zającem, potem zaś w każdym razie uszczuplenia jego władzy o czym Sikorski sam mówił na odprawie dla oficerów, całe wojsko, które wyszło z Rosji było gwałtownie za Andersem — i na tej strunie grał Klimkowski, który naturalnie uchodził wówczas za zupełnie oddanego Andersowi człowieka. „Sikorski jest miękki, Sikorski nie umie bronić naszych spraw w Londynie. Sikorski kadzi Stalinowi, po-

maga mu zaręczając, że wszyscy nasi koledzy z łagrów zostali wypuszczeni, jego ministrowie są 'do luftu', wszystko starcy, my, młodzi, potrafilibyśmy politycznie grę rozegrać inaczej". Były w tym tony złudzeń, wiara we własne możliwości, nie orientowanie się w sytuacji politycznej Londynu, ale również bardzo wiele słusznych krytyk przeciw polskiemu Londynowi.

W tym właśnie okresie, przed samym przyjazdem Sikorskiego na Bliski Wschód, powstała „mapa Jagiellońska”, której wykonawcami byli przede wszystkim Bau i Racięski. Dziś mówi się o niej jako o kolosalnej gafie politycznej, cennej dla Sowietów, do których naturalnie mapa szybko trafiła. „Widzicie tych Polaków — oni chcą już dziś całą Białoruś i Ukrainę oderwać”. Nikt jednak nie pamięta obecnie, że wtedy, w wojsku, żyliśmy niemal wszyscy pod znakiem, że „krzyż splugawiony razem z młotem padnie”. A wtedy? Dlaczegoż federacja narodów polsko-białorusko-litewsko-ukraińska nie mogłaby zaistnieć jako jeden z wariantów nawet przez Zachód przyjętego planowania Europy powojennej? Według Baua mapa, którą pokazano Sikorskiemu po wylądowaniu w Kairze, wywołała między Sikorskim a Andersem natychmiastowy konflikt, który tak na ich stosunkach zaciążył. Moja wersja przyczyn tego zatargu była inna, ale o tym już w *Kulturze* pisałem.

A jaka była moja rola w ukazaniu się tej mapy? Nie miałem chyba wówczas wątpliwości, że mapa robi się *niby* poza plecami Andersa, ale za jego wiedzą. I dotychczas przypuszczam, że Anders o niej nie wiedział. Gdy jednak ten projekt tajnego druku mapy został u nas przyjęty, razem z Klimkowskim zawiozłem jej kliszę w nocy, autem Generała, do Adolfa Bocheńskiego, który tej nocy był oficerem służbowym i przeprowadziłem — naturalnie przy całkowitym poparciu Adolfa — że na mapie będzie zaznaczona nie tylko Polska, ale: Polska, Ukraina, Litwa i chyba Białoruś. Klimkowski zgodził się na to bez trudu — nam zdawało się to zasadnicze — ale wypowiedział kilka słów cynicznie tępych, że jak Polska będzie u władzy etc. Adolf wprost rzucił się na Klimkowskiego i z wściekłością, prawie z piskiem, oświadczył, że ma już dość tych nacjonalistycznych bredni. O ile sobie przypominam, od tej chwili stosunki Klimkowskiego z Bocheńskim zostały zerwane.

Do dziś nie wiem jaka była ilość tych oficerów zaprzysiężonych Klimkowskiemu. Czterystu? — jak pisał w którymś ze swych raportów dla Londynu ambasador Kot, co zdaje mi się liczbą z palca wyssaną — może było ich czterech, a może trzydziestu?

A jaka była w tym wszystkim rola Andersa? Gdy narastała tarcia pomiędzy Sikorskim a Andersem, to zarzewie — „Salus” — było Andersowi przez pewien czas użyteczne, ale kiedy ten płomyk przestał być potrzebny, Anders brutalnie go zgasił aresztując Klimkowskiego.

Nie zapomnę mojej wizyty u Generała wczesnym rankiem

w Bagdadzie, w dniu kiedy Sikorski opuszczał Irak — wtedy sprawa dowództwa Andersa miała być ostatecznie zatwierdzona lub przekreślona. Klimkowski był już wtedy w zupełnej niełasce, usunięty z adiutantury — nie było go.

Ale tego dnia, w którym wszystko zależało od ostatniej decyzji Sikorskiego, wezwał mnie Anders, omówił parę spraw wydając kilka zarządzeń i nagle spytał:

„— Pamiętasz Akbah-Ułana z 'Potopu'? Kiedy Kmicic kazał mu zalec w lasach?”.

Chwila milczenia:

„— Sprowadziłem Klimkowskiego do Bagdadu”.

Azja okazał się niepotrzebny, skończyło się na zbożnej fasadzie „kochajmy się”?

Jeszcze kilka uwag na marginesie artykułu Baua. Jego komentarz i domysły w związku z wyjściem wojska polskiego z Rosji, próba powiązania tej decyzji i zgody na to Stalina z Katyniem — mnie nie przekonują. Anders, długo przed rewelacją Goebbelsa, nie wierzył już, że nasi koledzy jeszcze żyją i sam mi to powiedział (cytuje to w „Nieludzkiej ziemi”), ale na to nie trzeba było spotkań z Żukowem i gróźb ze strony Andersa, że nie będzie mógł opanować oburzenia żołnierzy, gdy dowiedzą się o Katyniu, o którym Anders wówczas na pewno nie wiedział, a Żukow — prawa ręka Berii — na pewno słowem nawet o tym nie pisał.

To czysta fantazja.

Inna rzecz, że wyjście naszego wojska z Rosji było nie tylko planem i pragnieniem Andersa, ale nie wykluczone, że i Stalin sobie tego życzył.

Druga sprawa, gdzie również z Bauem się nie zgadzam, to jego ocena Bąkiewicza, którą bardzo zromansował, opierając się na domysłach i insynuacjach. Nie wątpię, że Bąkiewicz, jako szef „dwójki”, wiedział bardzo wiele — było jego obowiązkiem trzymać rękę na pulsie. Ale jak informował Generała o „Salusie” nie wiem — i Bau też nie wie. Osobiście jestem przekonany, że Generał wszystkiego się przynajmniej domyślał, a Bąkiewicz wszystko wiedział.

Z Andersem łączyła Bąkiewicza jego absolutna wobec Generała lojalność i poglądy polityczne do szpiku kości antysowieckie. Wiem, że w dwóch wypadkach z „Salusem” — zagrał. Raz gdy trzeba było unieszkodliwić niedorzeczny plan Taszkientu (o którym pisałem w *Kulturze* szczegółowo), drugi — kiedy zaarrestowanie Klimkowskiego, pod tym czy innym pretekstem, stało się konieczne.

Zachowałem o nim wspomnienie jako o człowieku, który umiał być przyjacielem, który umiał przeróżne sprawy ogarniać myślą wielostronną i czujną i który przede wszystkim był wierny sprawie, której służyliśmy wszyscy, i wierny Generałowi — naszemu Kmicicowi — do śmierci.

Józef CZAPSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

25-12-77

Zmarła w Fiszorze, koło Niegowa siostra Benigna — Stanisława Umińska, Samarytanka. W latach 20-tych była wybitną artystką sceniczną, związaną z Teatrem Polskim w Warszawie. W czasie okupacji była przełożoną domu S.S. Samarytanek w Henrykowie.

15-3-78

W PRL buduje się obecnie 6 nowych kopalni węgla, a 18 poddawanych jest rekonstrukcji lub rozbudowie, co zwiększy ich zdolność wydobywczą średnio o 70 %. Na 1980 rok planuje się wydobyć 210 milionów ton węgla. ■ Z powodu ogromnego deficytu PZU, dochodzącego w niektórych kategoriach ubezpieczeń samochodowych do 70 %, podniesiono stawki ubezpieczenia. Tak np. za Fiata 125 opłata roczna wyniesie zł 2.900 zamiast dotychczasowych dwóch tysięcy. ■ Kurs walut krajów socjalistycznych pozostał w PRL bez zmian, ale podwyższono opłaty turystyczne do 25 % (dotychczas wynosiły 12 %) wartości nabywanych walut. Podniesiono również opłaty przy prywatnych, indywidualnych wyjazdach do krajów zachodnich i Jugosławii. Wynoszą one obecnie 100 % wartości nabywanych walut. Zwiększono dwuletnią normę przydziału dewiz ze zł 6.000 do zł 6.700. ■ W PRL działa obecnie 61 teatrów dramatycznych na 87 scenach. Dają one 350-360 premier, zatrudniając 2.027 aktorów, 81 reżyserów, 74 scenografów. Dopłata państwowa do budżetów wszystkich teatrów wynosi 2 miliardy zł. Repertuar polski stanowi 28 % całości. ■ Przy Hotelu Saskim w Warszawie jest w budowie pałac przyjaźni polsko-radzieckiej kosztem przeszło 100 milionów złotych. O tej budowie prasa krajowa nie pisze.

27-3-78

Zmarł w Krakowie, w wieku 83 lat, Konrad Olchowicz, dziennikarz, wieloletni redaktor naczelny *Kuriera Warszawskiego*, senator R.P., prezes b. Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy.

1-4-78

Warszawska *Polityka* donosi: Inspektorzy pracy z powodu wyjątkowo poważnych zaniedbań musieli w ub. roku wstrzymać okresowo pracę 1.145 oddziałów produkcyjnych, wyłączyć z ruchu 7.000 maszyn i przerwać blisko 3.000 rozmaitych robót. W styczniu i w pierwszych dniach lutego br. plan budownictwa mieszkaniowego w PRL został wykonany jedynie w kilku procentach. Ponad połowa związkowych kontroli, przeprowadzonych w ub. roku, wykryła różne niedociągnięcia i nieprawidłowości. Nadal na bazarach i targowiskach wykrywano handel nielegalnie zdobytymi towarami. Najbardziej krytykowanym odcinkiem handlu była nie sprzedaż mięsa, ale opału. ■ Polska Zjednoczona Partia Robotnicza liczy obecnie 2.758 tysięcy członków i kandydatów. ■ Przez ostatnie 30 lat ubył w Polsce z rolniczego użytkowania 1.300 tysięcy ha. Z ok. miliona ha uzyskiwane są za niskie plony w stosunku do możliwości. Ponad 70.000 ha wymaga rekultywacji.

2-4-78

Zmarł w Krakowie, w wieku 86 lat, płk Tadeusz Argasiński, legionista, wiceminister Poczty i Telegr. w okresie międzywojennym.

7-8-4-78

W Katowicach odbył się Zjazd Związku Literatów Polskich. Prezesem pozostał Jarosław Iwaszkiewicz, który tę funkcję sprawuje od 1959 roku. Zwróciło uwagę, że na 25 członków nowowybranego Zarządu tylko 9 osób należy do PZPR (poprzednio było 12). Wybrani zostali do Zarządu m.in. Marek Nowakowski, J. J. Szczepański, Jacek Woźniakowski, Wisława Szymborska. Przebieg Zjazdu był burzliwy — głównie atakowano samowolę cenzury. M.in. J. J. Szczepański podał listę 30 książek, zatrzymanych w wydawnictwach przez cenzurę. Nawet J. Iwaszkiewicz zrobił aluzję do pewnych „nieregularności” w tej dziedzinie. ■ Z Warszawy donoszą o braku trumien. Trzeba ich szukać na prowincji; pogrzeby bardzo często są opóźniane o kilka tygodni. Brak również krzyży na groby.

8-4-78

Jaroslav Sabata, b. członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, został *porte parole* dysydenckiej grupy „Karta 77” na miejsce Jiří Hajka, b. ministra Spraw Zagranicznych, który ustąpił z tego stanowiska ze względów osobistych. Sabata pracuje obecnie jako zwykły robotnik, po odbyciu kary 5 lat więzienia za dysydenctwo.

ZACHÓD — EMIGRACJA

25-4-78

W Londynie Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii powziął uchwałę stworzenia Funduszu Obrony Wolności Słowa i Praw Ludzkich w Polsce. Zbiórke na ten Fundusz prowadzić będzie Skarb Narodowy. Na czele akcji stanął amb. Edward Raczynski. Pierwszą wpłatę stanowi suma £ 633.20 zebrana wśród uczestników Zjazdu.

13-3-78

W Instytucie Herdera w Marburgu w Niemczech Zachodnich odbył się zjazd „Międzynarodowego Komitetu ekspertów socjologicznych” przy organizacji AWR (*Association of World Refugees*). Ogólnym tematem zjazdu były „Migracje ludności europejskiej na skutek zastosowania siły w czasie drugiej wojny światowej”. Referat o losie ludności polskiej z tzw. „Kresów Wschodnich” tj. terenów między przedwojenną granicą wschodnią, ustaloną Traktatem Ryskim, a linią Bug-San wygłosił Włodzimierz Odojewski.

23-3-78

W Londynie zmarł, w wieku 82 lat, ppłk Franciszek Wystouch, pisarz, autor książek o Polesiu.

2-4-78

W Londynie zmarł, w wieku 82 lat, Leszek Kirken, dziennikarz.

7-4-78

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Stanisława Olejnika na temat „Pluralizm kultury, a dążenie do jedności świata (uwagi teologiczne)”. Ks. St. Olejnik jest profesorem Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie i członkiem Rady Naukowej Episkopatu Polski.

11-4-78

Staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie odbył się w Londynie odczyt Stefana Kisielewskiego „Literatura a polityka w Polsce”.

12-4-78

W Paryżu została otwarta wystawa Ariki Madeyskiej w lokalu ICOMOS w Hôtel de Saint-Aignan (75 rue du Temple, Paryż 3).

14-4-78

Klub „Kontynenty” w Londynie zorganizował wieczór dyskusyjny na temat „Możliwości opozycji w Polsce”. Dyskusję zagaili: Stefan Kisielewski i Bolesław Sulik.

19-4-78

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór ku uczczeniu 35-tej rocznicy getta warszawskiego. Płk dypl. Mieczysław Jurkiewicz wygłosił odczyt pt. „Getto warszawskie w drugiej wojnie światowej”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W dniu 29. 3. br. w Tucson, Arizona zmarł nagle, w wieku 61 lat, kpt. Stanisław Szabunia, wiceprezes nowojorskiego Kongresu Polonii Amerykańskiej, wieloletni prezes Polskiego Klubu Narodowego w Hempstead. Służył w 41 pułku piechoty im. Marszałka Piłsudskiego w Suwałkach, uczestniczył w kampanii wrześniowej, później dowodził drugą kompanią 72 pp. Armii Krajowej w Nowogrodzynie i na Wileńszczyźnie, działał w konspiracji pod pseudonimem por. „Licho” i „Bruk”. W 1945 został aresztowany przez NKWD i skazany na 25 lat łagru. Z transportu więziennego uciekł i przedostał się do Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii, skąd w 1952 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. ■ 10. 3. br. w Nowym Jorku odbyło się walne zebranie członków Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. Prezesem został wybrany ponownie dr Jan Morelowski. ■ 17. 3. br. odbyło się w Nowym Jorku doroczne zebranie Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Rada jednomyślnie uchwaliła nadanie godności członka honorowego Instytutu ustępującemu prezesowi, prof. Wacławowi Jędrzejewiczowi. Nowy zarząd Instytutu stanowią: prezes — Tadeusz Pawłowicz, wiceprezesi — Michał Budny i Anna Mars, sekretarz — Tadeusz Świętochowski, skarbnik — Wiesław Domaniewski, dyrektor — Michał Budny. ■ Dominik Morawski odbył w dniach 12 luty - 15 marzec br. turę odczytową w USA i Kanadzie. Turę „sponsorovalo” Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich. Były dwa tematy odczytów: „Strategia i rola Kościoła w Polsce w ruchu antytotalitarnym, implikacje międzynarodowe” oraz „Polityka wschodnia Watykanu i wpływ eurokomunizmu, współzależność między sytuacją we Włoszech i w Polsce”. Ponadto odrębne odczyty zostały zorganizowane przez katolickie organizacje ukraińskie. ■ W lutym br. na dorocznym zebraniu *The Western Slavic Association* jedna z grup dyskutowała „polską drogę do socjalizmu” — przewodniczył Witold Sworakowski, a udział wzięli Aleksander Matejko (społeczeństwo polskie), J. Piekałkiewicz (polityka polska) i Andrzej Brzeski (ekonomia polska). ■ Staraniem University of California w Davis odbyło się pod koniec lutego br. sympozjum *Human Rights and U.S. Foreign Policy*. Prof. Andrzej Brzeski mówił o „prawach człowieka, *détente* i handlu wschód-zachód”. ■ Władysław Zachariasiewicz, kierownik wydziału kontaktów międzynarodowych Poczty Amerykańskiej, przeszedł na emeryturę. Po zwolnieniu z socjologicznego zesłania był delegatem R.P. do Spraw Opieki nad Uchodźcami. Później w Londynie był współpracownikiem premiera Tomasza Arciszewskiego; po przybyciu do USA został dyrektorem Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego. ■ 11. 4. 78 Sowiecki ambasador nadzwyczajny, Arkadiusz Szewczenko, który od kilku lat był zastępcą sekretarza generalnego

ONZ, wybrał wolność motywując to „różnicą poglądów ze swym rządem”. Szewczenko jest siódmym dyplomatą sowieckim, który w okresie 1939-1977 prosi o azyl na Zachodzie.

KRONIKA KANADYJSKA

Rada miejska Toronto w dniu 13 marca br. wyraziła zgodę na postawienie pomnika katyńskiego na placu przy Roncesvalles Avenue, najbardziej polskiej ulicy w Toronto, na której mieści się kościół św. Kazimierza, Credit Union, biura adwokackie i gabinety lekarzy Polaków. Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który jest inicjatorem budowy tego pomnika, nawiązał już kontakt z kilkoma artystami rzeźbiarzami polonijnymi, którym ma zlecić opracowanie projektu pomnika. ■ W York University w Toronto odbyła się w dniach 7-9 kwietnia br. międzynarodowa konferencja na temat „Sumienie i identyfikacja grupowa w religiach w późnym średniowieczu”. W konferencji wzięli udział prof. Leszek Kołakowski. ■ 23. 3. br. zmarł, w wieku 83 lat, ambasador Tadeusz Romer i został pochowany na cmentarzu St. Sauveur (prow. Québec). Tadeusz Romer był urzędnikiem MSZ od 1921 r., ministrem pełnomocnym w Lizbonie i ambasadorem w Tokio, gdzie zastała go druga wojna światowa; w latach 1942-43 ambasador R.P. w Moskwie, później Minister Spraw Zagranicznych R.P. w Londynie. W 1948 r. wyjechał do Kanady gdzie został profesorem literatury francuskiej na uniwersytecie McGill w Montrealu, zajmując to stanowisko do 1973 r.; był również prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Został ustanowiony Fundusz Ambasadora Tadeusza Romera. Wedle życzenia zmarłego i za zgodą rodziny Fundusz ten zasili Bibliotekę Polską w Montrealu.

KRONIKA SZWEDZKA

12. 4. 78. W samolocie LOT'u, którym premier szwedzki leciał do Polski, znajdowało się 5 osób — obywateli szwedzkich pochodzenia polsko-żydowskiego. Byli to pracownicy naukowcy wyższych uczelni szwedzkich. Gdy samolot wylądował na Okęciu odmówiono im zezwolenia na pobyt w Polsce. Po dwugodzinnych pertraktacjach władze polskie zezwoliły trzem osobom na tygodniowy pobyt w Polsce. Byli to: Ryszard Szulkin, Joanna Rose i Zygmunt Gutowski. Natomiast pozostałym dwóm osobom: Natanowi Tenenbaumowi i Henrykowi Rubinsteinowi nie pozwolono opuścić lotniska i ponieważ nie chcieli iść sami, zaniesiono ich siłą do autobusu, który dowiózł ich do czekającego samolotu linii SAS. Dziennikarze zagraniczni, którzy chcieli skontaktować się z grupą 5-ciu — nie zostali do niej dopuszczeni i „wywiady” odbywały się w formie krzyków. Policja paszportowa na Okęciu straciła głowę i musiała zażądać pomocy, aby zakończyć to widowisko.

Premier szwedzki oświadczył prasie szwedzkiej, że premier Jaroszewicz zrozumiał wagę jaką opinia szwedzka przywiązuje do faktu niewpuszczania do Polski obywateli szwedzkich i obiecał, że w przyszłości — w wypadku odmowy wpuszczenia do Polski obywateli szwedzkich — rząd polski będzie wyjaśniał powody niewpuszczania. Fakt dyskryminacji obywateli szwedzkich zdominował zarówno szwedzką prasę jak i telewizję usuwając na drugi plan wizytę premiera w Polsce. ■ 12 kwietnia podpisano nową 5-cioletnią umowę handlową polsko-szwedzką, której najważniejszym punktem jest zaprzestanie dyskryminacji szwedzkiej żeglugi, intensyfikacja wymiany informacji gospodarczych oraz — na żądanie Szwedów — oparcie tej umowy na układach w Helsinkach. Należy podkreślić, że Polska jest najważniejszym partnerem Szwecji w bloku sowieckim.

Listy do Redakcji

Londyn, 2 kwietnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kulturze* nr 3/366 (1978), na str. 141, została umieszczona wiadomość zaczerpnięta z paryskiego *France Soir*, że „Rząd emigracyjny w Londynie mianował premiera izraelskiego Menahem Beginem generałem”.

Uprzejmie komunikuję, że wiadomość, podana przez *France Soir* jest niezgodna z rzeczywistym stanem tej sprawy, natomiast zgodnie z prawdą naświetlił ją londyński *Daily Mail*, który d. 15. 2. 1978 w sposób niedwuznaczny podał, że to „samozwańczy prezydent W. Sokolnicki dokonał mianowania generałem premiera Menahem Beginą”.

Fakt ten potwierdza również Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii, który dn. 26. 2. 1978 w Londynie powziął jednogłośnie następującą uchwałę: „Od paru lat na obszarze Wielkiej Brytanii i w innych krajach działa Juliusz Sokolnicki, który samozwańczo nazywa się prezydentem. Juliusz Sokolnicki powołał m.in. do współpracy Antoniego Zdrojewskiego, który również stoi na czele nowoutworzonej organizacji kombatanckiej. Nadają bezprawnie odznaczenia i awanse. Zdrojewski w dniu 13. IX. 1977 roku asystował Gierkowi, gdy ten w Paryżu pod Łukiem Tryumfalnym składał wieniec, a w dniu 13. I. 1978 roku towarzyszył ministrowi reżymowemu w czasie odsłonięcia pomnika w Paryżu. Zjazd stwierdza, że akcja Sokolnickiego jest szkodliwa i że nikt z jego współpracowników, członków jego organizacji, lub przyjmujących jego odznaczenia i awanse, nie może być członkiem organizacji niepodległościowych. Zjazd apeluje do Rodaków, którzy dali się zwieść Sokolnickiemu, by opuścili jego szeregi i włączyli się do życia emigracji niepodległościowej”.

Ze swej strony w odrębnym liście przeprasiłem p. Menahem Beginą, który był swego czasu żołnierzem 2-go Korpusu, dowodzonego przez gen. Andersa, za niezgodne z prawem międzynarodowym i ośmieszające go mianowanie przez Sokolnickiego generałem brygady W.P.

Ponieważ notatka, umieszczona w *Kulturze*, wprowadziła w błąd licznych czytelników tego miesięcznika, proszę uprzejmie Pana Redaktora o umieszczenie mojego listu na łamach *Kultury*, by sprostować błędne naświetlenie, nadane sprawie przez paryski *France Soir*.

Łączę pozdrowienia i uścisk dłoni,

Z. BOHUSZ-SZYSZKO, gen. dyw.

Sztutgart, 23 marca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Drobiazg, a jednak przykreść, jak mawiają nasi wschodni sąsiedzi. Na ostatniej stronie (okładce) *Kultury* nr 3/366 z marca br. podany jest zestaw artykułów zeszytu 43-go *Zeszytów Historycznych*, który to zestaw wymienia — słusznie! — również odcinek moich wspomnień. Chodzi tu jednak o lata spędzone w Bukareszcie, a nie w stolicy Węgier, jak mylnie podano.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Wojciech KRZYŻANOWSKI

Co gorsze, ten sam błąd jest również na okładce kwietniowej *Kultury*, która była już wydrukowana w chwili otrzymania tego listu. Tego rodzaju przeoczenia zdarzają się „najporządniejszym” korektorom! Ale przepraszamy za przykreść. (R e d.).

Waszyngton, 2 kwietnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jan Józef Lipski w liście do Redakcji (*Kultura* nr 3, 1978) zwrócił już uwagę na moralne aspekty metod polemicznych zastosowanych przez prof. Jana Drewnowskiego w art. „Kapitulacja ideologiczna i ofensywa polityczna” (*Kultura* nr 12, 1977) i przestrzegł go przed zbieżnościami z *Życiem Warszawy*.

Przyczynkiem do tych uwag może być sposób, w jaki prof. Drewnowski posługuje się cytatami. Powołując się na mój artykuł w *Tygodniu Polskim* poświęcony Michnikowi („Profil człowieka odważnego”) z niezwykłą drobiazgowością podaje nie tylko datę i numer pisma lecz nawet stronę i szpalte, z której zacytował następujące zdanie: (Michnik) „jako dziecko zaczynał tak jak ci święci ze św. Franciszkiem na czele...”.

Z przytoczonego zdania jasno wynika, że gloryfikuję Michnika posuwając się aż do stawiania go w jednym rzędzie ze św. Franciszkiem. P. Drewnowski dopuścił się jednak świadomego przeinaczenia cudzej myśli urywając cytowane zdanie w połowie i zastępując ciąg dalszy kropkami. W pełnym kontekście moja wypowiedź ma zupełnie inny sens.

(Michnik) „jako dziecko zaczynał tak jak ci święci ze św. Franciszkiem na czele, którzy chcieli odnowić moralnie Kościół zagrożony rozkładem i zepsuciem sięgającym tronu papieskiego. Wszystkie dążenia do komunizmu z ludzką twarzą są właśnie takimi próbami moralnej odnowy komunizmu”.

Według norm przyjętych w całym świecie przeinaczenie cytaty przez wyrwanie poszczególnych słów części zdań z pełnego kontekstu jest czynem sprzecznym z pojęciem rzetelności intelektualnej wymaganej zwłaszcza od ludzi nauki.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

Jan NOWAK

Dokumenty

INSTRUKCJA

dot. sposobu sporządzania sprawozdania z wyjazdu stypendialnego za granicę w Resorcie Kultury i Sztuki.

1. Imię i nazwisko osoby delegowanej, stanowisko, miejsce pracy.
2. Kraj, na jaki zostało przyznane stypendium.
3. Rodzaj stypendium (stypendium MKiS, obcego rządu itp.).
4. Okres pobytu w danym kraju.
5. Cel wyjazdu.
6. Trasa podróży w kraju przyjmującym (miejscowości).
7. Nawiązane kontakty z osobami i instytucjami (nazwy i adresy instytucji, nazwiska osób, stanowiska i specjalność).
8. Na jakie tematy przeprowadzono ewent. rozmowy i jaka była atmosfera rozmów?
9. Ocena poziomu danej dziedziny w kraju przyjmującym według poczynionych spostrzeżeń (omówić szczegółowo z uwzględnieniem struktury organizacyjnej).
10. Skala porównawcza poziomu danej dziedziny w kraju przyjmującym i u nas (omówić szczegółowo).
11. Jakie problemy strona przyjmująca ma w danej dziedzinie do rozwiązania i jak je rozwiązuje (problemy organizacyjne, szkoleniowe i specjalistyczne, ekonomiczne, społeczno-polityczne itp.).
12. Ciekawsze doświadczenia kraju przyjmującego, które mogłyby mieć ewentualnie zastosowanie u nas (uzasadnienie szczegółowe).
13. Ocena pobytu i wnioski, wynikające z realizacji celu wyjazdu.
14. Inne dodatkowe spostrzeżenia i doświadczenia poczynione w czasie pobytu w danym kraju (np. naukowe lub techniczne, ekonomiczne, zawodowe, polityczne itp.).
15. Czy zetknięto się z działalnością szkodliwą dla PRL (opisać szczegółowo).
16. Czy nawiązano kontakty z miejscową Polonią (podać szczegółowo).
17. Ocena stanu wiedzy o PRL na terenie odwiedzanych instytucji zagranicznych i ewent. wnioski co do celowości przesyłania z kraju informacji, materiałów propagandowych, książek itp. do tych instytucji lub określonych osób.
18. Jakie trudności wystąpiły przy realizacji programu pobytu?
19. Jak przedstawiała się pomoc i współdziałanie polskiej placówki w realizacji programu pobytu?

20. Czy zostały ewentualnie podjęte jakieś zobowiązania wobec strony przyjmującej (wymienić szczegółowo).

21. Dodatkowe uwagi.

Miejscowość Data

Podpis

U w a g a : Sprawozdanie (w 2-ch egzemplarzach na maszynie) należy złożyć w Ministerstwie Kultury i Sztuki w okresie 14 dni od daty powrotu do kraju. 198/4. XI. 72 r.

„LATAJĄCY UNIWERSYTET”

Semestr II, 1977/78.

PLAN WYKŁADÓW I SEMINARIÓW

1. *Ideologie społeczne i polityczne od Rewolucji Francuskiej do drugiej wojny światowej* — Jerzy Jedlicki — ul. Pięciolinii 10 m. 22, poniedziałek godz. 19.00, dn. 20. II, 6. III, 20. III.
2. *Przegląd wielkich dyskusji pierwszego XV-lecia powojennego* — Jan Strzelecki — ul. Chłodna 11 m. 623, wtorek godz. 19.00, dn. 21. II, 7. III, 21. III.
3. *Z dziejów politycznych Polski Ludowej* — Adam Michnik — ul. Bednarska 9 m. 24, środa godz. 18.30, dn. 22. II, 8. III, 22. III.
4. *Historia gospodarcza i historia myśli ekonomicznej Polski współczesnej* — Tadeusz Kowalik — ul. Filtrowa 69 m. 62, czwartek godz. 19.00, dn. 23. II, 9. III, 23. III.
5. *Sprawa polska w myśli politycznej i w mentalności społecznej epoki zaborów* — Bohdan Cywiński — ul. Kaukaska 4 m. 65, piątek godz. 20.00, dn. 24. II, 10. III, 24. III.
6. *Spółeczne problemy wychowania* — Adam Stanowski — ul. Glogera 3 m. 15, sobota godz. 10.30, dn. 25. II, 11. III, 25. III.
7. *Scentralizowana struktura władzy a życie społeczne* — Irena Nowakowa — ul. Leśnowolska 11, niedziela godz. 11.00, dn. 26. II, 12. III, 26. III.
8. *Spółeczne problemy nauki współczesnej* — Stefan Amsterdamski — ul. Kaukaska 4 m. 65, poniedziałek godz. 19.00, dn. 27. II, 13. III, 27. III.
9. *Ideowe oblicze polskiego kina* — Andrzej Werner — ul. Balonowa 23, wtorek godz. 19.00, dn. 28. II, 14. III, 28. III.
10. *Spółeczeństwo a wychowanie* — Jacek Kuroń — ul. Bednarska 9 m. 24, środa godz. 19.00, dn. 1. III, 15. III, 29. III.
11. *Wybrane zjawiska i problemy nowszej literatury rosyjskiej* — Wiktor Woroszyński — ul. Staffa 107, środa godz. 18.30, dn. 1. III, 15. III, 29. III.
12. *Literatura jako wyraz świadomości społecznej* — Tomasz Burek — ul. Mokotowska 53 m. 22, czwartek godz. 18.45, dn. 2. III, 16. III, 30. III.
13. *Historia polityczna polski (lata 1918-45)* — Władysław Bartoszewski — ul. Konopczyńskiego 4 m. 9, piątek godz. 19.00, dn. 3. III, 17. III, 31. III.

U w a g a : w ostatniej rubryce podano terminy trzech pierwszych wykładów i seminariów.

PROGRAM WYKŁADÓW NA ROK 1977/78

Jerzy Jedlicki

IDEOLOGIE SPOŁECZNO-POLITYCZNE (OD REWOLUCJI FRANCUSKIEJ DO II-ej WOJNY ŚWIATOWEJ)

1. Społeczne funkcje ideologii. Ideologia jako „świadomość fałszywa” i jako cel dążeń wspólnotowych.
2. Uniwersalne tematy ideologii ostatnich dwu stuleci. Ideologie „monistyczne” i „eklektyczne”.
3. Liberalizm czyli idea wolności i społeczeństwa obywatelskiego.
4. Socjalizm utopijny czyli idea zrównania kondycji.
5. Konserwatyzm czyli idea wspólnoty organicznej.
6. Nacjonalizm narodów potężnych i narodów zniewolonych.
7. Komunizm czyli idea rewolucji jako akuszerki wolności.
8. Socjaldemokracja i idea państwa opiekuńczego.
9. Faszyzm czyli zespolenie mas z państwem i wodzem.
10. Kryzys liberalnej demokracji i reformizmu.
11. Dialektyka ekstremizmu i kompromisu jako prawidłowość walk ideologicznych.

Kontynuacją tego programu w r. 1978/79 byłby cykl pt. *Ideologie społeczne*, którego przedmiotem będą idee i ruchy społeczne po drugiej wojnie światowej: w krajach kapitalistycznych, socjalistycznych i rozwijających się.

Jan Strzelecki

PRZEGŁĄD WIELKICH DYSKUSJI TRZYDZIESTOLECIA POWOJENNEGO

1. O inteligencji i „rewolucji kulturalnej”.
2. O socjalistycznym humanizmie.
3. O marksizmie i współczesności.
4. O uniwersytecie dawnym i nowym.
5. O socjalistycznym realizmie.
6. Odwilż.
7. Problematyka modelowa — model gospodarczy, model polityczny.
8. „Błędy i wypaczenia” — dyskusja, brak dyskusji.
ad 1) Chałasiński: *Genealogia inteligencji polskiej oraz rozdział o kulturze pańskiej i chłopskiej w Młodym Pokoleniu Chłopów*; Znaniecki: *Ludzie dobrze wychowani*; Ossowski: art. w *Myśli Współczesnej*; Żółkiewski: pierwsze numery *Kuźnicy*.
ad 2) Strzelecki: o socjalistycznym humanizmie oraz artykuły z *Płomieni*; Hochfeld: *Przegląd Socjalistyczny*, rocznik 1947; Dyskusja na Radzie Naczelnej PPS, wrzesień 1948; Koźniewski: II tom *Historia co tydzień*; Jędruszcak: w tomie o historii trzydziestolecia, red. F. Ryszka.
ad 3) Ossowski: Hochfeld, Schaff, Kula, Lange, *Myśl Współczesna* r. 47/48.; Strzelecki: *Przegląd Socjalistyczny* nr 12/1948.
ad 4) art. Chałasińskiego i Jędrzychowskiego — *Kuźnica*, 1947.
ad 5) Kott, Żółkiewski, Sokorski, Ważyk, Borowski, Żdanow (*Kuźnica*, *Twórczość*, *Nowe Drogi*), *Kroniki* Borowskiego; Andrzejewski: *Pisarz i Partia*.
ad 6) artykuły w *Po Prostu*; K. Brandys: *Obrona Grenady*; Kołakowski: *Opowieści biblijne*; zeszyty *Nowych Dróg* z lat 1955-57; referat Chruszczowa; referat Gomułki na VIII plenum.
ad 7) Lange, Brus, Kalecki, Lipiński, Ossowski, Borowski (o Ossowskim:

Strzelecki w *Odrze*, 1/1975); art. Schaffa — przeciw „rewizjonizmowi”; *Więź* — pierwsze numery.

ad 8) Kołakowski o lewicy; Kruczkowski: *Opowiadania*; Schaff: Marksizm i jednostka ludzka wraz z dyskusją w *Nowych Drogach*; Jerzy Morawski: Przemówienie na X Plenum 1957 — o rewizjonizmie.

Jako tło: Medvedev Roy: *Niech osądzi historia*; Steinsberg Aniela: Proces Moczarzkiego w *Widziane z ławy obrończej*.

Adam Michnik

Z DZIEJÓW POLITYCZNYCH POLSKI LUDOWEJ

1. Wprowadzenie do powojennych dziejów politycznych Polski (od zerwania przez ZSRR stosunków z rządem emigracyjnym do powrotu Mikołajczyka do Polski).
2. Walka o kształt ustrojowy Polski (lata 1945-47).
3. Starcie o wybór drogi rozwojowej kraju w łonie obozu rządzącego.
4. Pełnia epoki stalinizmu w Polsce (lata 1949-53).
5. Faza odwilży (lata 1954-56).
6. Polski październik (VI. 1956 — X. 1957).
7. Nasza mała stabilizacja (okres 1958-63).
8. Na drodze do kryzysu społecznego.
9. Marzec 1968 (i jego konsekwencje).
10. Grudzień 1970.
11. Bilans poprzedniego kierownictwa.
12. Perspektywy.

Tadeusz Kowalik

HISTORIA GOSPODARCZA I HISTORIA MYŚLI EKONOMICZNEJ POLSKI WSPÓŁCZESNEJ

I. Okres 1944 - 1949

- a. Ogólna sytuacja polityczna;
- b. pierwsze edykty nowej władzy — polityczna, społeczna i ekonomiczna funkcja reformy rolnej;
- c. zakres zniszczeń wojennych, entuzjazm odbudowy;
- d. Ziemie Odzyskane (grupy operacyjne, plany objęcia i zagospodarowania Z.O. opracowane podczas wojny);
- e. straty ludnościowe, migracje ludności, potencjał biologiczny i kulturowy;
- f. planowanie a model gospodarczy: 1. planowanie CUP'owskie, 2. plany rekonstrukcji gospodarczej snute podczas wojny (grupa londyńska, ZPP, treść programów ugrupowań w czasie okupacji), 3. treść planów 1946 i 3-letniego, 4. Spór o model trójsektorowy, 5. podłoże ideologiczne i polityczne konfliktu między CUP'em a przyszłym PKPG (dyspozycje władzy gospodarczej);
- g. realizacja i główne kierunki planu 3-letniego;
- h. przełom 1948-49 w wymiarze politycznym i ideologicznym. Przejście do forsownej industrializacji;
- i. spór o wizję społeczeństwa socjalistycznego.

II. Okres października

- a. założenia i trudności realizacji planu 6-letniego, II zjazd PZPR i próby osłabienia napięcia inwestycyjnego;

- b. aktywa i pasywa planu 6-letniego, referat Władysława Gomułki na VIII Plenum, dyskusje o alternatywach planu 6-letniego w istniejącej sytuacji politycznej, międzynarodowej;
- c. opis społeczeństwa i gospodarki A.D. 1956 i 1957. „Próba diagnozy” J. Szczepańskiego i dyskusje sejmowe, narastająca świadomość „małej stabilizacji”;
- d. spory o teorii ekonomii i potrzebie reform: 1. spór o demokrację gospodarczą, 2. dyskusja o prawie wartości, zakres i metody planowania (plan a przedsiębiorstwo), Rada Ekonomiczna — jej prace i schyłek.

III. Okres od 1970 roku

- a. przyczyny, przebieg oraz konsekwencje grudnia 1970;
- b. strategia „przyspieszonego wzrostu”: założenia (1971) i konsekwencje ekonomiczne oraz społeczne;
- c. reforma 1973 (WOG'owska) i przyczyny jej porażki;
- d. kryzys od 1974 — spis i konsekwencje społeczno-polityczne.

IV. Tematy wynikowe, „węzły gordyjskie” ekonomii

- a. upaństwowienie a uspołecznienie;
- b. planowanie a wolność;
- c. ocena sprawności systemów polityczno-gospodarczych, kryteria;
- d. wzrost, rozwój czy równowaga.

Bohdan Cywiński

SPRAWA POLSKA W MYŚLI POLITYCZNEJ I W MENTALNOŚCI SPOŁECZNEJ EPOKI ZABORÓW

1. Wykład wstępny: kapitał doświadczeń epoki zaborów.
2. Specyfika polskiej myśli politycznej i mentalności społecznej w XIX w.
3. Romantyzm i pozytywizm — zakres i sens opozycji.
4. Społeczne geografie postaw politycznych.
5. Kościół i inteligencja — spór o rząd dusz.
6. Konserwatyzm — realizm — ugoda: próba rewizji pojęć.
7. Europejska myśl polityczna drugiej połowy XIX wieku: rozkwit wieku ideologii.
8. Europejska myśl polityczna drugiej połowy XIX wieku: rozkwit nacjonalizmów.
9. Sprawa polska 1880-1906: dylemat programowy polskiego socjalizmu.
10. Sprawa polska 1880-1906: odrodzenie myśli narodowej i jej nacjonalizacja.
11. Dylemat polityki i wychowania społecznego w socjalizmie polskim.
12. Dylemat polityki i wychowania społecznego w ideologii narodowej.
13. Ruch ludowy: odrębny nurt ideologiczny czy sfera wpływów.
14. Spór o orientację w myśli politycznej i mentalności społecznej 1907-1914.

Irena Nowakowa

PROBLEMATYKA SEMINARIUM PT. „SCENTRALIZOWANA STRUKTURA WŁADZY A ŻYCIE SPOŁECZNE”

Seminarium dotyczy zagadnień z zakresu wpływu struktury społecznej na zachodzące w społeczeństwie procesy i na ludzką osobowość. W socjologii najbardziej rozpowszechnionym schematem teoretycznym w tej dziedzinie jest wywodząca się z tradycji marksowskiej analiza społeczeństwa w kategoriach struktury klasowej. Schemat ten nie jest w pełni adekwatny do

analizy społeczeństw współczesnych, a szczególnie niedostosowany jest do analizy społeczeństwa o scentralizowanej strukturze władzy. W tych społeczeństwach, gdzie w skali państwowej zachodzi koncentracja czy monopolizacja władzy, stosunki własności tracą swoje podstawowe funkcje. Głównym źródłem mocy społecznej staje się władza. Wraz z tym zasadniczo zmieniają się mechanizmy leżące u podstaw procesów w skali makrospołecznej. Władza staje się podstawowym czynnikiem struktury społecznej wpływającym na inne elementy struktury, na zjawiska życia społecznego oraz na charakter środowiska społecznego, w którym działają żyjący w tym społeczeństwie ludzie i w którym kształtują się i funkcjonują ich osobowości. Struktura władzy i jej mechanizmy stają się kluczem do wyjaśniania i przewidywania zjawisk społecznych.

Teoria, która pozwalałaby analizować społeczeństwo w kategoriach struktury władzy znajduje się w socjologii dopiero w załazku. Dość słabo też jest rozwinięta problematyka dotycząca wpływu określonych typów scentralizowanej władzy na procesy społeczne w konkretnych społeczeństwach w takim czy innym kontekście istniejących warunków. Ta właśnie problematyka będzie przedmiotem seminarium. W oparciu o pewne prace teoretyczne i empiryczne badania społeczeństwa polskiego poszukiwać się będzie hipotetycznych związków między strukturą i funkcjonowaniem władzy w Polsce współczesnej a różnego rodzaju procesami i zjawiskami życia społecznego. Rozważać się będzie, w powiązaniu ze strukturą i mechanizmami władzy, funkcjonowanie instytucji zaspokajających bytowe potrzeby ludzi i instytucji szeroko rozumianej kultury, cechy środowiska społecznego, w skali całego narodu oraz w skali poszczególnych kategorii i grup społecznych.

Rozpatrując na podstawie opracowań socjologicznych i pewnych innych materiałów różne dziedziny życia we współczesnej Polsce zwracać się będzie przede wszystkim uwagę na następujące aspekty: 1. zaspokajanie bądź frustracja podstawowych potrzeb biologicznych i psychicznych, 2. możliwości podmiotowego, autonomicznego działania indywidualnego i zbiorowego ludzi w pracy zawodowej i w życiu społecznym pozazawodowym, 3. funkcje określonych elementów środowiska społeczno-kulturowego dla ludzkiej osobowości, oraz 4. charakter stosunków międzyludzkich i więzi społecznych.

Program seminarium w semestrze wiosennym 1978 roku przewiduje kolejno:

1. Zapoznanie się z pewnymi teoretycznymi modelami struktury i mechanizmów funkcjonowania władzy totalitarnej jako pewnego krańcowego typu oraz z hipotezami dotyczącymi wpływu tego rodzaju władzy na różne dziedziny życia społecznego.
2. Zapoznanie się z pewnymi teoretycznymi modelami struktury i funkcjonowania władzy w Polsce współczesnej i hipotezami dotyczącymi mechanizmów wpływów tego rodzaju władzy na cechy społeczeństwa.
3. Analizę prac socjologicznych, dotyczących różnych dziedzin życia w Polsce współczesnej.
 - A. Funkcjonowania zakładów produkcyjnych i ewentualnie porównawczo instytucji innego rodzaju zaspokajających potrzeby bytowe.
 - B. Funkcjonowania instytucji szkolnictwa oraz stanu oświaty.
 - C. Dotyczących środków masowego przekazu.
 - D. Dotyczących organizacji młodzieżowych.
4. Analizę omawianych dziedzin życia społecznego z punktu widzenia prac teoretycznych na temat wpływu środowiska społecznego na osobowość.

Oprócz istniejących opracowań socjologicznych jako źródła informacji uwzględniane będą na seminarium, szczególnie w tych dziedzinach gdzie brak jest opracowań lub gdzie tematyka ich jest zabroniona, wypowiedzi zapraszanych na seminarium ekspertów i pewne dostępne dokumenty.

Seminarium nie ma na celu dokonania diagnozy życia społecznego w Polsce współczesnej, czy też w oparciu o rozpatrywane materiały weryfikacji jakichś hipotez dotyczących związków przyczynowych między istniejącą strukturą władzy a zjawiskami życia społecznego. Celem jego jest tylko rozważenie pewnych istotnych społecznie problemów jakie występują we współczesnym społeczeństwie polskim i zastanowienie się nad ich hipotetycznymi przyczynami ze szczególnym uwzględnieniem prawdopodobnych powiązań rozważanych zjawisk z cechami struktury i funkcjonowania scentralizowanej władzy.

Seminarium przeznaczone jest dla studentów różnych kierunków studiów, warunkiem udziału w nim jest przygotowanie w trakcie seminarium referatu streszczającego wyniki badań lub opracowanie socjologiczne bądź też samodzielny referat na podstawie wyników badań i opracowań innych autorów.

Stefan Amsterdamski

SPOŁECZNE PROBLEMY NAUKI WSPÓŁCZESNEJ

Kurs składać się będzie z dwóch części: pierwszej — głównie o charakterze wykładowym i drugiej — seminaryjnej. Część pierwsza poświęcona jest omówieniu społecznych problemów nauki współczesnej. W części drugiej zamierzam zająć się bardziej szczegółowymi zagadnieniami sytuacji nauki i uczonych w PRL. Program części drugiej przedstawiony zostanie w terminie późniejszym i przedyskutowany z uczestnikami po zakończeniu części pierwszej.

Część I

A. Droga do nauki współczesnej (4 wykłady)

Społeczne funkcje ludzi wiedzy i ideały wiedzy wartościowej w rozwoju nauki jako systemu poglądów i jako instytucji społecznej. Filozofia nauki a socjologia wiedzy.

Instytucjonalizacja badań naukowych i jej niezbędne warunki społeczne: wartości regulujące działalność naukową i ich społeczna akceptacja poza „republiką uczonych”. „Splendid isolation” nauki wobec ekonomiki i polityki i ideologia autonomii nauki. Romantyczna krytyka nauki.

Druga rewolucja przemysłowa. Profesjonalizacja badań naukowych. Nowy adresat wiedzy naukowej. Przemiany uniwersytetów i pozaakademickie placówki badawcze. Problem autonomii nauki wobec ekonomiki i polityki w nowej sytuacji.

B. Nauka w świecie polityki i ideologii (9 wykładów)

Nauka a totalitarna koncepcja ładu społecznego. Przykład pierwszy: nauka w państwie hitlerowskim. Uniwersalizm nauki a ideologia narodowa. Przykład drugi: radziecka rewolucja kulturalna lat 20-tych i 30-tych.

Druga wojna światowa i zmiana statusu społecznego nauki. Przykład — Manhattan Project: powstanie „Wielkiej nauki”. Sytuacja uczonych i ekspertów. Konflikt uczeni — władza. Sprawa Oppenheimera.

Nauka rozdwojona: poznawcze i manipulacyjne funkcje nauki. Nowa sytuacja nauk humanistycznych i społecznych. Dwa oblicza społeczne neopozytywizmu jako ideologii nauki: między dziewiętnastowiecznym scjentyzmem i dwudziestowiecznym technokratyzmem.

Nauka i wzrost ekonomiczny. Problemy polityki naukowej i finansowania badań. Rewolucja naukowo-techniczna a kraje „trzeciego świata”.

Destalinizacja: technokratyczna koncepcja „wolności nauki” a problem wolności słowa. Sprawa Sacharowa.

Zmierzeń technokratycznej euforii. Różne odmiany ruchów kontestacyjnych wobec nauki w służbie technokracji. Krytyka nauki a ideał społeczny. Raporty Klubu Rzymskiego.

Dwie kultury: nauka i humanistyka. Warunki społecznej kontroli nad rozwiązywaniem pozapoznawczych problemów nauki. „Kryzys nauki” a „kryzys ideału nauki”. Humanistyczna refleksja nad nauką w kulturze współczesnej.

Dyskusja nad programem drugiej części pt. Społeczne problemy nauki i uczonych w PRL.

Andrzej Werner

IDEOWE OBLCIEZ POLSKIEGO KINA

1. Struktura organizacyjna kinematografii. System zarządzania (wybór scenariuszy, preferencje gatunkowe, tematyczne). Problem komercjalizacji. Kino i telewizja.
2. i 3. Stosunek polskiego kina do historii. Wojna i okupacja na ekranie. Wzorce tradycji. Spór o narodową mitologię: szkoła polska i nurt nacjonalistyczny.
4. Rzeczywistość przedstawiona współczesnego kina. Stereotypy ideowe, wizerunek obyczajów. Diagnoza „małej stabilizacji”.
5. Rzeczywistość nieprzedstawiona. Wizerunek historii najnowszej: zyciorys powojennego pokolenia.
6. Kino i literatura, problemy ideowej wspólnoty.
7. Problemy młodego kina — kino polskie a fala kontestacji.
8. Kultura filmowa. Problemy rozpowszechniania, obiegu informacji, wydawnictw, krytyki filmowej.

Wiktor Woroszyński

WYBRANE ZJAWISKA I PROBLEMY NOWSZEJ LITERATURY ROSYJSKIEJ

1. „Złe sumienie” inteligencji rosyjskiej w XIX-tym i XX-tym wieku. Istota „inteligencji” według Iwanowa-Razumnika i innych ideologów. Próby czynu (chodzenie w lud, działalność spiskowa i terrorystyczna, wariant reformatorski) i słowa (literatura jako sposób istnienia inteligencji). Inteligencja i rewolucja bolszewicka: Aleksander Błok, Aleksander Tołstoj, Maksym Gorki...

2. Zjawisko „nowoczesności” w literaturze (zwłaszcza poezji) rosyjskiej końca XIX-go - początku XX-go wieku. Włodzimierz Sołowjow i rosyjski symbolizm. Kontynuacja wątków modernistycznych i symbolistycznych w akmeizmie i futuryzmie, a także poza określonymi kierunkami, w widzeniu świata przez późniejszych poetów, aż do naszych czasów.

3. Utopia szczęśliwego i „słusznego” społeczeństwa w tradycjach literatury rosyjskiej (Co robić? Czernyszewskiego). Po rewolucji — utopia negatywna Zamiatina („My”) i nowe utopie pozytywne, traktowane jako realność (Gastoiw, Czejanow, Majakowski). Rozmijanie się tej literatury z inną, empiryczną realnością, znajdującą odbicie w ówczesnej beletrystyce obyczajowej (np. Pantelejmon Romanow) i satyrycznej (Zoszczenko). Wtargnięcie tej realności do niektórych utworów późnego Majakowskiego.

4. Współzawodnictwo różnych kierunków w literaturze lat 20-tych i początku lat 30-tych o uznanie za reprezentatywne dla rewolucji i nowego

społeczeństwa. Proletkult, komfut (przeistoczony w LEF), nowochłopi, imażynizm, konstruktivism, napostowcy. Sytuacja tzw. poputeżyków. Przykrycie wszystkiego jedną czapą socrealizmu i upaństwowionego Związku Pisarzy Radzieckich w połowie lat 30-tych.

5. XIX-towieczny panmongolizm i XX-towieczne „euroyzjstwo” w rosyjskiej myśli społecznej i kulturowej, a także w poezji. „Nowy Panmongolizm” we współczesnej literaturze rosyjskiej.

6. XIX-towieczne słowianofilstwo i glebomania. Nowe nie tyle już słowianofilstwo, co rusofilstwo oraz glebomania w toczącej się w Rosji walce idei i we współczesnej literaturze rosyjskiej. Oficjalne (popierane) i nieoficjalne (opozycyjne) odmiany tego kierunku.

7. Bezpośrednie i pośrednie odzwierciedlenie „świata koncentracyjnego w literaturze radzieckiej” m.in. na podstawie monografii M. Hellera. Od piewów „czerwonego terroru” do Sołżenicyna i Władimowa („Wierny Ruslan”).

8. Absurdalna „oberiuci” i demoniczna (Bułhakow) wizja rzeczywistości radzieckiej w literaturze lat 20-tych i 30-tych. Nawiązanie do tych wizji, jak również do pewnych starszych „nierealistycznych” tradycji literatury rosyjskiej (Gogol, Sałtykow-Szczedrin), w podziemnej twórczości okresu postalinowskiego (Siniawski, Daniel). „Przepastne wyżyny” Zinowiewa.

9. Degrengolada upaństwowionej kultury radzieckiej (także literatury) — i „drugie życie” kultury (przede wszystkim literatury) w kraju i na emigracji. Symptomy przezwyciężenia zniewolenia i zakłamań — oraz nawiązanie do tradycji inteligencji rosyjskiej — także w części oficjalnej lub tolerowanej literatury, np. w niektórych książkach W. Katajewa, w twórczości J. Trifonowa i w wierszach wojennego pokolenia poetów.

10. Model losu pisarza rosyjskiego w XIX-tym wieku — i w epoce radzieckiej. Szczególny los pokolenia, urodzonego w latach 1885-1895 (m.in. Chlebnikow, Gumilow, Chodasiewicz, Klujew, Achmatowa, Pasternak, Mandelsztam, Cwietajewa, Jesienin). Jak kształtują się losy obecnie działających pokoleń.

Tomasz Burek

LITERATURA JAKO WYRAZ ŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ

Powyższe sformułowanie planowanych wykładów z zakresu literatury — bardzo szerokie i ogólne — będzie musiało w praktyce ulec pewnemu zawężeniu i doprecyzowaniu.

Jak wiadomo, zagadnienie „świadomościowego”, a zarazem „społecznego” charakteru literatury posiada wiele aspektów i płaszczyzn teoretycznych; problematyka ta jest przy tym nie tylko złożona, ale i, z samej swej istoty, nader dyskusyjna. Konieczny jest więc wybór i wyrażne ograniczenie. W proponowanym tutaj cyklu wykładów będzie chodziło o wachlarz następujących zagadnień i pytań:

W jakim sensie i w jaki sposób literatura może być, i rzeczywiście bywa czynnikiem dynamiki społecznej? — Wychodząc od ogólnego założenia, że literatura jest wyrazem świadomości społecznej, należy też tę rozwinąć i pokazać, że jest ona (literatura, twórczość literacka określonej formacji historyczno-społecznej) w sposób zasadniczy i nieunikniony wyrazem świadomości podzielonej, tj. wewnętrznie zróżnicowanej i zawsze antynomicznej, zogniskowanej wokół generalnych i charakterystycznych dla danego okresu sprzeczności i przeciwieństw. Struktura wartości społecznych jest *ex definitione* strukturą wielowartościową, konfliktową i wahliwą (z racji

wpisanego w nią pola możliwych wyborów), a zatem podlega nieustannym metamorfozom, aż po rozpad i całkowitą przemianę włącznie. Każdorazowa ze znanych nam dotychczas formacji historycznych, każdorazowa organizacja społeczeństwa ludzkiego — jedno wartości — inaczej: wartościowanie treści życia ludzkiego — wyzwała i stabilizowała, ale jednocześnie inne, niezgodne z ustaloną hierarchią, opozycyjne względem niej, ignorowała, spychała na margines, tłumiła i w razie konieczności gwałtownie zwalczała, bądź dla swoich celów taktycznie przechwytywała i przeinaczała. Wszelako tłumione treści, ideały, wartości, jeśli tylko okazywały się ważne i żywotne w perspektywie historii, szukały możliwości autentycznej ekspresji (światopoglądowej, literackiej i in.) i wreszcie ją znajdowały formując nową ideologię, nową myśl społeczną, naukową i artystyczną, nową wizję świata, nową, pełniejszą niż poprzednia, kulturę. Taka jest, krótko mówiąc, dyalektyka wolności. Powoduje ona, że czymś historycznie nieuniknionym stają się, na przestrzeni społecznych dziejów, kolejne konfrontacje między takim czy innym systemem dominacji i ucisku a organizowaniem wyzwolenia, między powiększającym się bezwładem takiego czy innego *establishment'u* a oddolnym fermentem sił emancypacji i protestu. W efekcie nie mamy nigdy do czynienia w obrębie danej formacji historyczno-społecznej z jednym typem świadomości; zawsze — w rozwoju znanych nam społeczeństw nowożytnych — występowały obok siebie i przeciw sobie typy różne, odpowiadające różnym potrzebom i aktualizujące odmienne możliwości twórcze grup ludzkich. Niezależnie jednak od empirycznego zróżnicowania i socjologicznego wyciniowania charakterystyki różnych form świadomości, te ostatnie zdają się zasadniczo ciężać ku dwu przeciwległym biegunom, ku dwu kontrastującym ze sobą typom „idealnym”. Jeden biegun to świadomość związana z istniejącą rzeczywistością, nastawiona na stabilizację i racjonalizację historycznego *status quo*, świadomość więc obronna, samoprzestająca na sobie, „zaduflana”, afirmatywna, niekiedy naiwnie apologetyczna, zawsze iluzoryczna, opaczna lub fałszywa. Drugi biegun to świadomość zbuntowana, potencjalna, nastawiona na destrukcję i przeobrażenie istniejącego porządku, wątpliwa i krytyczna, samowiedna, nie ulegająca złudzeniom i mitom powierzchni aktualnego życia, za to adekwatna względem głębszych poziomów i rzeczywistości twórczych procesów stawiana się historycznego. Pierwszy typ można nazwać — świadomością wystygłą. Drugi — świadomością rozpaloną. Pierwsza z tych dwu „modelowych” postaci odpowiada przejawom reifikacji i alienacji w życiu współczesnym, oznacza utratę inicjatywy przez podmiot zbiorowy, ubezwłasnowolnienie, przewagę biurokratyzmu i rutyny nad spontaniczną aktywnością kulturotwórczą, jest ogólnie rzecz biorąc przejawem martwicy społecznej. Druga — diametralnie i radykalnie przeciwna pierwszej — wyraża natomiast ferment, kształtowanie się i dojrzewanie żywych sił społecznych, a częstokroć aktywnie i decydująco oddziałuje na proces ich zespalania i mobilizacji. Stąd też interesować nas tutaj będzie literatura jako wyraz konfliktu, historycznie uwarunkowanego przeciwieństwa między żywymi siłami społecznymi z jednej strony, a wyobcowaną i już nie odpowiadającą ich potrzebom rozwojowym (martwą więc lub martwiejącą) organizacją społeczną z drugiej; między urzeczowionymi strukturami świadomości, izomorficznymi (kształtopodobnymi) względem rzeczywistości zastanej i zastygłej, a świadomością niespokojną i krytyczną, „wyzwolicielską”, operującą perspektywą dezalienacyjną i antyreifikacyjną; między językiem samozniewolenia intelektualnego, nieadekwatności poznawczej i ekspresyjnej, rozmyślnego tworzenia błędów i sterowania fałszerstwami, a językiem wolności, językiem demaskowania i ujawniania kłamstwa, językiem poszukiwania i przybliżania prawdy.

Egzemplifikację owych z grubsza naszkicowanych założeń, wielostronną egzemplifikację i bogaty materiał interpretacyjny znajdziemy w polskiej i obcej literaturze dwudziestowiecznej, zarówno w dziełach poszczególnych,

jak i w całych kierunkach czy nurtach literackich. Skoncentrujemy się na okresie obejmującym lata 1930-1970.

Najpierw omówimy kilka głosnych i już prawie że klasycznych książek, wybranych głównie z literatury francuskiej. Będą to: „Podróż do kresu nocy” Celine'a, „Młodości” Sartre'a, „Nadzieja” Malraux, „Dżuma” Camusa. Weźmiemy także pod uwagę prozę hiszpańską z okresu po wojnie domowej i ustaleniu się reżymu faszystowskiego, znamienne dla tego okresu powieści Camillo Jose Celi: „Rodzina Pascuala Duarte” i przede wszystkim „Ul”. Analiza wymienionych utworów, należących poniekąd (ale nie tylko) do szeroko pojętego nurtu egzystencjalistycznego, pozwoli zademonstrować i objaśnić sposoby kształtowania przez dojrzałą literaturę XX-go wieku — świata stosunków międzyludzkich (jednostka — grupa społeczna — ludzkość) w warunkach narastającego kryzysu społecznego, kiedy to rozpadowi ulegają właśnie wspólnoty ludzkie, kiedy tradycyjne więzi społeczne zostają zakwestionowane i zniszczone, kiedy to zdeintegrowany „samotny tłum”, złożony z moralnie zdegradowanych i obcych sobie jednostek, „uciekających od wolności” i wyzwutych z autentyzmu, staje się łatwym żerem dla totalitarnych i autorytarnych systemów władzy. Analiza ta pozwoli zarazem wydobyc z zawarte w tej literaturze tragiczne przesłanie humanistyczne, pokazać obrazy walki, ale i klęski, wyeksplikować typową, niemalże obsesyjną dla XX-towiecznej myśli moralnej konfrontację wartości i przemocy, stałe zagrożenie, stałą pokusę, jaką dla świadomości jednostkowej stanowi ulegalizowany w nowoczesnych systemach życia zbiorowego — nihilizm.

Przedmiotem kolejnych wykładów będzie literatura włoska lat 30-tych i 40-tych, ściślej: formalne a utajone struktury społeczne w literaturze włoskiej okresu faszystu i walki z faszyzmem, oczywiście tylko na wybranych przykładach („Obojętni” i „Konformista” Moravii, Ignazio Silone, Eli Vittorini, „Księgę i ogniska” Cesare Pavese).

Następny krąg tematyczny dotyczyć będzie powojennej prozy polskiej. Co będzie dalej, zobaczymy.

Władysław Bartoszewski

HISTORIA POLSKI (1938-1945)

Plan wykładów:

1. Sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa Polski 1939-1939 (od kryzysu monachijskiego do wybuchu drugiej wojny światowej).
2. i 3. Wybuch wojny. Okupacja. Sytuacja społeczeństwa. Nowe struktury administracyjne. Powstanie i działalność rządu polskiego na emigracji (do czerwca 1943). Polska na arenie międzynarodowej. Tworzenie się zrębów polskiego państwa podziemnego (wojsko, władza polityczna).
4. VI. 1941 - IV. 1943: Życie społeczne i polityczne w okupowanym kraju. Kościół, Martyrologia Polaków i zagłada Żydów w Polsce. Sytuacja Polski w koalicji antyhitlerowskiej. Polityka rządu polskiego w Londynie.
5. IV. 1943 - I. VIII. 1944. Od zerwania stosunków politycznych ZSRR z rządem polskim do Powstania Warszawskiego. Rząd polski po śmierci Sikorskiego. Funkcjonowanie Polskiego Państwa Podziemnego. Delegatura Rządu — RJN — AK — opozycja prawicowa i lewicowa. Teheran. Przesuwanie się frontu przez teren Polski. Akcja „Burza”. PKWN.
6. Powstanie Warszawskie. Skutki polityczne. Zmiany w Londynie.
7. Położenie kraju od jesieni 1944 do wiosny 1945. Kres Polskiego Państwa Podziemnego. Konferencja Jałtańska. Od Rządu Tymczasowego do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA

Nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazały się: Zdzisław Jaskuła — „Dwa poematy”; Andrzej Kijowski — „Niedrukowane”; Maria Ossowska — „O pewnych przemianach etyki walki”; Marek Tarniewski — „Pochodzenie systemu”; Kazimierz Brandys — „Nierzeczywistość”; Władysław Bienkowski — „Socjalizm po 60 latach”; Władysław Gnomacki — „Towarzysz Szmaciak czyli wszystko dobre co się dobrze kończy”; Marek Tarniewski — „Działanie i przyszłość”; Jacek Kuroń — „Zasady ideowe”; Tadeusz Konwicki — „Kompleks polski” (*Zapis* nr 3); „Z księgi zapisów Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk”; *Śpiewnik uliczny i domowy*, zeszyt 1; Adam Michnik — „Cienie zapomnianych przodków”.

W przygotowaniu: Wiktor Woroszyński — „Jesteś” i inne wiersze.

Nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazują się kwartalniki literackie *Zapis* i *Puls*.

Niezależna Oficyna Wydawnicza dąży do tego, aby wolne słowo nie stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

Niezależna Oficyna Wydawnicza nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

Niezależna Oficyna Wydawnicza spełni swoje zadanie, jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia; jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów i sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Od nas samych zależy los wolnego słowa w Polsce.

DO PRENUMERATORÓW W KANADZIE

W końcu ubiegłego roku zmuszeni byliśmy na skutek stałego wzrostu cen podwyższyć prenumeratę *Kultury* do \$ 35,00 rocznie i *Zeszytów Historycznych* do \$ 25,00 rocznie. Niestety na skutek stałej dewaluacji dolara powyższe ceny odpowiadające cenom francuskim (F. 160,00 i 120,00) okazują się obecnie zupełnie niewystarczające, tym bardziej że ceny drukarni i papieru znowu wzrosły o przeszło 10 %. W związku z tym, aby otrzymywać w przybliżeniu za *Kulturę* F. 160,00 rocznie a za *Zeszyty* F. 120 rocznie, zmuszeni jesteśmy znowu podnieść prenumeraty w Kanadzie do \$ can. 40,00 rocznie za *Kulturę* i \$ can. 30,00 rocznie za *Zeszyty* — dla prenumeratorów *Kultury*, a prenumeratę wyłącznie *Zeszytów* do \$ can. 35,00 rocznie. Jednocześnie dopłata lotnicza do wysyłki *Kultury* wynosząca dotąd \$ 9,50 automatycznie musi być podwyższona do \$ 11,25. Naturalnie jeżeli dolar kanadyjski pójdzie w górę odpowiednio te ceny zrewidujemy.

Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy zrozumieją konieczność naszej decyzji.

Redakcja KULTURY

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 2^e Trimestre 1978.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- en, Tel. (01184) 14073, Post giro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisou- neuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel 486-2839 ; B. Kra- suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 4,00 DM 8,00 F. 15,00	\$ Can. 21,00 D.M. 50,00 F. 85,00	\$ Can. 40,00 D.M. 85,00 F. 160,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstent 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie- lanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski, Book, 2036 Chest- nut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554 ; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt 10, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ US 35,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£stg. 1.85	£stg. 10.00	£stg. 19.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 160; półroczna — F. 85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

SZKICE O LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zsyłkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie.

Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.



TOM 290 — MARIA CZAPSKA

CZAS ODMIENIONY

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.



TOM 291 — WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Seria „Bez Cenzury”

SOCJALIZM PO 60 LATACH

Str. 64.

Cena F. 18.



TOM 292 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY CZWARTY

Zawiera m.in. prace: W. Drzewieckiego — *Wywiad z St. Mikołajczykiem z 17. XI. 1947*; M. Chęcińskiego: „*Ludowe Wojsko Polskie*”; A. Ciencialy: *Anglia była gotowa bić się o Gdańsk*; J. Nowak: *Rozmowy z gen. Sosnkowskim*; Z. S. Siemaszko: *17 września i jego konsekwencje*; T. Katelbach: *Bezdroża* (dok.); W. Krzyżanowski:

Lata bukareszteńskie (dok.). RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 35.

Cena 15 F